ROCZNIK IX.
TOM II.

NR. 104.—105.
SIERPIEŃ—WRZESIEŃ.
1913.

ŚWIAT SŁOWIAŃSKI

MIESIĘCZNIK

POD REDAKCYĄ

DRA FELIKSA KONECZNEGO

KRAKÓW
ADMINISTRACYA: UL. CZYSTA 1.

„Świat Słowiański“

miesięcznik poświęcony słowianoznawstwu i przeglądowi spraw słowiańskich ze stanowiska polskiego, wychodzi z początkiem każdego miesiąca w zeszytach 4—5 arkuszowych. — Prenumerata całoroczna wraz z przesyłką pocztową wynosi 10 K (10 marek), kwartalnie 2 K 50 h. (2 M. 50 f.) Cena jednego zeszytu 1 K (1 M).

Adres Redakcyi: Kraków XIII., Salwator

Administracya: ul. Czysta L. 1.

Skład główny na Lwów i Galicyę wschodnią w księgarni H. Altenberga we Lwowie.

W Warszawie skład główny w księgarni Wendego i S-ki.

Prenumerata roczna 5 rb. 50 kop.

TREŚĆ Nru podwójnego 104-go i 105-go:

(sierpień — wrzesień 1913 r.)

Świat Słowiański. Rocznik IX. tom II.
Sierpień—Wrzesień 1913.

Stosunki wzajemne Polaków i Słowaków.

Przez lat przeszło dwadzieścia, wędrując po obszarze językowo polskim i niepolskim na Górnych Węgrzech, spotykałem się ze Słowakami ze sfer wszystkich i nietylko, że mnie nie uważano za niebezpiecznego agitatora, ale mi na każdym kroku ułatwiano oryentacyę. Poznany proboszcz, prócz serdecznego ugoszczenia, ułatwiał zbliżenie się do ludu, który, jak w ogólności wszędzie, i tam względem obcych nieufny, nie tak łatwo byłby mi dostarczył tego materyału, którego szukałem. Intelligentni lekarze i adwokaci informowali mię ze swego stanowiska o właściwościach mowy i obyczajów ludu orawskiego lub trenczyńskiego, wskazywali po nazwisku wsi, które mówią gwarą polską (a raczej, jak oni mówili — góralską), a nierzadko zaopatrywali mię w listy polecające do swych krewnych i znajomych. Nawet żydzi wiejscy, poznawszy moje cele idealne i naukowe, nieśli mi pomoc sposobem, jakim mogli. Nikt nie przeczył, że tam mieszka ludność polska, gdzie ją językowo jako polską oznaczyłem, ale — rzecz naturalna — nikt jej nie nazywał polską, bo nad naukowem określeniem różnicy nie każdy się zastanawiał i nie każdyby mu podołał. Ani ja nie miałem zamiaru anektować tych okolic do Galicyi politycznej, ani oni mnie o podobne zamiary nie podejrzywali, bo prawdopodobnie byli ludźmi szczerszymi i prostszymi, niż fanatyczni madiaroni, na których czapka gore...

Taki był mój stosunek do Słowaków i jest nim do dnia dzisiejszego, bo choć jedni z patryotów słowackich już legli w grobie, drudzy po dalekich rozpierzchli się okolicach, nie zerwała się między nami nić sympatyi: mortuos plango — vivos voco i to często, zasypując ich korespondencyami lub przynajmniej pocztówkami. Mam z tego tę korzyść, że prócz czasopism peryodycznych informują mię o wszelkich zjawiskach życia kulturalnego, literackiego i społecznego bezpośrednie listy, a stąd, kiedy choćby raz

w roku stanę między nimi, wchodzę w tok ich myśli i uczuć, jakbym ich dopiero wczoraj pożegnał. Toteż muszę przyznać, że za ten interes do ich życia, ich ideałów i dążeń odpłacają mi sowicie niezasłużoną sympatyą i uznaniem, że na zgromadzeniach słuchają mego głosu, jak przyjaciela starszego (a słuchają chętnie, bo mówię do nich i c h językiem) i w niejednej sprawie o radę mię zapytują. Jedna tylko struna często zgrzytnie i nie dosyć harmonijnym odzywa się dźwiękiem: wyrażają żal, że niema więcej Polaków, którzyby się do nich zbliżyli z sercem, że niema zrozumienia ich położenia i niema jakiegokolwiek wpływu na ich polityczny byt w jarzmie madiarskiem, bo Polacy zawsze z „Węgrem dwa bratanki“, gdzie przez Węgra rozumie się fałszywie — Madiara.

Te moje osobiste stosunki i poglądy dlatego tu odsłaniam, aby wykazać, ile szczerej sympatyi żywią Słowacy do nas i jakby nam sercem odpłacili, gdybyśmy się z sercem do nich zbliżyli. Są za dumni i za prości, aby się narzucać, ale podaną dłoń chwytają gorąco i uścisną szczerze i życzliwie. Ktokolwiek spotykał się z nimi dłużej i nawiązał nie jednodniowe stosunki, ten mi przyzna słuszność, a tym sposobem moje poglądy nie są tylko — wrażeniami osobistemi.

Ten wstęp potrzebny mi był na to, aby wykazać, jak dalece naiwni są madiaroni, kiedy im się zdaje, że przez dążenie nasze do uświadomienia ludności polskiej na Górnych Węgrzech i potem do oświecenia tego ludu na gruncie kultury naszej, my idziemy na rękę Słowakom i pomagamy im do — słowaczenia ludności polskiej! Trzeba być już nie ignorantem, ale człowiekiem złej wiary, aby przestrzegać Polaków przed zbliżeniem się do Słowaków, bo tym sposobem Polacy węgierscy się wynarodowią! Gdzież to Słowacy zesłowaczyli wieś polską? gdzież narzucili ludności język słowacki w szkole i kościele? To, co jest obecnie na obszarach etnograficznie polskich, to trwa od wieków siłą faktów i siłą naszej — bezwładności, którzy o tę ludność zupełnieśmy się nie troszczyli.

Madiarzy natomiast nie znają pardonu: w statystyce każdego dziesięciolecia czyta się o dziesiątkach wsi zmadiaryzowanych (w całości lub części), a w dziejach narodowości niemadiarskich zapisane są całe tomy zestawieniem faktów barbarzyńskiego ucisku językowego i narodowego ze strony panującej madiarszczyzny. Pod hasłem: „T o t é m b e r — n e m é m b e r“ (Słowianin — to

nie człowiek) idą naprzód pochodem Attyli, marząc dziko o madiarszczyźnie od Tatr po Adryatyk, który także już zowią „magyár tenger“ — morzem madiarskiem!

Niech pożałowania godny madiaron, odzywający się starą zwrotką do „Braci Polaków“ [1]), nie podszywa się pod hasła pracy Podhalan, bo go wnet poznają, jeżeli się jeszcze łudzą, że to wilk w owczej skórze; niech nie mydli oczu nieświadomym artykułami polonofilskimi, pisanymi przez siebie do *Arvamegyeilapoka* i *Budapesti Hirlapu;* myśmy się na farbowanych lisach już poznali i więcej się omamić nie damy. Wiemy, czego się spodziewać można od rządu madiarskiego i dlatego czekamy na fakta, jakto polskie czasopisma będą zwracane z poczt węgierskich, a polscy podróżnicy przez straż graniczną odprowadzani do granicy. Toteż my niczego od Madiarów nie potrzebujemy i skazani na własne siły i środki, pójdziemy między lud polski sami; jeżeli nam jednak „przyjazny“ rząd madiarski przeszkadzać będzie, nie będzie to dla nas niespodzianką, bo się — już znamy. Przecież sam autor odezwy, madiaron, otwarcie mówi, że rząd użyje „środków nielitościwych i radykalnych, nie przepuści przez granicę ani pismów (sic!) ani ludzi“, jeżeli nie będziemy działać ręka w rękę z nim, to znaczy, nie będziemy pionkiem, któryby rząd węgierski mógł jeszcze wysuwać przeciw Słowakom...

Hola! na tośmy za starzy i za doświadczeni.

Znamy drogę, którą mamy postępować i znamy środki, których użyć trzeba. Kto nas posądza o „wszechsłowiańskie“ dążności, jest takim samym ignorantem, jak ten, który w słowie „słowiański“ widzi tylko „rusofilstwo“, a slawistę uważa za panslawistę! Radzimy madiaronowi jąć się innej pracy, owocniejszej i wydatniejszej, bo nas ze Słowakami nie poróżni, ani nas w objęcia madiarszczyzny nie popchnie. Niech lepiej szczerze woła do swoich protektorów i pisze sążniste artykuły do *Budapesti Hirlapu,* że źle się dzieje na Spiżu i Orawie, bo lud poczyna się uświadamiać i dotąd niezmadiaryzowany tem trudniej później madiaryzacyi podlegnie. Staniemy tedy oko w oko jako otwarci wrogowie: my o sprawę świętą — oni pod sztandarem szowinizmu i wtedy może przestanie brzmieć fałszywa piosnka: „Węgier,

---

[1]) Odezwę pod tem hasłem hektografowano i za pośrednictwem *Gazety podhalańskiej* rozesłano dziennikom polskim.

Polak — dwa bratanki", bo będziemy wiedzieć, gdzie szukać braci, a gdzie się strzedz wroga.

R. Zawiliński.

O słowaczeniu i madiaryzacyi.

Zabiegi i starania *Świata Słowiańskiego* w sprawie polskiej na Górnych Węgrzech sprawiły przynajmniej tyle, że kwestya ta nie da się już umorzyć, przemilczeć i pogrzebać. Zajmują się nią nawet osoby nie obeznane jeszcze ze stosunkami na Węgrzech. Wiadomo jednak, że nieświadomość rzeczy bywa z reguły przy najlepszej nawet woli szkodliwą...

Coraz częściej ubolewa się, że lud polski tam narodowo nieuświadomiony i winę tego zwala się całkiem niesłusznie na Słowaków, zamiast przypisać ją sobie samym. Przez długie szeregi lat nie troszczyliśmy się przecież całkiem o ten lud, nie pracowaliśmy nad jego postępem kulturalnym i nie zdobyliśmy się ani na jedno publiczne wystąpienie w jego obronie wobec rządu węgierskiego. Od r. 1880. wymazywano imię polskie ze spisów ludności, ale przedstawiciele nasi w delegacyach uważali widocznie za rzecz nierozumną, z okazyi „jakiejś małej garstki na wpół zesłowaczonych Polaków" stać się niegrzecznymi i domagając się obrachunku, zrażać sobie rząd i naród, który zawsze „okazywał życzliwość względem narodu polskiego".

Zarzuca się też Słowakom, że polskich górali zesłowaczyli w kościele i w szkole, ale, ile w tem ich winy, o to się nikt nie pyta. W rzeczywistości „inni szatani byli tam czynni", tymczasem wszyscy potępiają „ślepy miecz", nie chcąc widzieć ręki, która nim kierowała. Jakkolwiek zaprzeczyć nie można, że lud polski ulega wpływom słowackim, jednak mimo tego musi się Słowaków z pod zarzutu usunąć, jeśli się zważy, wśród jakich okoliczności język słowacki zapanował we wsiach polskich.

W kościele kazali do naszych górali dawniej i dziś księża słowaccy w swym języku, ale wina tego spada na seminarya duchowne, których kierownicy od r. 1880. zaczęli na komendę rządu udawać, jakoby nie wiedzieli ani słowa o stosunkach etnograficznych na Spiszu i Orawie. Uwierzy w to każdy, kto wie, że biskupami w tych dyecezyach, gdzie lud polski żyje, byli przeważnie Madiarzy, w okropny sposób kaleczący język słowacki,

lub nieliczni madiaroni, wypierający się swej narodowości i posłuszni każdemu skinieniu rządu.

Zwróćmy np. uwagę na Akademię duchowną w Podhradziu Spiskim (Szepes-Varalya), która prawie wyłącznie dostarcza księży do wsi polskich. Panuje w niej atmosfera łacińsko-madiarska, chociaż stan kleryków mniej więcej tak się w niej zawsze przedstawiał: $^2/_3$ Słowaków, $^1/_3$ różnych narodowości (w tem najwięcej Niemców spiskich, 2—3 Madiarów, 1—2 górali polskich, uważających się za Słowaków). Przy nadawaniu posad nie uwzględniano wcale pochodzenia kleryków. Szedł więc po ukończeniu seminaryum Słowak np. do Niemców, po jakimś czasie był u Słowaków, potem przypadkowo dostał się do wsi polskiej. Całkiem więc odruchowo posługiwał się językiem słowackim, tem bardziej, że w seminaryum nie nauczono go używać innych podręczników, prócz słowackich; jednakże pieśni kościelnych polskich nie rugował. Jeśli zaś księdzem został góral z obszaru etnograficznie polskiego, prywatnie rozmawiał z ludem w jego gwarze, ale nigdy nie używał jej w kościele, uważając ją za kaleczenie języka literackiego słowackiego. Wielce charakterystyczny jest fakt, że ksiądz Haber, proboszcz w Zdiarze przed dwudziestu kilku laty, pochodzący ze wsi polskiej, kazał do ludu po słowacku, ale co jakiś czas sprowadzał na misye księży z Galicyi.

Jeżeli w głowie księdza, Polaka właściwie, zabrakło miejsca na jasne wykombinowanie swego pochodzenia, to czyż rozumnem byłoby wymagać od księży Słowaków z rodu, aby wpadli na myśl, że język górali nie jest jakąś dziwną gwarą, należącą jeszcze pomimo cech polskich do mowy słowackiej, lecz jest nieomylnie taki sam, jak na Podhalu.

Wprawdzie można to było odkryć bez studyów filologicznych, jednakże trzeba pamiętać, że zakątek z tamtej strony Tatr zabity deskami, a jak wiadomo, stosunki geograficzne zawsze oddziałują na umysły nawet inteligencyi. Szerzyli księża język słowacki nieświadomie, a więc żadnej propagandy nie uprawiali, dlatego nie powinno się im tego zarzucać, tem bardziej, że w gronie ich (wśród wsi polskich) patryotycznie usposobiona jednostka jest tak rzadka, jak kwiat jabłoni w jesieni; przeważna liczba zaś — to madiaroni.

O ile kościół był i jest instytucyą czysto słowacką, o tyle szkoła była zawsze słowacko-madiarska, a w ostatnich nawet latach, od wyjścia ustawy Apponyowskiej w r. 1908., czysto ma-

diarska. Wbrew jednakże temu rzeczywistemu stanowi rzeczy, niektórzy ludzie, politykujący mylnie, utrzymują, że szkoła we wsiach polskich jest rozsadnikiem słowaczyzny.

Ponieważ clara facta claros faciunt amicos, podajemy do ich wiadomości, co następuje:

Dzisiaj w szkołach tak ludowych, jak i wydziałowych, wszechwładnie panuje język madiarski i — przyznać to trzeba — robi nawet postępy. Znajomość jego bowiem otwiera przed każdym Magyarország, pozwala mu korzystać z praw wszelkich; bez niego jest poniewierany, lekceważony, zaliczony do pospólstwa, z nim może się zaliczyć do obywateli. Postępy jego są tem groźniejsze, że w miasteczkach, zamieszkałych przez ludność polską, wobec zaniku dawnego sposobu życia o charakterze patryarchalnym, każdy porzuca środki zarobkowania mało wydajne swoich pradziadów, a wzdycha do żłóbka rządowego lub lżejszych zajęć, dostępnych dla wykształconych, t. j. umiejących po madiarsku. Pamiętać trzeba, że taki staje się z czasem Madiarem „rodowitym". Naprzykład w Starej Lubowli, gdzie duch polski odzywa się z każdej piędzi ziemi, gdzie język polski obija się o ściany wszystkich domów mieszczańskich, gdzie ludność miejscowa ulice zwie po polsku, chociaż na kamienicach widnieją napisy tylko madiarskie, do rzadkości nie należy spotkać dzieci w wieku szkolnym, rozmawiające w języku państwowym, lub ojca, chwalącego się „świetnymi postępami" w madiarszczyźnie własnej dziatwy.

Ten sam charakter mają i szkółki wiejskie, bez względu na to, jakiego są typu.

W szkółce rządowej, typu pierwszego, utrzymywanej całkowicie przez rząd, nie usłyszy się ani jednego słówka słowackiego. Nawet w początkach muszą szwargotać dzieci po madiarsku. Szkoła tego typu teraz najwięcej się rozszerza za zgodą nawet nieuświadomionych górali, którzy tą drogą usuwają się od ciężaru utrzymywania szkół.

Drugi typ — to szkoła t. zw. „obecna" (gminna), czerpiąca pieniądze z gminy. W niej wolno w klasach I. i II. używać języka słowackiego, jako pomocniczego, ale żadną miarą nie śmie on przeważać nad madiarskim. Nauka postępuje bardzo radykalnie, bo w kl. III. już wszystko po madiarsku. Od woli księdza nawet zależy, w jakim języku ma się odbywać nauka religii, t. j. katechizmu. Oczywista, ksiądz madiaron uczy tylko po madiarsku. Jeśli proboszcz jest „narodowcem" (a tych we wsiach

polskich można zliczyć na palcach u jednej ręki), używa języka słowackiego. Ale i ten w szkole mieszanej, by jednych i drugich zadowolić, posługuje się madiarszczyzną.

Największą wolnością co do języka słowackiego, jako wykładowego, cieszyły się dawniej szkoły trzeciego typu, t. zw. „cerkiewne“, utrzymywane przez dyecezyę. Dzisiaj i one pod przymusem zakuwają głowy młodzieży językiem państwowym. Wprawdzie inspektor „cerkiewny“, ksiądz (ma poruczony nadzór nad wszystkiemi szkołami wyznaniowemi) możeby co pofolgował, ale inspektor rządowy nic nie podaruje, umyślnie prześladując taką szkołę swoją osobą 3—4 razy do roku.

Czy szkoły o tym charakterze mogą słowaczyć ludność polską? Twierdzić to ośmielają się jeno ci, co nie znają stanu faktycznego, a słowa puszczają na wiatr.

Pamiętać także trzeba, że dawniejsza szkoła słowacka wcale nie została narzucona polskim góralom przemocą. Jeszcze z początkiem drugiej połowy w. XIX. szkół we wsiach prawie nie było. Rolę światłodawcy spełniał wtedy człowiek cośkolwiek więcej od otoczenia umiejący czytać i pisać. Uczył w tym języku, jakim władał, a więc polskim. Zaopatrywano się naturalnie w książki polskie za kordonem, jak mi o tem w kilku miejscach opowiadano. Literackiego języka polskiego lud nie miał sposobności słyszeć na miejscu i wtedy rychło przylgnęło do niego pojęcie, że jest narodowości słowackiej, że jego mowa, to brzydka, ordynarna gwara, a język, w którym słucha Słowa Bożego w kościele, a w mieście urzędnik Madiar łamaniną jako tako może się z nim porozumieć — jest piękny, pański. Zaczął więc pogardzać swą mową, gdyż za ciężko było na jego rozum chłopski wyrozumować, jaka ona jest właściwie i zapragnął mówić „pięknie“. Gdy więc do szkoły organista, spełniający zarazem obowiązki nauczyciela, nie Słowak, ale P o l a k m i e j s c o w y, wprowadził język słowacki, nie wywołało to sprzeciwu, owszem, zadowolenie.

Mimo tego jednakże, wpływy słowackie, idące przez kościół i szkołę, musiały widocznie padać na grunt skalisty, skoro lud polski, pomimo ich oddziaływania przez długie szeregi lat, zachował po dziś dzień swe narzecze i strój ludowy.

Dziś Słowacy naszymi wrogami nie są. Kiedy bowiem w ostatnich czasach podniesiono u nas hasło obrony polskości na Węgrzech, w zasadzie uznali to żądanie za słuszne. Gdy broszurę

swą [1]) o ludności polskiej na Węgrzech, dla wysondowania opinii rozesłałem politykom, działaczom i księżom słowackim w okręgach polskich, otrzymałem wiele odpowiedzi bardzo przychylnych. Najciekawsze z nich, pochodzące od księży znających, a nawet badających obszar etnograficzny polski, ogłoszono w *Świecie Słowiańskim* [2]). Radziłbym każdemu przeczytać je, zwłaszcza wypowiedzenie księdza, ukrywającego się pod pseudonimem Szaryszanina [3]). Czy po przeczytaniu jego gorących słów, pełnych szczerego ciepła przyjacielskiego, mógłby się znaleść człowiek z otwartem czołem, któryby rzucał inwektywy na Słowaków, bardzo wątpię. Także organy wszelkich odcieni w recenzyach mej pracy i potem w artykułach, wynikłych z tego powodu, wypowiedziały się mniej lub więcej przychylnie i w niczem naszym żądaniom nie zaprzeczyły, chociaż, czytając ich odezwania, czuje się, że zostały skreślone pod świeżem wrażeniem przykrej niespodzianki.

Było nią bądźcobądź nasze wystąpienie, bo nie miano pojęcia o stosunkach etnograficznych w zakątkach górskich. Z natury już mało pochopne do okrojenia obszaru słowackiego, tem bardziej, że kurczy się on wciąż pod uciskiem madiarskim, odezwały się niektóre pisma trochę niewyraźnie. Skoro się jednak przekonały, że nie czyhamy wcale na ich wsie, a upominamy się tylko o swoje, co się nam należy sprawiedliwie, zajęły stanowisko jasne. Nieprzychylnie zaś o polskiej pracy na Spiszu pisały *Slovenske Noviny*, wydawane przez rząd po słowacku przeciw Słowakom z funduszów, skradzionych Macierzy słowackiej!!

Jeżeli tylko chcemy być sędziami bezstronnymi, a w ocenie faktów uwzględniać będziemy ich psychologiczne podłoże, stwierdzić musimy, że wszelka wina Słowaków opierała się na nieświadomości. Tego zaś o rządzie węgierskim powiedzieć nie możemy.

Świadomie bowiem narzucił wsiom polskim język słowacki w szkole i w kościele, by zdusić w piersiach ducha polskiego [4]).

---

[1]) „Ludność polska na Górnych Węgrzech", Kraków, 1911., odbitka ze *Świata Słowiańskiego.*

[2]) „Sprawa polska Węgrzech ze stanowiska słowackiego". *Świat Słowiański.* 1911. I. 115—127.

[3]) List ten ogłosiły po słowacku *Slovenske Ludove Noviny.* 1911. Nr. 7. z dnia 17. lutego.

[4]) Jak miły jest rządowi węgierskiemu język polski, pouczyć może fakt następujący. Między robotnikami w mieście słowackiem, Żylinie, przebywał emi-

Świadomie także jednem pociągnięciem pióra w roku 1880. umorzył rząd dziesiątki tysięcy ludu polskiego, wcielając je w społeczeństwo słowackie.

Na coś podobnego nie pozwalają sobie Prusacy i Rosyanie nawet w dzielnicach niepolskich. Dziwna jednakże jest nasza wrażliwość na razy. Gdy Prusak lub Moskal gnębi, to się krzyczy, gdy zaś Madiar, milczy się. Nie zrobił zaś tego rząd węgierski bynajmniej dla wzmożenia sił słowackich, jeno w innym celu. Przecież Madiarzy usilnie starają się, widząc swoje granice o kilkanaście kilometrów od Budzynia, rozwalić ściany malutkiego Magyarországu i doprowadzić do tego, by naród madiarski „polityczny“ był zarazem „etnicznym“. W zaciekłym szowinizmie dążą, by w paszczy molocha madiaryzmu spoczęły wszystkie narodowości węgierskie. Ł a t w i e j z a ś t o i m p o w i e ś ć s i ę m o g ł o b y z e S ł o w a k a m i, n i e m a j ą c y m i z a s o b ą n i k o g o, n i ż z p o l s k i m i g ó r a l a m i, z a k t ó r y c h p l e c a m i s t o j ą m i l i o n y r o d a k ó w.

Świadomie nie dopuszczał rząd z Galicyi księży do wsi polskich z kazaniami polskiemi. Koło r. 1880. biskup spiski, dowiedziawszy się, ile pod każdym względem dobrego robią w Galicyi misye i że także ludność ze Spisza bierze bardzo liczny w nich udział, gdy odprawiają się na pograniczu, zaprosił misyonarzy polskich do swojej dyecezyi. Misye już miały się odbyć, gdy nagle drakońskim telegramem z Pesztu zostały zakazane.

Księdzu H a b r o w i zaś, o którym powyżej była mowa, udawała się sztuka urządzania kazań polskich tylko dlatego, że robił to cichaczem.

Świadomie zabroniono pobytu we wsiach polskich ks. S t o j a ł o w s k i e m u w r. 1898., kiedy na Spiszu wszczął agitacyjną pracę w celu zorganizowania stronnictwa ludowego, chociaż poprzednio wszędzie przyjmowano go grzecznie, jako męczennika wolności, gdy schronił się na Węgry przed pościgiem władzy świeckiej i duchownej.

Świadomie z pruską brutalnością wyrzuca się z chałup osadników galicyjskich na Orawie i Spiszu, żeby nie wzmagał się

---

grant z Galicyi. Postarał się on o to, że w pochodzie wszystkich robotników dnia 1. maja 1912. r. Polacy zaakcentowali swoją narodowość w polskich napisach i przemówieniach. Wkrótce wytoczono mu proces z tego powodu i zmuszono do opuszczenia miasta (madiarskie napisy nie raziły !).

żywioł polski [1]). Gdy Polak ma kupić jaki majątek na pograniczu, to zwraca się przeciw niemu pokątna agitacya nietylko słowem, ale nawet piórem w dziennikach.

Świadomie nie pozwala się na dłuższy pobyt wśród górali polskich, zwłaszcza głębiej w kraju, nawet letnikom z Galicyi, nakazując „grenzpolicyi“ (határrendörség), rychtarom (wójtom) i wiejskim notarom śledzić każdy ich krok i donosić do władzy komitatowej. Osławiony przepis meldunkowy jest bronią samowoli wobec przejezdnych i zamieszkałych na pograniczu, których traktuje się jako uciążliwych obieżysasów. Grzeczność okazuje się nam tylko w ostentacyjnych narodowych uroczystościach, oraz w miejscach kąpielowych i klimatycznych, gdzie interes tego wymaga.

Świadomie, pod pretekstem moralności, zabiera się dzieci polskim rodzicom, wracającym z Ameryki, gdy małżonkowie, uznając ślub kościelny, w Ameryce zawarty, za ważny, nie chcą dokonywać ślubów cywilnych, wstrętnych dla siebie. Dzieci te umieszcza się w madiarskich zakładach wychowawczych i wychowuje się na Madiarów.

Świadomie zmadiaryzowano polskie nazwy miejscowości z przymiotnikami na alsó (dolny), felsó (górny), nagy (wielki), kis (mały). Posunięto się nawet do ostateczności, przekręcając całe nazwy na niepodobne madiarskie, np. Krzyżowa Wieś przechrzczona Keresztfalu, M. Sławków — Kisszałok, Strażki — Nagyör, Jurskie — Szentgyörgy, Słowiańska Wieś — Tótfalu, Drużbaki Wyżnie — Felsózúgó, Kołaczków — Kalács, Mniszek — Poprádremete, Łapsze Dolne — Alsólapos, Jurgów — Szepesgyörke, Kacwin — Szensmindszent, Stara Wieś — Szepesofalu i t. p. i t. p. Oczywiście, nazwa madiarska obowiązuje każdego wszędzie, w gminie, w sądzie, w szkole, słowem, w każdym urzędzie i widnieje nietylko na urzędowych napisach i ogłoszeniach, ale nawet na mapach.

Przecież Spisz i Orawa, gdzie lud polski zwartą masą żyje od wieków, na mapach Magyarországu są czysto madiarskie! Poczta zwraca listy i przesyłki, na którychby nie podano nazwy madiarskiej komitatu (megye) i miejscowości.

---

[1]) Zob. art.: „Ucisk Polaków na Węgrzech“, *Gazeta Powszechna,* Kraków, 1909., Nr. 64.—67., gdzie podany cały rejestr nieszczęśliwych ofiar barbarzyństwa madiarskiego.

Co więcej — nazwiska polskie kolą Madiarów w oczy. Ustawicznie więc wpływają na ludność, aby zmieniła swe „ordynarne“ miana na „pańskie“ — t. j.: madiarskie. Chętnych naturalnie wynagradza się. Gdy niejaki Szlachtowski Kuba (miejscowości urodzenia i zamieszkania umyślnie nie wymieniam), służąc w wojsku, nie chciał wyrzec się przodków, napierano na niego dopóty, aż doczepiono mu do nazwiska Ferenc. Od tej chwili on, góral, umiejący zaledwie kilka słów madiarskich, figuruje wszędzie na papierach urzędowych jako Szlachtowski-Ferenc.

Świadomie nie dopuszcza się do wsi pism polskich, nakazując odnośnym władzom albo je zwracać, albo nie doręczać adresatom.

Z rozmysłem rozszerza się w wielkiej ilości darmo lub za bezcen książki do nabożeństwa z tekstem podwójnym: słowackim po jednej stronie, a madiarskim po drugiej, oraz czytanki historyczne po madiarsku, bogato ilustrowane portretami królów i bohaterów madiarskich.

Faktom tym któż zaprzeczy? Wymowniej przekonywują o przyjaźni, niż mowy i toasty bawiących się w politykę patryotyczną studentów i młodych literacików.

Pierwszym zaś naszym postulatem jest uznanie polskości na całym obszarze etnograficznym i nadanie ludności takich przynajmniej „praw“, jakie posiadają Słowacy i Rusini, choć stan ich jest okropnie opłakany. Ponieważ zaś nawet dla najbardziej cierpliwych byłoby za długo czekać na przyszły spis ludności, należałoby teraz wydać do ostatniego urzędowego wykazu statystycznego z r. 1910. poprawki, któreby zredagowała specyalna do tego celu wybrana komisya. Zresztą może rząd, jeśli nietylko w parlamencie, ale wogóle wszystkie sprawy chce załatwiać szablą, powierzyć to zadanie żandarmom, pełniącym służbę w okręgach polskich, którzy, jakkolwiek Madiarzy lub Niemcy, nauczyli się wskutek dłuższego pobytu od ludności dobrze gwary góralskiej i wiedzą, w których wsiach ona panuje [1]).

Wprawdzie w ostatnim spisie po raz pierwszy od 30. lat

---

[1]) W Podolińcu raz za miastem spotkałem człowieka, pasącego krowę, który z ubioru jednak nie wyglądał na chłopa. Z ciekawości zbliżyłem się do niego, nawiązałem rozmowę w języku polskim i zadziwiłem się dość wielką poprawnością jego mowy. Był to Niemiec, który przez 20 lat służył w żandarmeryi w tych okolicach i nauczył się z konieczności po góralsku, t. j. po polsku. Umiał mi nawet wskazać granicę, gdzie ta gwara brzmi odmiennie.

częściowo uznano Polaków na Orawie w jednym tylko trstenskim okręgu, ale w namiestowskim i na Spiszu dalej wykazano ich w statystyce, jako Słowaków. Rząd powinien przychylić się do naszego żądania, jeśli w tym ostatnim kroku nie bawił się w najprostszą kokieteryę i działał z czystych pobudek.

Uznając jakąś narodowość, uznaje się i prawa narodowe. Dlatego też rząd, konsekwentnie postępując, powinien dotychczas istniejące szkoły zamienić na polskie. W seminaryum duchownem w Podhradziu należy obok słowackiego uwzględniać język literacki polski, a jak najszybciej osadzić w parafiach polskich księży „górali", pochodzących z terytoryum polskiego. Konieczna także, by zarząd dyecezyi, drogą specyalnego rozporządzenia, polecił tym księżom używać w obrzędach dodatkowych tylko języka polskiego, choćby w postaci gwary.

Z czasem zaś domagalibyśmy się przywrócenia nam gimnazyum pijarskiego w Podolińcu, dawniej, a nawet jeszcze w I. połowie w. XIX. ściągającego młodzież szlachecką z Galicyi, która nie chciała zapisywać się do szkół niemieckich. Kształciliby się w niem kandydaci na nauczycieli i urzędników państwowych, przeznaczonych do służby na terytoryum polskiem. Brak bowiem inteligencyi [1]) wśród Polaków daje się strasznie odczuwać. Gdyby znalazł się tam jaki Stalmach lub Cejnowa, stałby się postacią historyczną.

Gdyby nasze postulaty spełnione zostały, mieliby z tego korzyść i Madiarzy i Słowacy.

Jak byk sukna czerwonego, obawia się rząd widma panslawizmu i Czechów, popierających w sposób bardzo wybitny naród słowacki prawie na wszystkich polach. W tym wypadku niema innej rady, jak tylko postarać się, by kultura polska zbliżyła się do słowackiej i równoważyła wpływy czeskie. Jeśli rząd pragnie wytępić panslawizm, to któż mógłby być lepszym jego plewcą, niż Polacy, którzy krwią się bronili przeciwko niemu? Kultu dla knuta rosyjskiego szerzyć nie będą. Wprawdzie śmiesznem byłoby dzi-

---

[1]) Niektóre jednostki szlachetne starały się o kształcenie dzieci górali w szkołach galicyjskich. Trud ten bezowocny. Wykształcony bowiem w naszych szkołach nie miał po co wracać na Węgry, bo nie mógłby tam zająć stanowiska. Przeważnie też zostawał w Galicyi, nie spełniając nadziei w nim pokładanych.

Zamiast do szkół, lepiej byłoby ściągać do rzemiosł, bo dobry rzemieślnik w każdym kierunku jest bardzo pożądany we wsiach polskich.

siaj jeszcze wyrzucać Słowakom tendencye panslawistyczne, kiedy nawet starzy ich wyznawcy, mający niebawem złożyć swe kości na Św. Mar. Turczańskim cmentarzu, zwątpili w przybycie Kozaków za Tatry. Ale faktem jest, że co się psuło dziesiątkami lat, nie da się potem naprawić w jednym roku. Czy sami Słowacy nie są odpowiedzialni za to, że Madiarzy uważają ich za ofiarników panrusycyzmu i przeciwników Węgier? Demonstracyjnie przecież wyrażali nadzieję otrzymania wolności z łaski Rosyi, gromadnie uczyli się języka rosyjskiego, drażnili rząd nawet napisami rosyjskimi na nagrobkach cmentarnych i nic dziwnego, że polityka madiarska nie czuła się bezpieczną przy Słowakach. Minione czasy! Wyrosło nowe pokolenie, wcale nie panslawistyczne — ale Madiarom jest na rękę udawać, jakoby groził im panslawizm [1]).

Przy dobrej woli rządu, spokojnem i życzliwem pojmowaniu sprawy, mógłby wreszcie nasz lud wejść na drogę rodzimej kultury. Polityka reunionów jest dziś wykluczona, mogą więc całkiem bezpiecznie Madiarzy zrobić ustępstwa. Księża polscy i szkoły polskie — przecież nie sprzeciwia się to interesowi państwowemu, o czem zresztą sami wiedzą, skoro Niemców u siebie faworyzują i w niczem ich języka nie ograniczają. Znając charakter rządu węgierskiego, nie łudzimy się jednakże zbytnią nadzieją rychłego spełnienia żądań.

Wprawdzie w polityce stałych sprawdzianów niema; uwzględniono w statystyce trochę wsi polskich, nie zabroniono przed paru miesiącami misyj w Zdiarze, urządzonych przez OO. Redemptorystów z Podgórza — może inny prąd zapanuje w Budzyniu. Niech nas jednak o tem rząd przekona faktami.

Sprawę polską na górnych Węgrzech wszystkie stronnictwa powinny umieścić w swoich programach.

Żądamy, bo się nam należy, nie przyrzekając wcale w zamian za to podjąć się roli miotły, doczepionej do ogona madiarskiego, wymiatającej Słowaków z ich własnych rupieci! Rychłego załatwienia sprawy nie należy oczekiwać, bo wymagałoby to radykalnej zmiany dotychczasowego systemu madiaryzmu, na co się jeszcze na horyzoncie politycznym nie zanosi. Pamiętać bowiem trzeba, że w Translitawii panuje najzupełniej system pruski, który

---

[1]) Wszak madiaron, o którym mowa w poprzednim artykule (Polak zmadiaryzowany) nazywa — risum teneatis! — *Świat Słowiański* pismem panslawistycznem...

każe wszystkim obywatelom tworzyć jeden naród madiarski. Łatwo zaś rząd nie wyrzeknie się raz na zawsze marzenia o imperyum madiarskiem, piastowanego od pół wieku.

Dopóki jednak starania stronnictw będą bezskuteczne, nie wolno zadawalniać się czczym dymem przyjaźni i wieńcami u stóp kolumny Mickiewicza we Lwowie; nie należy tolerować toastowych wiwatów na cześć przyjaźni polsko-madiarskiej, a społeczeństwo polskie powinno się zachować z rezerwą jak największą.

Musi się rząd węgierski przekonać, że gdyby nas zlekceważył i w stosunku do polskich górali nie porzucił mętnej gry w polityce, sam sobie wyświadczyłby największą szkodę.

Barbarzyńskie bowiem prześladowanie Słowaków, gwałcenie wolności wyznania w cerkwi ruskiej, szczucie Serbów przeciw Chorwatom, oraz poniewieranie konstytucyą chorwacką — wszystko to podziałało otrzeźwiająco na społeczeństwo polskie. Kiedy wreszcie w Krakowie podniesiono głos publicznie w obronie polskiej ludności na Węgrzech, nie uznawanej przez rząd węgierski i zarzucono winowajcom w oczy hipokryzyę, przejrzała nawet ta część narodu, która ulegała jeszcze wrażeniom chwil z r. 1848. Pewnikiem jest, że łatwo nastałaby gruntowna rewizya przekonań w stosunku nas do Madiarów, gdyby przewlekano załatwienie naszej sprawy. Zmiana ta byłaby bardzo niekorzystna dla nich, toteż, jakby przewidując to, starają się wpłynąć przez zmadiaryzowanych Polaków [1]).

Słowami jednak łudzić się nam nie wolno, póki nie ujrzymy faktów.

Vide, cui fidas.

Edmund Kołodziejczyk.

---

[1]) Chcąc urobić sobie opinię przez dzienniki polskie, zaczęli Madiarzy w ostatnich czasach rozsyłać po redakcyach komunikaty, sporządzane ad usum delphini. Język tych elaboratów dowodzi, iż autorem ich jest człowiek, pochodzący ze wsi polskiej, z Podwilka na Orawie, który przed paru laty objeżdżał Polskę jako... Madiar. Jego autorstwu przypisać należy litografowaną odezwę, skierowaną do Braci-Polaków, w której podpisani „Górale z pod Babiej Góry, pracujący za dobro swojego ludu“, proszą nadewszystko, by nie łączyć się ze Słowakami, propagując sprawę polską na Węgrzech.

Roi się ona po prostu od bałamuctw, fałszywych twierdzeń i inwektyw tego rodzaju, jak n. p.:

„Przez trzy lata naszej cieżkiej prace rząd, władza i prasa węgierska zachowały się p r z e c i w n a m bardzo życzliwie“... „Towarzystwo Słowiańskie“ postanowiło połączyć się ze słowacką polityką i z pomocą tej działać w przyszłości

Wobec innych Słowian.

Faktem[1]) historycznym jest, że ziemia Spiska była długie wieki pod panowaniem polskiem, że słynne 12 miast spiskich, jako i ich okolica, miały i mają dotąd ludność polską. Faktem historycznie młodszym jest, że na Orawie, sąsiadującej z polskim Śląskiem, polską częścią zaboru austryackiego i polskim Spiszem, są dawni i młodsi historycznie (przybyli z tej strony Karpat) Polacy, że zatem na obszarze, tak zwanym słowackim, mieszkają Polacy; wszędzie i ciągle się z nimi Polacy rozmówią po polsku, oni mówią po polsku ze sobą i z Polską utrzymują stosunki. Corocznie ich spotkacie w Kalwaryi 13—15 sierpnia na wielkim odpuście maryackim, a jeśli operacyi chory poddać się musi, jedzie do klinik krakowskich, choć to droga ciężka, z kilkakrotnemi przesiadaniami, gdy do Budapesztu, Koszyc, Preszburga, Wiednia mieliby drogę łatwiejszą — ale jadą do Krakowa, bo tutaj się z lekarzami rozmówią snadniej. Wskazuję na momenty takie, w których nikt nie może znaleść jakiejś agitacyi. Krótko stwierdzamy, że w omawianej ziemi żyje 125.000 ludności polskiej, wedle statystyki urzędowej, więc prawdziwie znacznie więcej (porównaj: Edm. Kołodziejczyk: „Ludność polska na Węgrzech“, w *Świecie Słowiańskim*, 1910., II., 217—250. i w osobnej odbitce, oraz późniejsze przyczynki w *Świecie Słowiańskim)*. Ta ludność

---

w naszej sprawie — przeciwko Madiarom. Myśl to fatalna... Przecież nam nie grozi niebezpieczeństwo zmadiaryzowania, ba, niebezpieczeństwo zesłowaczenia! Przy takiem postępowaniu musielibyśmy przyjść do tego przekonania, że się Polakom „Towarzystwa Słowiańskiego“ wcale nie rozchodzi o nasz los i że nas tylko za narzędzie chcą użyć do swojej wszechsłowiańskiej i antymadiarskiej polityki“.

Odezwy tej inaczej traktować nie można, jak tylko humorystycznie. Tem się też tłómaczy, że „Towarzystwo Słowiańskie“ zupełnie na zaczepkę nie odpowiedziało. Ci „górale z pod Babiej Góry“ użyli jednak w „swej“ odezwie za wiele wyrazów cudzoziemskich i wyrażeń absolutnie niemożliwych u osób nie przejętych wpływami języków obcych. Niechże madiaron z Podwilka będzie na drugi raz... mniej naiwny!

[1]) Niemożliwe plotki, wyssane z palca „informacye“ (arcykomiczne nieraz) i wszelkie wogóle wymysły ignorancyi stosunków i spraw polskich — poczynają krążyć po prasie słowiańskiej na temat kwestyi polskiej na Górnych Węgrzech. Pewien „komplet“ cudacznych pogłosek doszedł via praski *Čas* aż do lublańskiego miesięcznika *Naši Zapiski* — ale pismo to — lojalne — nie wahało się zamieścić następnie i poniższego artykułu Dra J. Magiery, który wychodzi tedy równocześnie po polsku i po słoweńsku.

Przypisek Redakcyi.

polska nie posiada ani jednego nauczyciela polskiego, ani jednego księdza polskiego. Mieszkając wśród Słowaków, słuchając kazań słowackich (najtwardszy madiaron nie mówi kazań po madiarsku, ani nie modli się w madiarskim języku), śpiewając w kościele po słowacku i ucząc się religii po słowacku, słowaczy się tak samo naturalnie, jak się ruszczy wśród Rusinów, jak się niemczy wśród Niemców, amerykanizuje wśród Amerykan. Dzieje się to już siłą natury tem łatwiej, że chłop polski od niedawna się dopiero uświadamia lub jest uświadamiany narodowo. W rdzennej Polsce jeszcze nie rzadko spotykamy nieuświadomiony gmin polski, tem trudniej było uświadomić się narodowo ludności tej wśród obcych warunków życiowych.

W każdym narodzie, okazującym żywotne siły, szerzy się i wzmacnia praca narodowa. Wyrazem tej pracy są Towarzystwa, jak Schulverein, Matice Školska u Czechów, Družba sv. Cirila in Metoda na jugu słowiańskim, u Polaków Towarzystwo Szkoły Ludowej i t. p. Musiał też wcześniej czy później powstać kierunek tej pracy narodowej w Polsce dla Polaków pod panowaniem węgierskiem, a na obszarach rzekomo słowackich. Naturalną drogą powstała niejako filia ogólnego Towarzystwa oświatowego, która sobie wzięła za cel pracować dla dobra rodaków na Górnych Węgrzech, dawać im polską gazetę, książkę, a może kiedyś dać im też polską szkołę. Czyn zatem chwalebny. Że to się nie podoba takim Słowakom, którzy uważali już tysiące polskiej ludności za swoich, nic w tem niema dziwnego — ale niema w tem przecież walki przeciw Słowakom. Że z drugiej strony ruch pclski może się podobać któremu Madiarowi, także w tem nic dziwnego, bo w miarę uświadomienia się Polaków, którzy nie będą już potem liczeni za Słowaków, zmniejszy się statystyka słowacka. Polacy do milionowej liczby nie dojdą, więc madiaryzmu nie osłabią, nie są zatem groźni dla Madiarów. Na zewnątrz tedy wygląda to tak, że na ruchu polskim zyskują Madiarzy, zyskują Polacy, tracą tylko Słowacy. Nie dziwimy się więc, gdy strona słowacka zrazu ma jakby żal do polskiej. Trudno jednak żądać od Polaków, aby dla sympatyi ze Słowakami, zawsze żywej i serdecznej, mieli wyrzekać się własnych rodaków. Dla Słowaków nieprzystojną jest rzeczą gniewać się, że Polacy węgierscy życie narodowe odzyskują.

Uświadomieniem Polaków węgierskich kierują ludzie blizko nich mieszkający, sąsiedzi najbliżsi — wcale nie z Krakowa. Dziwnie też dla Polaków brzmi wiadomość, jakoby Dr. Koneczny,

redaktor *Świata Słowiańskiego*, kierował tą pracą oświatową na Spiszu. Tak źle u nas nie jest, żeby jeden człowiek miał robić wszystko. *Świat Słowiański*, organ słowianoznawców polskich, patrzy na całą Słowiańszczyznę z punktu widzenia polskiego i musi zapisywać przedewszystkiem te wydarzenia w Slawii, które interesują Polskę najbliżej i najbardziej. Dr Koneczny podniósł „kwestyę polską na Węgrzech" w *Świecie Słowiańskim* i ruch spiski musi tu być notowany, ale nie znaczy to przecież, że redaktor tego pisma kieruje owym ruchem. Wiadomość wspomniana jest tem dziwniejsza dla nas, że właśnie przeciwko sferze słowianofilskiej, w której żyje i redaktor *Świata Słowiańskiego*, podniosły się niedawno temu głosy (nawet drukowane), jakoby za wiele było tu słowianofilizmu, a za mało zrozumienia dla polskiej sprawy na Węgrzech. Zarzut to równie niesprawiedliwy, jak tamten niesłuszny.

W zimie tego roku był o sprawie polsko-słowackiej odczyt dyr. R. Zawilińskiego i w dyskusyi zabierał głos pewien Słowak, ciałem i duszą i duchem Słowak, ksiądz słowacki, ta niech powie, czy w „Towarzystwie słowiańskiem" krakowskiem i wogóle wśród Polaków znalazł choć odrobinę niechęci, nieżyczliwości dla Słowaków. Narodowy ruch między węgierskimi Polakami nie jest ani madiarofilski, ani antysłowacki (prawda, że nie jest przeciw-madiarski, takim też nie może być).

Jeszcze jedno. Czeski *Čas* biada nad ruchem polskim i przedstawia go jako wrogi Słowakom, a więc i Słowiańszczyźnie wedle rozumienia czeskiego. Znowu nie trzeba się temu dziwić, jeno należy szukać przyczyny. Słowieńcy sami jej tak łatwo nie znajdą, nie znają historyi i stosunków czesko-polskich. Otóż wśród Słowian katolickich na północ od Dunaju była i jest rywalizacya o pierwszeństwo w słowiańskim świecie katolickim, inaczej świecie habsbursko-słowiańskim lub austryacko-słowiańskim (n. p. w polityce państwowej) między Czechami a Polakami. Polacy mieli dłużej własną państwowość (do 1795., nawet do 1831.), mieli większą i wyższą kulturę, mieli i liczbę ludności większą, kiedy ta rywalizacya silniej się ujawniła. Mieli więc Polacy pewne atuty, jakich brakowało Czechom. Ale Czesi mają znowu inne atuty; energię i ruchliwość, zapobieganie o sympatye słowiańskie, świetną reklamę swej słowiańskości, czego Polakom brakuje. Pomaga im i ta okoliczność, że walczą w Austryi z wrogiem słowiaństwa, Niemcami, co ich robi popularnymi; gdy Polacy żyć muszą często w niezgodzie z braćmi Rusinami, co znowu ich czyni niepo-

pularnymi. Momenty te ułatwiają Czechom zdobywanie przewodnictwa w słowiańskiej habsburskiem, nawet na arenie jugu słowiańskiego. Do tego posiadają przemysł, z którym idą na jug i nawiązują stosunki z jugiem. Z każdym rokiem finansowo są coraz mocniejsi. Brak im jednak liczby ludności imponującej. Zawsze to Polaków naliczy się najmniej 18 (do 20) milionów, a Czechów 6—7. Więc też wolą się nazywać Czecho-słowianami, aby wliczyć do siebie Słowaków, bo wtedy już do 9 milionów nawet dosięgną. Oderwanie się literatów słowackich w połowie XIX. w. od języka literackiego czeskiego było bólem dla Czechów, który uleczyć i dziś jeszcze próbują i nie wyrzekli się przyciągnięcia Słowaków do siebie, zjednoczenia ich ze sobą. Wszelkie zatem statystyczne osłabienie Słowaków uważają i uważać muszą Czesi za osłabienie własnej liczby. Przedewszystkiem zaś odczuwa to *Čas* praski, który Słowaczyźnie dużo uwagi poświęca i ma osobne rubryki „Ze Słowaczyzny". Jeśli tedy Polacy na Węgrzech uświadamiają się, to my Polacy całkiem dobrze rozumiemy, dlaczego Czesi nie są z tego zadowoleni. Możnaby im jedno tylko przypomnieć: na Śląsku powiadają, gdy im kto zarzuca czechizowanie Polaków, że to jedno przecie, czy kto będzie Czechem czy Polakiem, bo będzie Słowianinem, byle jeno nie stał się Niemcem — więc tutaj powinnoby im być jedno, czy kto będzie Polakiem czy Słowakiem, byle nie był Madiarem; tylko że im nie idzie o to, aby był Słowianinem, lecz aby był Czechem. Tak. Ich ubóstwiany Havliček powiedział, że wyjechał z Pragi Słowianinem, a wrócił Czechem; dodał, że nie posiada tyle serc, ile jest narodów słowiańskich, ale jedno tylko i to oddaje całe swojej ojczyźnie. A Havliček ideałem każdemu Czechowi.

Te momenty uwzględniać trzeba, gdy jest sprawa jakaś czesko-polska, słowacko-polska, czy wogóle słowiańsko-polska. Wszak i od Czechów wyszło, że Polacy nie są dobrymi Słowianami, potem się ten sąd zmieniał coraz silniej, że nie są Słowianami, że są wrogami, a nawet zdrajcami słowiańskiej idei (gdy nie chcieli z czarnosecińcami carskimi razem siedzieć). Różni Słowianie tych Polaków w różnym stopniu ujemności oceniali i oceniają!

Jestto z mej strony sąd zupełnie objektywny. Wiem, że Czechów za wzór sobie wszyscy brać musimy i naśladować ich, gdy nie chcemy zginąć w walce ludów i narodów. Żaden naród słowiański nie budzi tyle respektu i uznania, ale i w uznaniu oraz respektowaniu nie trzeba być ślepym lub niewidomym.

Dr. Jan Magiera.

Petar Petrović
dramatyk serbski.

(Dokończenie).

Jest jeszcze jedna zasadnicza kwestya, której pominąć nie możemy, a na którą zwrócił już uwagę jeden z głębszych krytyków chorwackich, Branimir Livadić[1]). Zastanawia się on nad psychologicznem znaczeniem płaczu i stosunku jego do istoty dramatu, oraz roli, jaką on w poezyi dramatycznej zajmuje, względnie zająć winien. O ile cały utwór Petrovića i osnowę jego przyjmuje krytyk z wielkiem uznaniem, o tyle z drugiej strony jest zdania, iż właśnie wybór tematu wyszedł „na szkodę wewnętrznej, dramatycznej strukturze pojedynczych jednoaktówek“... „Poprzez całą tetralogię bowiem uderza jasno ambicya autora, aby zawsze przedstawić jeden typowy moment, który kulminuje we łzach. Takim momentem kończy się każda jednoaktówka. Tymczasem, jeśli zagłębimy się w psychologiczną naturę płaczu, zauważymy, że płacz jest pewnego rodzaju passywnym stanem naszej duszy. Płacz jest jednym z martwych punktów duchowej działalności. Jest to jakieś gwałtowne przerwanie przeciągniętych, duchowych napięć; pewien przełom, pewna przerwa w akcyi naszych uczuć i namiętności. Czyż może się więc płacz zużytkować, jako szczyt dramatycznego działania? Czyż może akcya dramatyczna kulminować na punkcie martwym? Nie zatracaż ona, przemocą złamana, głównej cechy dramatycznej: konieczności, i nie wpadaż ona, gwałtem przerwana, w prostą przypadkowość, ową najbardziej niedramatyczną właściwość?

„Bezwątpienia, i w najlepszych produkcyach dramatycznych znajdują się sceny, które dochodzą do punktu kulminacyjnego we łzach. Jednakże sceny te nie śmią być szczytem całej dramatycznej akcyi. Ona przechodzi poprzez te sceny, i właśnie to przejście potęguje jej dramatyczność. Mimo łez i płaczu przechodzą w wiecznej walce ścierające się, tragiczne konflikty, w jakie popadają bohaterowie dramatów.

„Gdy Petrović doprowadza każdą jednoaktówkę do łez i niemi kończy, wnosi do dramatu stagnacyę, która nie mi-

[1]) Por. jego ocenę p. t.: „Petra Petrovića „Suza“. Premiera u hrv. kazalištu dana 19. rujna 1907.“. W *Savremeniku*, rocz. II. (Zagreb, 1907.). Str. 645—649. Loc. cit. 646.

jając, rozwadnia dramatyczne wrażenie. To są epiczne zakończenia. A gdy się powtarzają aż cztery razy, rozluźnia się cała tetralogia w epiczną kompozycyę“.

W rozumowaniu powyższem, uwzględniającem bardzo słusznie i trafnie psychologiczną rolę płaczu oraz moment stagnacyi, jaki się w nim kryje, tkwi jednak jeden zasadniczy błąd, czy przeoczenie. Punkt wyjścia krytyka jest fałszywy: zabiera się do „Łzy“ Petrovića, jako do gotowego dramatu czy czterodramatu, podczas gdy on już a priori, z tytułu swego, charakteru i kompozycyi całej zdradza najbardziej typowe liryczne pochodzenie, założenie i przeprowadzenie.

Co jest w całej tej tetralogii dramatycznego, to tylko momenty, które pojawiają się — jak i w wyrwanych z życia epizodach i fragmentach — przygodnie, oderwanie, sporadycznie, bez pełnego wyjaśnienia ich genezy, bez podania ich rozwoju, a stąd i pełnej, dramątycznej akcyi. Nie o akcyę chodzi w tych czterech obrazach, bo na nią za mało i czasu i tła i przestrzeni, ale jedynie tylko o moment, o nastrój chwili, która w łańcuchu z całym szeregiem innych, podobnych, czy odrębnych, daje dopiero głębszy obraz całości — nie akcyi żadnej znowu, ale wrażenia, ale nastroju tej utajonej, niewypowiedzianej w działaniu scenicznem, ale ukrytej w symbolu całego utworu myśli poety.

A charakter tej myśli, nastrój tych epizodycznych obrazów i chwil „królowania“ łzy człowieczej, nie miał być — zdaniem naszem — w danem założeniu ani dramatyczny, ani epiczny — nie szukał wyrazu ani w scenicznem działaniu, ani w powieściowem opisywaniu, ale jedynie w nawskróś lirycznem odczuciu.

Takim przedstawia się Petrović z każdej sceny przepięknej pieśni dramatycznej o łzie; takim zresztą był i w pierwszych swych obrazkach i nowelach; odłożywszy na bok dramatyczne koturny, zresztą dla pomysłu jego najzupełniej nieodpowiednie, tą samą techniką pisarską, co owe pierwsze szkice wiejskie z Liki, stworzył *Suze*.

Ostatnia sztuka Petrovića przenosi nas w sferę czysto psychologicznego dramatu, na co wskazuje już sam tytuł jej: *Duše* („Dusze“). Tła jednak dotychczasowego poeta nie porzuca, pozostaje wiernym swej Lice i jej ludowi, z którego bogatego życia czerpie hojną dłonią dla całej swej twórczości.

Bujne, smrekowe wzgórza z nad przecudnych jezior plitwi-

ckich i tutaj rozsnuwają przepyszny krajobraz licki, na tle którego zarysowują się z całą plastyką i żywością ponure tym razem kontury życia wiejskiego. Dwie nad niem posępne chmury przeciągają, a każda z nich coraz potężniejszem skrzydłem, niby całunem śmierci, zakrywa słońce i szczęście. Pędzone niewstrzymanym wichrem losu, przewalają się i kłębią nad tą krainą przepiękną, spadając na nią w piorunach nieszczęścia, wstrząsając nieskończonym pomrukiem niedoli, bijąc gradem krzywdy, niesprawiedliwości, zbrodni.

Te dwie, nieszczęściem ciężarne chmury — to dwa tragizmy, wiszące nad lickim ludem. Jeden zawisł nad całem tłem i myślą przewodnią dramatu — to tragizm konieczności wychodźtwa; drugi, z tamtego niejako zrodzony i wypływający, tragizm niedoli i opuszczenia żon wychodźców. O ile pierwszy, jako objaw powszechny, klęska całego kraju, przeradza się w dramacie w poważne i trudne do rozwiązania zagadnienia społeczno-narodowe, o tyle drugi, sam w sobie ciaśniejszy i tamtemu podporządkowany, rozdrabnia się na dziesiątki i setki cichych, przelotnych tragedyj rodzinnych, które, jako motywy dramatyczne, jako przedmiot literacki, stanowią nieoceniony materyał dla artysty.

Pierwszy czynnik rozwinął poeta żywo i naturalnie a dyskretnie, unikając przeładowania nim dramatu, który łatwo stać się mógł pod wpływem zbyt silnej tendencyi rozprawą na temat społeczny, publicystyką, a nie dziełem sztuki. Podkreślił w nim poeta ten najtragiczniejszy, stale wyzyskiwany, a nigdy niewyczerpany konflikt, jaki zachodzi pomiędzy koniecznością materyalną, wypędzającą lud z jego prastarych gniazd, a tem żywiołowem, pierwotnem, niepokonanem przywiązaniem do rodzinnej ziemi i ziemi wogóle, do tego ugoru ziemnego, co wessał w siebie krwawy pot i łzy tylu pokoleń.

Namiętność i potęgę tego przywiązania ludu do ziemi odczuł i zrozumiał Petrović tak, jak tylko odczuć potrafi prawdziwy artysta i doskonały znawca duszy ludu. Łamania się tego uczucia, borykania z setkami przeciwieństw, to z nadzieją zysku i dobrobytu, to z przeczuciem klęski, to z rozpaczliwą goryczą i zniechęceniem, gotowem rzucić wszystko na jedną kartę, z nieugaszonym pożarem tęsknoty — wszystkie te łamania się chłopskiej duszy, jak niezłożone są one i proste, a jak mimo to potężne i głębokie, ze spokojem, z powagą i prawdą najszczerszą odtwo-

rzył autor w trzech postaciach swego dramatu: Nikoli, Stevicy i Leli.

Toteż krytyka chorwacka powszechnie z uznaniem podnosi przedewszystkiem ten właściwy poecie sposób odtwarzania duszy chłopskiej, tę zasadę odsłaniania jej tajników środkami jak najprostszymi, a przez to i najzgodniejszymi z ich bezpośrednim wyrazem w rzeczywistem życiu chłopa. Życie to proste, pierwotne, niezepsute — pisze np. F. Jermolov[1]) — „bez wielkich powikłań i bez wielkich afektów. A jeśli przyjdzie do jakiego wypadku groźniejszego, który wstrząśnie potężniej Ličanina duszą, to wówczas ten prosty nasz chłop nie straci się w nim cały, on wyrzeknie jedno tylko, nieznaczne słowo i po niem jedynie poznasz, że się w nim coś „złamało“, „skruszyło“... Dlaczego się tak stało — nikt się o to nie pyta. Złe czy dobre przyszło, przyjąć je więc, pogodzić się z niem należy tak, jak przyszło“.

W tym pierwszym motywie, wypływającym z zagadnienia ogólno-włościańskiej dzisiaj doli, dotknął Petrović tych samych ran, które u nas już tylokrotnie rozwijano i przewijano w utworach Prusa i Orzeszkowej, Junoszy, Konopnickiej, Orkana i tylu innych, a które najszczytniejszy wyraz znalazły w „Panu Balcerze w Brazylii“. I trzeba przyznać, w stosunku do swego społeczeństwa i jego ludu, w stosunku do losów Liki i Ličanów, Petrović z niemniejszą, jak u polskich pisarzy, miłością i znajomością rzeczy, z niemniejszem poczuciem harmonii, daje wyraz artystyczny tym wszystkim troskom, przeczuciom i nadziejom, jakie nurtują w duszy narodu jego.

A dziwnym zbiegiem podobieństwa niemniej i drugi problem w dramacie Petrovića jest jakby dalekiem echem poezyi polskiej. Oto — motyw tak znany u nas w pieśni ludowej, tak przepięknie wyśpiewanej przez Mickiewicza w balladzie o „pani, co zabiła pana“, a następnie tak szczęśliwie przekomponowany na dramat przez Lud. Hier. Morstina („Lilie“), tenże sam motyw w założeniu swem jest osnową i dramatu Petrovića.

Brat bratu serce żony-kochanki wykrada. Gdy pierwszy za chlebem w świat idzie, z nadzieją lepszej, wspólnej doli samotną niedolę znosi, gdy na skrzydłach słodkiej tęsknoty na ojcowiznę wraca, drugi żonę mu w sidła grzesznej miłości pęta, nieszczęście gotując bratu, niewieście i sobie. Rozwiązanie konfliktu tylko zu-

---

[1]) Por. fejleton w dzienniku *Obzor* z maja 1910. r.

pełnie odmienne, aniżeli w polskiej legendzie. Gdy bracia, wściekłością porwani, rzucają się do walki, nieszczęsna Lela życie sobie odbiera, usuwając się, jako przedmiot niezgody bratniej, z drogi powaśnionym.

Lecz dramat „dusz“ z śmiercią tą się nie kończy. Mąż Leli, Nikola, walkę toczy wewnętrzną; — przeszłość i obecność biorą się w niej za bary — wspomnienie szczęścia, minionego na zawsze i krwawej hańby, spełnionej przed chwilą... Próżne złudzenia! Szukać pójdzie nowego życia, nowej pracy i zapomnienia, nowego — może — szczęścia... W świat pójdzie daleki, za morze!...

Wtem cichą pieśnią wieczoru odezwą się łąki wokoło — świeża, zorana ziemia wonią nań tchnie czarowną i taką mocą odurzy tajemną, że nogi, do drogi gotowe, stają ubezwładnione; znękaną myśl coś przygniata do ziemi, a pierś szeroka gwałtownie powietrze chwyta, jakby już ostatnie miała wydać tchnienie. Ziemia-matka czar swój tajemny nad wiernym synem spełniła. I on powraca z drogi do ojczyzny, w zbiedzonej ziemi nowe odnajduje skarby, w jej bruzdach czarnych nowy promień życia — i wraca Nikola, odrodzony, silny i „orkę pozdrawia, niby gody najświętsze swego nędznego żywota“.

Już ta pobieżna analiza utworu świadczy wymownie, o ile pogłębił autor swe spojrzenie w duszę ludu i jak odmienną jest koncepcya fabuły i postaci „Dusz“ w porównaniu z poprzednimi jego utworami. To już nie typy tylko — doskonałe, żywe, zajmujące — to nie wierna podobizna zewnętrzności życia, które otacza poetę, nie barwne obrazki, szkice i portrety — ale głęboka otchłań duszy ludzkiej, pierwsza u Petrovića poważna próba psychologicznego dramatu, która „pragnie przedstawić wewnętrzne konflikty ducha, a zawsze na tle jednej, charakterystycznej, z całą istotą ludu chorwackiego zrośniętej właściwości: jego tajemnej i niepokonanej miłości do rodzinnej ziemi“, — to są „dusze z rodną ziemią jedne, bez niej zatracone, z nią tego samego losu i przeznaczenia“ [1]).

Tak zapatruje się na ostatni dramat Petrovića i nieskora do pochwał na tem polu krytyka chorwacka, uważając „Duše“ jego

[1]) Por. uzupełnienie oceny F. Jermolova (Peter Petrović: „Duše“), przez *Id.* (Ibid.). — Por. też sprawozdania w innych czasopismach chorwackich, jak: *Hrvatska, Hrv. Pravo, Savremenik, Prosvjeta* i inne z maja i czerwca 1910. r.

za wielki krok naprzód w dotychczasowej twórczości poety i za cenne zadosyćuczynienie tym wszystkim nadziejom, jakie od pierwszej chwili pokładano w autorze „Wielkoluda“.

Petar Petrović jest bezsprzecznie najlepszym, a przynajmniej jednym z najlepszych dzisiaj w Chorwacyi i Serbii pisarzem dramatycznym na tle ludowem. Nie jest to już tylko „pisarz ludowy“ tej miary, co n. p. Josip Freudenreich w Chorwacyi, lub u nas Władysław Anczyc, obaj niespożytych zasług dla sceny narodowej i ludowego dramatu — ale zarazem i dramatyk-artysta, umiejący dla szerokich rozmachów chłopskiej duszy, dla pierwotnych oddźwięków jej myśli i uczuć znaleść odpowiedni wyraz artystyczny, odpowiednią formę dramatycznego piękna, harmonizującą się w zupełności z prawdą i rzeczywistością życia.

Nie byłby zupełnym portret serbskiego dramaturga, gdybyśmy nie wspomnieli o twórczości jego, jako nowelisty. — Wprawdzie zadaniem naszem było dać obraz jego dramatycznej działalności i powodzenia na scenie zagrzebskiej, cała jednak karyerya jego, jako autora dramatów ludowych, wzrosła na podłożu nowelistyczno-powieściowem, przygotowaną została przez długi łańcuch szkiców, nowel i opowieści na temże samem tle Liki i jej mieszkańców, z którego wyszły wszystkie dramaty Petrovića, z którego wzrósł i rozwinął się sam poeta.

Niestety, wyczerpującego obrazu nowelistycznej działalności Petrovića dać nie możemy, choćby z tej przyczyny, że powieściowe jego utwory nie ukazały się dotychczas w osobnem, zbiorowem wydaniu, lecz tułają się i gubią rozrzucone po licznych czasopismach chorwackich i serbskich. Nie kusząc się tedy o zobrazowanie całokształtu jego dorobku powieściowego, postaramy się na kilku charakterystycznych próbkach przedstawić właściwości pióra serbskiego nowelisty.

Skala motywów w obrazkach Petrovića nie jest zbyt wielką: w trzy zasadnicze grupy dadzą się one ująć, zależnie od przedmiotu, nastroju i techniki, jaką kreśli autor swe szkice z Liki.

Najbogatszą grupę stanowią drobne, fragmentaryczne szkice i obrazki, polegające na czystej obserwacyi, na żywem chwytaniu typów i charakterów wiejskich, oryginalnych epizodów i sytuacyj, illustrujących barwnie i wyraziście życie wiejskie.

Jest to jakby surowy materyał dopiero, z którego pendzel czy dłuto artysty, oraz głębsza myśl psychologa stworzyć mogą

nowe kreacye psychiczne i nowe życia widnokręgi. Podziwiać w nich należy subtelny zmysł odczuwania i odnajdywania utajonych sił i wartości w tych surowych, nieobrobionych bryłach granitu, jakie przedstawia pierwotne życie ludu lickiego. Cenić w nich musi każdy bystrość i głębokość spostrzegania najdelikatniejszych strun duchowych, z których, jak z wytwornej przędzy, snuje autor wewnętrzną treść swych postaci.

A wśród ich długiej galeryi szczególnem upodobaniem autora cieszą się te, co ponad poziom tłumów wyrosły, co niezwykłością swych rysów uderzają w oczy i w śmiałych, jaskrawych plamach rozrywają szarzyznę powszedniości. Doskonały przykład takiej kreacyi mieliśmy już w „Wielkoludzie“, którego typowym kontrastem jest świetnie podpatrzona postać garbuska „Bogalja“ w jednej z wcześniejszych nowel Petrovića [1]). Takim jest i ów bezimienny olbrzym w kajdanach, z którym i najtęższi parobcy unikają zwady, choćby o najpiękniejszą szło dziewczynę. („Što neću zaboraviti“ [2]). Wygląda on, jakby był prototypem „Rkaća“— pierwszą próbą odtworzenia bohaterskiej postaci późniejszego dramatu.

Gdzieindziej znów na pierwszy plan się wybija motyw namiętności nieokiełzanej, co w tych duszach gorącego południa nabiera skrzydeł jakiejś fatalnej mocy, przygniatając niemi i miażdżąc nie jedno życie, nie jedno szczęście gniazda rodzinnego. Ofiarami takiej mocy fatalnej są Radoje i Ruja z trzeciego fragmentu wspomnianych wyżej szkiców — i nie nazwana bohaterka jednej z największych i najgłębszych pod względem psychologicznym opowieści Petrovića, „Dymu“ [3]) i tych, co za nią, niby ćmy w płomień lecą i ta wreszcie nieszczęsna ofiara brutalnej wściekłości i pieniackiego obłędu, której szkic tylko pobieżny, lecz niezrównany dał poeta w szeregu urywanych fragmentów [4]).

Inną grupę stanowią nowele Petrovića, w których obserwacya typów i charakterów ustępuje wyższej idei społecznej, pojawiającej się u niego, nie jako płytka tendencya, ale jako poważne zagadnienie, co opanowywa całą myśl jego w gorącem współczuciu

---

[1]) Bogalj = kaleka, niedołęga, nieborzę, tutaj garbus. — Obrazek z życia ludu lickiego. Fejl. *Narodn. Novin*, z 2. i 3. paźdz. 1903. r.

[2]) „Czego nie zapomnę“. Fragment II. *Narod. Novine.*

[3]) „U dimu“ (*Savremenik.* God. IV. 1909. Str. 46 i nast., 103 i nast., 163 i nast., 211 i nast.).

[4]) Por. Škica (*Savremenik.* God. II. 1907. Str. 475—80).

dla ciężkiej doli ludu. Myśl tę znamy już także z dramatów Petrovića, gdzie dotknięto jej kilkakrotnie: to bolączka wszystkich społeczeństw, co ekonomiczną i materyalną toczą walkę z silniejszymi od siebie, a nie mogąc jej podołać, najlepsze swe siły, najtęższe ramiona i umysły słać muszą w świat daleki, na obczyznę, za morze. I tak wyczerpują się, rozdrabniają i niszczą siły narodu, na służbę idą obcym, na poniewierkę w tułaczce; obcy świat karmi się ich sokami, tuczy się i bogaci, gdy tymczasem w kraju ziemia rozpęka się, leżąc odłogiem, czarne ugory chwastem zarastają, a dom się cały rozprzęga, wymiera, jałowieje.

Wychodźtwo za morze, do Ameryki — to jedyny środek, by ratować resztki mienia i życia. Ile jednak bólu, ile niedoli i smutku niesie to morze i obczyzna, ile zaparcia się trzeba, ile w tęsknocie nieprzespanych nocy — to powiedzieć może taka tylko znękana, tułacza dusza, co dla miłości rodnego zagonu i braci wyrzekła się własnego szczęścia. Ile tragedyj cichych a beznadziejnych wyrosło na tem smutnem tle wychodźtwa, wiedzą dobrze ci wszyscy, co spojrzeli choć raz oko w oko doli słowiańskiego ludu.

Poznał ją nawskróś i nasz poeta i w szeregu obrazków, jak: „U predvečerje“ [1]), „Jaz“ [2]), „Pismo“ [3]) i wiele in., z całą siłą odczucia przedstawił te niezliczone tragedye rodzinne i społeczne, jakie z sobą niesie wychodźtwo ludu.

Oto jeden z bohaterów rzuca szczęście domowe i spieszy za morze, by ratować „rodjenu grudu“. Młodość, siły, sokole serce trawi w nadludzkim znoju, wracając cieniem do ojczystej zagrody, gdzie tymczasem obcy ptak wdarł się do jego gniazda. Brat rodzony — jak w „Duszach“ — uwiódł mu ukochaną dziewkę i słodycz szczęścia z nią spija — szczęścia, co dla biednego tułacza zakwitło, na które lat tyle naprożno srogą krwawicą się zasługiwał. Lecz gorącą duszę spaliły w młodzieńcu trud i tęsknota. W tępem odrętwieniu spojrzał na szczęście kochanków — ciężko mu, boleśnie patrzyć na sny wykradzione, a jednak siły już nie ma, by walczyć przeciw krzywdzie. I nacóżby się zdało? — Kochają się wzajem, niechże więc żyją pospołu... Jemu raczej usunąć się trzeba — jemu, który nie umiał za młodu pochwycić w lot

---

[1]) „Pod wieczór“. *Savremenik.* God. II. 1907. Str. 26 i nast.
[2]) „Otchłań“. Tamże. God. III. 1908. Str. 35 i nast., 75 i nast.
[3]) „List“. Tamże. God. V. 1910. Str. 197 i nast., 265 i nast.

gwiazdę, co nad nim wzleciała, jemu cierpieć za winy niepopełnione..., jemu pchać dalej taczkę niedoli i nie mącić tej szczęścia harmonii, co tamtym rozbrzmiała... Jego miejsce gdzieindziej, jego życie odmienne: w szalonym pościgu zysku i tęsknoty, w wiecznym huku żelaza, maszyn i młotów, pośród czarnego mrowiska niewolników złota... I nędzny tułacz, ledwie stanął na ojczystym progu, tęsknotą rozpaczliwą wiedziony, zamarzył o — oceanie i o powrocie myślał do Ameryki... („Jaz").

Gdzieindziej znowu ileż nielitościwej prawdy życiowej w tem cichem „p r e d v e č e r j u", kiedy dwoje wiernych małżonków staje wobec siebie, oko w oko, po długich latach rozłąki i cierpienia i czytają z lic swoich, zoranych krwawemi bruzdami niedoli, że niemasz już dla nich szczęścia ni radości, że młodość sokolą !ute wichry porwały, zostawiając, jakby na urągowisko, wyschłe czerepy tylko i kości, wiekiem sterane, udręką tęsknoty — grobu, nie szczęścia spragnione...

Lub ileż znowu rozrzewniającego uczucia, ile niezrównanych spostrzeżeń, a zawsze tak ciepłych, szlachetnych, w głąb duszy idących — w tym świstku papieru, co przyszedł z za morza, a teraz drży w rękach staruszków, jakby na pocieszenie ostatnie, jakby na łzy pożegnania przed... śmiercią. Ileż świeżego uroku w tych słowach, serdeczną krwią, choć ciężką pisanych ręką — w słowach, co tak żywem brzmią echem niezapomnianych strof z „Pana Balcera":

— — — „Ja sam, fala bogu, zdrav, koje i vama želim od dragoga boga i da vas ovo mo'e pismo zateče u zdravlju i veselu. Ja Radojica Gjukić pozdravljam sad moju majku i mog dragog ćaku, strinu Pelu i strica Jakova, onda pozdravljam — — —". („Pismo", str. 199).

Ostatnia grupa szkiców nowelistycznych Petrovića, sięgająca już w krainę c z y s t e j p s y c h o l o g i i, a zrywająca z ulubionem przez poetę i doskonale znanem mu tłem Liki i Ličanów, przedstawia bezsprzecznie najsłabszą stronę jego literackiej twórczości. Widać z każdej jej karty, że autor pierwsze kroki w tej dziedzinie stawia, że brak mu pełni tonów i kolorów, któremiby mógł odtworzyć wizye swej fantazyi tak żywo i plastycznie, jak to bywało w poprzednich utworach.

Jeszcze najbardziej sobą jest poeta, gdy kreśli przesmutne wspomnienia z własnych lat dzieciństwa („Što ne ću zaboraviti"

Fragm. I. i „Od toga dana“... [1]), w których się tak boleśnie zarysowuje ponura postać jego ojca. Gorzej bywa, gdy chwyta się autor obcych sobie tematów, w których staje się sztucznym, zatraca swobodę ruchów, myśli, języka, razi nieszczerością, sili się na oryginalność, wpada... w pretensyonalność [2]). Nieliczne zresztą te wyjątki są wystarczającą wskazówką, że nie powinien autor przedewszystkiem porzucać tła ludowego, którego istotę, duszę i życie zna na wylot, z którem się zrósł wszystkiemi ścięgnami swej duchowej struktury. Trzymając się tego tła, dał dowód, że nawet w większych kompozycyach i przy pogłębieniu pierwiastka psychologicznego (jak n. p. w Duszach i W dymie), wywiązywał się autor z zadania szczęśliwą ręką i z korzyścią dla całej swej literackiej twórczości.

Dziwnym zbiegiem podobieństwa cały dotychczasowy dorobek nowelistyczny Petrovića wykazuje bardzo wiele pokrewieństwa z tego samego typu utworami chorwackiej nowelistki, Zdenki Marković [3]). Szkice ich i obrazki, jakby świadomie i celowo, uzupełniają się nawzajem. Jeśli u Petrovića zachwycona, ponura i tragiczna strona życia wiejskiego, to u Markovićówny odzwierciedlają się w całej pełni wszystkie światła i radości tego życia. Ona w słońcu i barwnym rozkwicie godów weselnych maluje swe slawońskie „seje“ i „snahe“, „maje“ i „bake“; on, choć mu nie obce i letnie upały sianożęcia i winobrania — w pomrokach nocy i namiętności rozpętaniach śledzi „momke“ i „rkaće“ i „junake“, w borykaniu się z losem-niewiarą dolę ich kreśli. Toteż u Zdenki Marković liryka najczystsza, rozśpiewanie kwiatów i woni w miłosnym pląsie słonecznych promieni — u Petrovića, choć i on od liryki wyszedł, już w pierwszych próbach jakieś załamania tragiczne, jakieś przełomy, walki i zmagania się wewnętrzne, którym na imię dramat duszy, a które najpełniejszy wyraz znajdują dopiero na scenie.

Tam też zdąża Petrović od pierwszej chwili, tam też już

---

[1]) „Od tego dnia...“. *Savremenik.* God. IV. 1909. Str. 437 i n.

[2]) Por. n. p. 19 urywków dyalogowych p. t.: Iz bilježnice („Z notatnika“ — *Savremenik,* God. III. 1908. Str. 406 i nast.), z których większość razi błahością i pospolitością, a są też między niemi rzeczy wprost naiwne i śmieszne.

[3]) Z działalności jej literackiej i publicystycznej, oraz pracy dla idei polskiej w Chorwacyi — patrz obszerne sprawozdanie Wład. Dobromilskiego w VIII. roczniku *Świata Słowiańskiego* (1912.) T. I. Nr. 88 (kwiecień 1912.) str. 272—279.

dzisiaj — mimo zarzutu, iż liryka łamie mu dramatyczną linię pomysłów — jego miejsce.

Przemawia za tem jeszcze jeden doniosły walor artystyczny: styl i język Petrovića. Zwartość i lapidarność lickiej gwary ludowej, którą posługuje się autor z całą swobodą, a zawsze w granicach artyzmu, przemawia pełnymi dźwiękami z każdego utworu Petrovića. Dyalog żywy, krzepki, rwący, jak potok górski, mieni się i przewija w tych lekkich, niespodziewanych zwrotach, które tak oryginalną są właściwością ludowego języka Serbo-Chorwatów.

W momentach tragicznych przełomów, od linii zmagania się uczuć i namiętności bohaterów, staje się jeszcze bardziej zwartym, rażąc raz po raz potężnymi złomami słowa, niby ciosami obucha. Każde słówko wtedy posiada moc dźwigania lub obalania — każda pauza, westchnienie, zaklęcie najprostsze kryje w sobie otchłań bólu czy niebo radości — każde zamknięcie dyalogu, to jakby wrót groźne zawarcie, po którem niemasz już drogi powrotu.

Umie się jednak dyalog ten rozlać w tęczę wiosenną, umie zatonąć pod nieboskłonem białych, majowych kwiatów, umie się rozśpiewać tonami słowików i rozklekotać pogwarem przepiórek, a zawsze — w takt tej odwiecznej gędźby przyrody, na nutę ludu i wsi chorwackiej. Kiedy zwłaszcza dokoła miłości zaroją się słowa, takie gorące, księżycowe, wonne, to jakiś urok żywiołowej namiętności i jakaś łzawość sentymentu spada na ludzi i pola, spowijając wszystko w cichy szept wieczoru.

A jeśli w sentymencie przebierze autor czasem miary i niejedna z postaci jego przemówi na chwilę słodyczą mdłą i ckliwą — to za to w rodzajowych scenach humoru i rubaszności wiejskiej bywa niezrównany. Tryska tam wszystko dowcipem zdrowej rasy; rozlega się śmiechem szerokim, z pełnych piersi; odcina satyrą głęboką i subtelną, ironią wytworną, choć rodzimą — tą ironią klasyczną, chłopską, która tak zdumiewa już w zbiorach pieśni ludowych starego Vuka Karadžića.

Język i styl Petrovića, jako dramatyka, zawsze jasny i zbity, jędrny w dyalogu, rozlewny w sentymencie, plastyczny w pejzażu, zamaszysty w zabawie, cięty w żartach — stanowi bezsprzecznie jedną z najcenniejszych zalet pisarskich Petrovića, najważniejszy tytuł do jego sławy i popularności na scenie. Do doskonałości mu niedaleko, a że osięgnął pożądane granice, przyczyna leży w tem, iż poeta umiłował, poznał i zrósł się z rodzimą gwarą

Liki i jej ludu, że czuje się wśród niej, jak ryba w wodzie, w swoim żywiole, że spowiada się przez nią własna jego dusza Srba-Ličanina.

Dzięki takiemu opanowaniu języka i charakteru środowiska, które autor opisuje, dzięki zmysłowi bystrej obserwacyi i żywej charakteryzacyi, dzięki umiejętności skupienia się, jędrnego powiązania nici dramatycznych, lapidarnego znaczenia każdej akcyi w dramacie — słusznie zdobył sobie Petrović dzisiaj znaczenie jednego z pierwszorzędnych serbskich pisarzy dramatycznych.

Odrębność zaś tła i środowiska, z których wyszedł i na których wszystkie swe obrazy maluje, odrębność wybitna, pełna cech bardzo indywidualnych, nadaje wiele świeżości i oryginalności wszystkim utworom Petrovića, czyniąc go en miniature na polu dramatu ludowego tem dla Liki i jej ludu, czem był w powieści dla Slawonii Janko Leskovar, czem dla szlachty zagorskiej Babić-Gjalski — lub dla bośniackiej „raji“ Fra Grga Martić. Przy dalszej pracy nad opanowaniem techniki dramatu i powieści, przy należytem podniesieniu swej kultury artystycznej i pogłębieniu filozoficzno-literackiem, mógłby Petrović na przyszłość stworzyć dzieło nieprzemijającej wartości, sięgnąwszy do życia ludu i przepięknej jego pieśni gminnej za pomysłem szerszych rozmiarów, na skalę prawdziwego dramatu narodowego.

Dr Tad. Stan. Grabowski.

Z kroniki zabiegów na Bałkanie.

(1760—1836.).

Już za Piotra W. (1689—1725) zaczęła Czarnogóra korzystać z pewnego rodzaju protektoratu rosyjskiego i otrzymywać subsydya pieniężne [1]). Rządzili już tym krajem po Crnojeviciach od r. 1516 władycy, metropolici prawosławni. Teokrata czarnogórski, Daniło Petrović Njeguš (1697), miał ten pomysł, żeby zainteresować Piotra, jako współwiercę, sprawą chrześcijan na Bałkanie. Przez niego słał pierwszy z carów swe pozdrowienia wszystkim chrześcijanom bałkańskim bez różnicy wyznania, hrišćanom i kršćanom

[1]) *Pokret*, Nr. 257. z r. 1912., rozprawka podpisana literą *Š*, według nieznanej mi pracy P. A. Ławrowa o Piotrze II. Piotrowiczu Njeguszu.

„w Serbii, Slawonii, Macedonii, Bośni, Hercegowinie“, a zwłaszcza „Czarnogórcom, Nikszicianom, Banianom, Drobniakom, Gaczanom, Trebinianom, Chorwatom i innym chrześcijanom“. Czarnogóra stała się tedy pośredniczką pomiędzy Bałkanem a Petersburgiem, a za to stawała się sama — czynnikiem politycznym. Następca Daniła, władyka Wasyl Piotrowicz (Vasilije Petrović) utworzył najstarszy „związek bałkański“ przeciw Turcyi: Czarnogóra, Serbia i niektóre plemiona albańskie. „Prowincya czimariotska“ wyprawiła archimandrytę Vasilika i „kapitana“ Spirę Bičila do władyki Wasyla, żeby i dla nich wyjednał życzliwą pomoc władczyni Północy (Elżbiety 1741—62), bo chcą żyć wraz z Czarnogórcami pod protektoratem Rosyi. Spisano „Kratko izvestije o čimariotskoj provinciji i tamošnjem narodu“, pouczając, że to jest starożytny Epir, zwan także Haonią, że tam jest lud wiary greckiej pod swoim biskupem, mówi po albańsku, ale tak, jak się mówi w okolicach bliżej Bośny — a są i tacy, którzy mówią po włosku. Urządzenia społeczne są demokratyczne, bardzo podobne do czarnogórskich. Tego-to „narodu czimaryockiego“ wysłannicy przedstawili się w r. 1760. rezydentowi rosyjskiemu w Czarnogórze, Obrezkowowi. Ten nie przyjął ich pod swą opiekę, uznając w nich poddanych sułtana, z którym car pozostaje w pokoju, ale postarał się o zawiadomienie ich, że w razie wojny przyjmie się chętnie ich pomoc, a więc, że — wojna taka, rosyjsko-turecka, jest możliwą.

Za Katarzyny II. (1762—1796) spisano w Nowej Waroszy (Varoša) dnia 2 sierpnia 1766. r. akt związku Czarnej Góry, Starej Serbii i Macedonii. Czytamy w nim:

„My, cała Rasija [1]) z okolicznemi krainami, które należą do naszego księstwa serbskiego, a są pod władzą turecką... dajemy pełnomocnictwo kneziu Mirko Georgijewiczowi... żeby udał się na dwór wszechrosyjski (sverusijskoga) i niech tam w naszem imieniu wszystko wyłuszczy i wyjaśni“.

Piotr W. trzymał się zasady, żeby w kwestyi wschodniej postępować w zgodzie z Habsburgami. Katarzyna II. uformowała sobie zrazu accord du Nord, mający stanowić ochronę i obronę przeciw ekspanzyi francuskiej i austryackiej (!) dla zagrożonych rzekomo niemi państw: Rosyi (i wciągniętej do „akordu“ przez Rosyę Polski), Prus, Szwecyi i Anglii. Wiadomo, że pragnęła

[1]) „Stara Serbia“ — „Rascia“ w średniowiecznej łacinie.

wykroić z Turcyi państwo nowe zrazu dla ks. Orłowa; potem dopiero, pokierowana odpowiednio przez Potemkina (który użył zręcznie wpływu Voltairea), przyswoiła sobie myśl wznowienia cesarstwa bizantyńskiego.

Do Katarzyny II. wyprawiono nowe poselstwo od najstarszego Związku bałkańskiego. W imieniu wszystkich serbskich „glavara i vlastele“ jeździli do Petersburga: kneź rasiński Josip Hadži Lazarević, kneź serwiński Władysław Branković i kneź kosowski Dymitr Topličanin, żaląc się, że ledwie im już wolno nazywać się chrześcijanami. Jeżeli „carica“ nie ujmie się za Serbami i Bułgarami, nikt ich nie wesprze, a Turcy zabierają im broń, mordują ich starszych, świeckich i duchownych. W ciężkiej niewoli zwracają się do „caricy“ z prośbą, niechaj ich uwolni od tych pijawek, bo inaczej wszystko się sturczy.

I opowiadają genezę swego poselstwa: Dnia 8. stycznia 1770. r. zawiadomił ich archimandryta czarnogórski, Grigorije Drekalović, że caryca skłonną jest wyswobodzić chrześcijaństwo od „pogańskiego tyraństwa“ — proszą tedy o przysłanie wojska, któremu wśród nich nie zabraknie na niczem, byle tylko przybyli! — Suplikę przywieźli też posłowie na piśmie, a podpisali ją w domu: rasiński (rascyjski) kneź Avram Rašković, za ziemie serbskie; kneź bośniacki, Lazarević, w imieniu ludności serbskiej i macedońskiej.

Katarzyna II. przedstawiała istotnie w Wiedniu w r. 1772. plan „likwidacyi Turcyi“, proponując utworzenie państwa nowogreckiego z Morei i Epiru (dla księcia Orłowa!), wcielenie zaś do Rosyi Mołdaw, Wołoch, Bułgaryi, Tracyi i Carogrodu z Dardanelami, za co Habsburgowie przyłączyliby do swoich „krajów dziedzicznych“ Serbię, Bośnę, Albanię, Tessalię. „Likwidacya“ miała więc polegać na podziale „spadku“ pomiędzy Rosyę a dynastyę habsburską.

Wojnę atoli wypadło prowadzić Rosyi samej (1768—1774), wojnę stosunkowo leniwą (bo przerwaną buntem Pugaczewa), lecz zakończoną pokojem na bardzo korzystnych warunkach w Kuczuk-Kajnardże (1774): Rosya zajęła Kercz i Jenikułę, Krym stawał się niezawisłym od Turcyi, na Mołdawę i Wołoszczyznę przywróceni rodzimi hospodarowie.

W r. 1781. pragnie przybrać Katarzyna II. do postępowania „likwidacyjnego“ prócz Austryi trzech innych jeszcze wspólników:

Francyę, Anglię i Wenecyę (której flotę uważała za niezbędną do dzieła). Tym razem chciała caryca osadzić w Konstantynopolu, na wznowionym Bizancyum tronie, swego synowca, Konstantyna. Cesarstwo jego nie byłoby atoli rozległe, skoro cała północna połać państwa ottomańskiego, wszystkie kraje nad morzem Czarnem wraz z niektóremi wyspami Archipelagu, miały być wcielone do Rosyi; Mołdawy i Wołosza miały stać się państwami niezawisłemi, Wenecyi za dostarczenie pomocniczej floty ofiarowano Cypr i Kretę, Habsburgom wyznaczono zaś dział „spadku" potężny: Serbię, Bośnę i północną Albanię.

Kierownikiem polityki habsburskiej był wtenczas Kaunic. Oto jego sąd o stosunkach austryacko-rosyjskich wobec Turcyi:

„W walce z Turcyą jest Rosya naszym naturalnym sprzymierzeńcem, ale na polityce rosyjskiej nie można polegać, bo polityka tego państwa nie opiera się na istotnych jego interesach, lecz zależy od indywidualnego nastroju pewnych osób, tak, iż nie można oprzeć na niej trwałego systemu".

Kaunic pragnął osłabić Turcyę jak najbardziej. Józef II. (1780—1790) radby rozszerzyć granice Austryi na półwysep bałkański. Kiedy wespół z Rosyą podejmował wojnę przeciwko państwu ottomańskiemu (1787—1792), przypuszczał, że zagarnie Serbię i Bośnę, a nawet dotrze do morza poprzez Albanię; w Petersburgu godzono się na to najzupełniej. Pokój w Sistowie 1791. r. zadał kłam tym marzeniom i Wiedeń musiał poprzestać na Starej Orsowie i wyrzec się nadziei jakichkolwiek większych zdobyczy w tym kierunku, podczas gdy Rosya posunęła w roku następnym (pokój w Jassach) terytoryum swe aż po Dniestr.

Dodajmy, że podczas tej kampanii popełniła Austrya od razu swój grzech pierworodny wobec Słowian bałkańskich: Oto na austryackie manifesty powstało 50.000 Czarnogórców, pomagali Austryi dzielnie i za to — w pokoju w Sistowie ani wzmianki o nich niema! Pozostawiono ich tedy samochcąc przyjaźni Petersburga.

Następca Wasyla Piotrowicza, władyka (od r. 1782) Petar I. Petrović, wyprawiał nowe poselstwo do Petersburga. Umarła Katarzyna II. (1796), a car Paweł (1796—1801) miał opinię przyjaciela Turków. Władyka czarnogórski nie zraża się tem. Nawinął mu się na kierownika i mówcę poselstwa zagadkowy jakiś „grof" Davidović. Ten tłómaczył dworowi petersburskiemu, że Dalmacya, Hercegowina, Bośna, Albania i Serbia prosiły władykę

Piotra o wyprawienie tego poselstwa, ażeby zawarte było pomiędzy Czarnogórą a Rosyą przymierze, celem wybicia się na wolność z pod jarzma tureckiego.

Wyjaśniał, że trzeba na tę wojnę trzech armij:

Jedna pójdzie na Skadar, który nie będzie się mógł długo bronić, a potem zagarnie się całą Albanię, bo tam niema „Turków" ponad piątą część ludności, a cztery piąte chrześcijanie, którzy nie mogą się doczekać, żeby się zjednoczyć z Czarnogórą. Po opanowaniu Albanii podda się Kandya, podda się Morea i Archipelag, bo tam wszędzie prawosławni, a Grecy przystąpią do Związku. — Druga armia niechaj ruszy drogą na Serbię, bo „tam są narody z nami, Czarnogórzanami, nietylko jednej wiary, ale jednakiego życia i jednakiej myśli i oczekujące wolności za naszą sprawą". Tu możnaby utworzyć wojsko serbskie, które złączyłoby się następnie z rosyjskiem przez Rumelię i Wołoszę. — Trzecia armia winna udać się do Bośny; wszak Hercegowina graniczy z Czarnogórą i „chętnie przystanie do nas, bo to naród jednej wiary i jednoplemienny".

W ten sposób układał Davidović w myśl wskazówek władyki Piotra I. Piotrowicza Niegusza związek bałkański pod protektoratem Pawła. Zaręczał, że rzecz jest wykonalną. Gdyby Rosya nie mogła poprzeć tego związku przeciwko Turcyi, prosił, żeby przynajmniej pomożono władyce czarnogórskiemu zająć „Boku Kotorsku" (— „bocche di Cattaro" —), a gdyby i to się nie dało, więc jakieś miejsce nad Adryatykiem wogóle.

Car Paweł skończył życie (1801 r.) wcześniej, nim zdążył dać odprawę czarnogórskiemu poselstwu.

Z początkiem XIX. w. zmieniła się w Wiedniu sama zasada polityczna. Nietylko nie myślano o zaborach na Turcyi, lecz uznano za szczyt rozumu politycznego, żeby państwo ottomańskie utrzymać nieosłabione. Zmianę tę miał poczuć wnet na sobie naród serbski, który w r. 1804. porwał się do powstania. Za Józefa II. walczyli byli Serbowie odważnie po stronie Austryi, a polityka ich do tego stopnia była austrofilską, że nie do wybicia się na zupełną niepodległość zmierzali wówczas, lecz pragnęli być przyłączonymi do habsburskich „krajów dziedzicznych". Powstanie pod wodzą Jerzego Czarnego (w którem i Polacy wzięli udział [1])

[1]) Zob. szczegóły o tem w pierwszym zeszycie *Świata Słowiańskiego* (styczeń 1905.).

oglądało się również na Wiedeń, a Jerzy upraszał o przysłanie jakiego arcyksięcia na namiestnika. Wszelkie atoli starania, choćby tylko o jakąś interwencyę Wiednia, spełzły na niczem. Natenczas dopiero zwrócono się do Rosyi, która też wypowiedziała Turcyi wojnę. Ani wtenczas jednak nie zrywano z Wiedniem, tylko, że utrzymywanie stosunków z dworem wiedeńskim nie zdało się na nic. Stadion i Metternich byli stanowczymi turkofilami, upatrując w utrzymaniu Turcyi dobro Austryi. Oczywiście, w Serbii zamieniało się tedy austrofilstwo z roku na rok coraz bardziej na moskalofilstwo. Niewiele zyskiwała Serbia na tej zmianie. W pokoju 1812. r. rozpisano się wprawdzie o zażaleniach serbskich na rządy Wysokiej Porty i porobiono korzystne dla Serbów zastrzeżenia, ale z papieru nie przeniosło się nic do rzeczywistości i położenie Serbii pozostało takie samo, jak przed wojną. Jerzy Czarny, nie obliczywszy się z ogólnem położeniem politycznem, porwał się do ponownego powstania o własnych wyłącznie siłach, kiedy i Rosya i Austrya zajęte były kwestyą napoleońską. Pobity na głowę, nie miał innej rady, jak przejść przez granicę austryacką: około 9.000 Serbów osiedliło się wówczas po węgierskiej stronie.

W Serbii wrzało wszystko dalej. Po Jerzym Czarnym nastał Miloš Obrenović i znowu napróżno oglądał się na Wiedeń i znów zacieśniły się na razie jeszcze bardziej pęta niewoli.

Kwestya bałkańska zajmowała i Napoleona. W zgodzie i porozumieniu z nim pragnął ją „zlikwidować“ Aleksander I. W dobie pokoju tyłżyckiego, kiedy pomiędzy dwoma najpotężniejszymi władcami panowały najlepsze stosunki, gdy unosiła się nad nimi myśl podziału świata na dwie „sfery wpływów“, gdy sojusz z Rosyą uchodził za najlepszy sposób zgniecenia Albionu — rozbiło się wszystko o kwestyę Carogrodu i Dardanelli, których Napoleon nie chciał przyznać Rosyi, bojąc się pojawienia floty rosyjskiej na morzu Śródziemnem. W r. 1808. powierzyli jednak dwaj cesarze opracowanie projektu „likwidacyi“ dwom statystom: Rumiancowowi i Coulaincourtowi. Owocem tych niezobowiązujących do niczego, prywatnie-półurzędowych pomysłów i przypuszczeń, były dwa projekty. Jeden z nich, „mniejszy“, wcielał do Rosyi Bessarabię, Wołoszę i Mołdawszczyznę, oddawał pod panowanie Napoleona Albanię, Grecyę południową (Moreę) i Kretę, pozwalał Habsburgom zagarnąć Bośnę i Hercegowinę, a nadto utworzyć w Serbii sekundogeniturę. Był jednak i projekt „większy“, wymazujący Turcyę doszczętnie z mapy europejskiej: Na-

poleon miał sobie zabrać ponadto cały Archipelag, Rodus, Cypr i Syryę w Azyi, Habsburgowie Serbię i Macedonię wcielić bezpośrednio do swych dzierżaw (bez Solunia, zastrzeżonego dla Albanii), byle Rosyi mogły przypaść: Bułgarya, Rumelia, Tracya i — sam Carogród z Dardanelami; i znowu o to wszystko się rozbiło.

Za napoleońskich czasów zdobyli Czarnogórcy z pomocą Rosyi upragnioną „Bokę“ — ale cóż, skoro sam car Aleksander sprzedał ją w r. 1814. Austryi.

Po drugim pokoju paryskim (1815 r.), kiedy armia rosyjska — doszedłszy zwycięsko do Paryża — uchodziła za najpierwszą w świecie, oczekiwano powszechnie, że Rosya zwróci się przeciw Turcyi i zmiażdży ją; żadne państwo nie byłoby się ośmieliło stanąć Rosyi w drodze. Turcya nie była przygotowaną na wojnę. Generał Kisielew, wróciwszy w r. 1816. z południowych gubernij, wykazywał w osobnym memoryale, doręczonym carowi, że zajęcie Multan nie wywołałoby nawet żadnego oporu ze strony Porty. O casus belli było łatwo. Były pomiędzy Rosyą a Turcyą spory o ostrowy dunajskie naprzeciw Kilii i Ismaiłowa; można je było każdej chwili rozdąć i wyzyskać. Polityką zewnętrzną Rosyi kierował Nesselrode, o którym powiedziano, że był „tajnym sojusznikiem Austryi“, o tyle chyba niesłusznie, że nie taił bynajmniej swego przekonania, że polityka rosyjska winna starać się o zgodny z Austryą kierunek. Austrofilem był również poseł rosyjski w Wiedniu, Tatiszczew. Obydwaj stali na tem stanowisku, że nie należy prowokować Austryi, która nie życzy sobie żadnej wojny rosyjsko-tureckiej. Parł natomiast do wojny słynny Capo d'Istria[1]).

Capo d'Istria miał sposobność być przedstawionym carowi w Wiedniu 1814. r. i zaraz wtenczas wywodził przed Aleksandrem, że Rosya nie może spocząć i musi wypełnić zadanie, nałożone na nią pokojem w Kuczuk-Kajnardże i to o siłach własnych, bez niczyjej pomocy, ale też mając za to zupełnie wolne ręce. Jako jedyna oswobodzicielka chrześcijan bałkańskich, nie będzie się musiała dzielić z nikim nową sferą wpływów politycznych — podczas gdy wszelkie oglądanie się na współdziałanie drugiego państwa wiodłoby nieuchronnie do osłabienia wpływów rosyjskich

[1]) Nazwisko od miejscowości, z której był rodem, na słowieńskiem terytoryum Istryi, po słowieńsku Kopar.

na Wschodzie. — W sferach wysokiej biurokracyi napotykał Capo d'Istria na opór tem większy, im bardziej zacofanemi były jej przekonania; najbardziej zwalczała go (że użyję wyrażenia późniejszego) skrajna prawica. Odznaczał się wśród niej Niemiec Wiegel, który obwiniał wprost Capo d'Istriasa, że umyślnie prze do wojny, która wyjdzie na dobre samej tylko Grecyi i „rewolucyi międzynarodowej" z wolnomularskim komitetem na czele. Dopiero za Mikołaja I. rozwiały się te wymysły.

Ostatecznie Rosya wyrzekła się wówczas wojny z Turcyą. Austrya, oficyalnie z Rosyą sprzymierzona i z tego tytułu wtajemniczona w niejedną sprawę petersburskiego gabinetu, dbała już w tych czasach wielce o to, żeby w Carogrodzie uchodzić za państwo usposobione życzliwie i pragnące zbliżenia z Turcyą. Istnieje podejrzenie, że Porta dowiadywała się niejednej rzeczy o Petersburgu dzięki ostrzeżeniom Wiednia, skąd depesze tego rodzaju szły przez pośrednictwo i na ręce hospodara wołoskiego, Janka Karadżiego.

Podczas kongresu lublańskiego (1821 r.) ozwała się znowu „kwestya wschodnia". Spiski nowe dojrzewały na Bałkanie od kilku lat, ale na pierwszy plan wysuwała się teraz Grecya. Aleksander Ypsilanti przekroczył w marcu 1821. Prut. Metternich nie przywiązywał do tego znaczenia, ale na wszelki wypadek zaczął się porozumiewać z Rosyą i osięgnął, co chciał, t. j., że car Aleksander potępił działalność Ypsilanta i kazał go wykreślić z list wojska rosyjskiego; pachnęło mu to zanadto rewolucyjnością — i na to chwytał go kanclerz austryacki. Grecy, pozostawieni własnemu losowi, powstanie nad dolnym Dunajem dobite, Ypsilanti zbiegł na Węgry i — przebył tam sześć lat w więzieniu.

Rzecz naturalna, że Metternich starał się usilnie o to, żeby Capo d'Istria miał jak najmniej wpływu na politykę rosyjską, a popierał Nesselrodego, jako przedstawiciela myśli o „solidarnem postępowaniu Europy" wobec Turcyi. Kiedy po kongresie lublańskim okazało się, że Nesselrode odniósł zupełne zwycięstwo nad swym greckim współzawodnikiem, wzywającym Rosyę do samodzielnego działania na Bałkanie — zapisał kanclerz austryacki w dzienniku swym uwagę o „ostatecznej klęsce polityki rosyjskiej". Trzeba Metternichowi przyznać, że umiał Rosyę wodzić na pasku.

Ale rzeczy nieważkie, gdy poczną ważyć, przeważają. Grecka ruchawka przypomniała profesorom wszech narodów czarowny

świat Epaminondasów i Peryklesów; starożytnictwo okazało się siłą aktualniejszą od najbardziej nowoczesnych obliczeń politycznych, a profesorowie silniejszymi od całej machiny państwowej wielkiego Metternicha i tuzina mniejszych metternisząt w zachodniej, środkowej i wschodniej Europie. Od Morei biła łuna walki o wolność — a wyrażenie to weszło jakby w pacierz polityczny Europy, wbijając kliny pomiędzy rządzących a rządzonych. Wśród gabinetów nastało zamieszanie; Metternich musiał patrzeć, jak petersburski gabinet wymyka mu się z rąk. Nagle zrobiono w Petersburgu spostrzeżenie, że „potomkowie Hellenów“ są przecież prawosławni, jednej wiary z Rosyą. W lipcu 1821. ambasador rosyjski w Carogrodzie wręczył Porcie notę w obronie chrześcijan — i potem wypadki następowały już szybko, aż niebawem Rosya odwołała reprezentanta swego z nad Bosforu.

Metternich czuł się jakby wywiedzionym w pole. Zwrócił się do Jerzego IV. angielskiego (1820—1830); nastąpił zjazd w Hanowerze i przedsiębrano obopólnie kroki tak w Petersburgu, jakoteż w Konstantynopolu, żeby pokój utrzymać. Rosyę straszono polskiem powstaniem. Ostatecznie Porta zdecydowała się na osławione swoje „koncesye“, car miał pożądane pozory do zwinięcia akcyi, Capo d'Istria popadł w niełaskę u cara. Cesarz Franciszek miał słuszność, gdy składał Metternichowi gratulacye z powodu tak świetnie przeprowadzonej i wygranej ciężkiej partyi politycznej.

Ale Grecy nie chcieli słuchać „Europy“. W styczniu 1822. ogłosili niepodległość i ustanowili sobie nawet od razu rząd własny — a profesorowie byli w Anglii górą i minister Canning jawnie niemal popierał powstanie greckie. Metternicha spotykał ciężki zawód ze strony Anglii — ale nie opuściła go pomysłowość: wzbudził w Petersburgu podejrzliwość względem polityki angielskiej i po kilku miesiącach był znowu panem sytuacyi.

W r. 1824. podjął Nesselrode akcyę, celem zwołania konferencyi mocarstw do Petersburga. W osobnym cyrkularzu zaznaczył, że Rosya w takim tylko razie nawiąże przerwane z Turcyą stosunki dyplomatyczne, jeżeli mocarstwa będą interweniowały na korzyść Grecyi. Skoro zaś Porta nie chce żadną miarą uznać niepodległości Grecyi, pozostaje jeszcze jedna a średnia droga: utworzyć trzy księstwa greckie pod turecką zwierzchnością, składające Porcie roczną daninę. Wniosek ten nie spodobał się ani w Wiedniu, ani w Londynie, a konferencya petersburska spełzła

na niczem. Metternich złożył w Petersburgu oświadczenie, że Austrya nie przystaje na lenne państewka greckie i że woli niepodległe greckie państwo. Osłupieli wszyscy, skąd w Wiedniu nagle tak wezbrała „miłość wolności“ — i dopiero po dłuższym czasie zoryentowano się, że chodziło tylko o zabagnienie konferencyi petersburskiej, która bądźcobądź sama przez się byłaby przyznaniem Rosyi pierwszego głosu w sprawie wschodniej. Gdy się atoli zoryentowano, przepadło zaufanie do polityki wiedeńskiej i nastało znowu zbliżenie pomiędzy Petersburgiem a Londynem.

W grudniu 1825. r. umarł car Aleksander. Następca jego, Mikołaj (1825—55), nie był wprawdzie przyjacielem Metternicha, ale należał pomimo to do metternichowskiego obozu politycznego, jako zagorzały tępiciel wszystkiego, co tylko wyglądało na jakąkolwiek „wolność“. Grecy byli w oczach Mikołaja I. po prostu buntownikami i całe szczęście dla nich, że byli równocześnie prawosławnymi! Decydowało jednakże o szczęściu kompletne zwycięstwo angielskich profesorów i literatów. Stanowili oni w tej sprawie już „całą Anglię“ i Anglia uważała sobie za zaszczytny obowiązek zjednać cara dla „synów Hellady“. Wysłano do Petersburga największe nazwisko ówczesnej Anglii, samego Wellingtona. Dnia 4. kwietnia 1826. r. stanął układ angielsko-rosyjski, zobowiązujący obydwa państwa do zaproponowania Porcie, żeby przyznała Grecyi autonomię w ramach państwowości tureckiej. Kiedy się o to porozumiano, Capo d'Istria był już wybrany „prezydentem Grecyi“, walczącej o niepodległość. Metternich srożył się na „zbrodniczy układ“, ale nie udało mu się rozdwoić stron kontraktujących. Ażeby nie dopuścić do wojny rosyjsko-tureckiej, doradzał teraz Porcie czynić ustępstwa. Wystąpiły znów na widownię „koncessye“, któremi Rosya „przejednana“ porozumiała się z Turcyą po spisaniu w uroczystym akcie rozmaitych życzeń rosyjskich, których spisanie nie zdało się Grekom na nic. Niebawem wycofała się Porta od wszelkich „koncessyj“, zastrzegając się, żeby się nie wtrącano w jej sprawy wewnętrzne.

Grecya wydaną była na łaskę i niełaskę Turcyi. Turcy wyzyskiwali to nazbyt zuchwale i wyzwali przeciw sobie zniecierpliwioną już do najwyższego stopnia opinię publiczną cywilizowanej Europy. Anglia przyjęła na siebie znowu rolę wykonawcy głosu ludów i znów zaczęły się porozumiewania z Petersburgiem, jakby położyć koniec straszliwej, okrutnej wojnie w Grecyi. Pozyskano Francyę do wspólnej akcyi i trzy te państwa podpisały dnia 6.

lipca 1827. r. w Londynie umowę, mającą na celu niepodległość Grecyi. Cała robota tyloletnia Metternicha na nic; sypał się w gruzy cały jego system, poczęty w czasach zawieruch napoleońskich. Pocieszał się jeszcze, że Porta wręcz odmówiła wszelkim zwróconym do niej żądaniom na rzecz Grecyi, że Canning niebawem zmarł, że udało mu się skłonić Turcyę, iż zażądała pośrednictwa Austryi. Wtem rozchodzi się w październiku 1827. r. wieść o bitwie morskiej pod Navarinem: w ciągu kilku godzin zatopionych 55 okrętów sułtańskich; cała flota turecka (wraz z egipską) liczyła już zaledwie 27 statków przeciw połączonym flotom angielskiej, francuskiej i rosyjskiej. Z wiosną 1828. r. rozpoczęła się i lądowa kampania rosyjska, a po rozmaitych zmiennych wojny losach Rosya była ostatecznie górą i 14. września 1829. zawierano pokój w Adryanopolu. W cztery miesiące potem konferencya londyńska zapewniła Grecyi niepodległość.

W r. 1830. opracował Armand Polignac, ostatni minister spraw zewnętrznych Karola X. (1824—1830), projekt następującej treści: Rosya niechaj sobie zabierze Mołdawy i Wołoszę, Austrya Serbię i Bośnę — a z reszty (Macedonia, Grecya, Bułgarya, Albania i sam Carogród) wznowić cesarstwo bizantyńskie i ofiarować je królowi Niderlandów, za co tenże zgodzi się na zabór germańskiej połaci swego kraju przez Prusy, romańskiej zaś przez Francyę, osady zaś zamorskie niderlandzkie wyda Anglii. W kilka miesięcy rewolucya zmiotła Karola X. i król niderlandzki nie miał nawet sposobności odrzucić pokusy, która nie była mu uczynioną nigdy w sposób „aktualny“. To epizod bez znaczenia, przytoczony dla kompletu naszej „kroniki“.

Natomiast pełnym znaczenia i nader pouczającym jest epizod austryacko-bałkański, jaki zaszedł w sześć lat potem:

W r. 1836. wyprawili Franciszkanie bośniaccy deputacyę do Wiednia. Jawnym jej celem było, żeby wyjednać zapomogę dla klasztoru swego w Kreševie; właściwym zaś, żeby rozejrzeć się w stosunkach, czy nie dałoby się uzyskać u dworu wiedeńskiego czegoś „za svoju otadžbinu“. Bawiący wówczas w Wiedniu na studyach medycznych inny Franciszkanin bośniacki, Piotr Marešević, znając już grunt wiedeński od dłuższego czasu, patrzał na te zabiegi ze sceptycznym uśmiechem. Zachował się z tego czasu list jego, pisany 18. stycznia 1836. r. do Bośni, do konfratra franciszkańskiego, Andrzeja Kujundžića. Z listu tego znać, jak wówczas ambasada rosyjska w Wiedniu umiała

wyzyskiwać na korzyść Rosyi zaniedbania rządu i dyplomacyi austryackiej, którym nie chciało się zadać sobie choćby tego tylko trudu, żeby Słowianom bałkańskim nie odbierać nadziei... List ów jest tak zajmujący, że trudno się powstrzymać od przytoczenia z niego pewnych cytat[1]).

O. Marešević radzi nie wierzyć żadnym obietnicom Wiednia; oni tu wogóle nie zrobią nic, ani nawet nie zajmą się szczerze utworzeniem w Wiedniu collegium dla kształcenia kleryków franciszkańskich z Bośny — a cóż dopiero mówić o rzeczach dalszych i zawilszych! „Ja ich znam dobrze i ich obiecanki; nic z tego nie będzie"... „żadnej od tego dworu pomocy w niczem, a tem mniej wyswobodzenia od ucisku i jarzma tureckiego". I czytamy dalej:

„Jeżeli nie zwrócimy się gdzie na drugą stronę i gdzieindziej pomocy nie znajdziemy, od tego (wiedeńskiego) dworu pomocy nigdy nie oczekujmy, za to wam całkiem i napewno zaręczam... Toteż proszę was wszystkich, którzy macie w sercu ojczyznę i prawą miłość swojszczyzny, umówcież się razem i obudźmyż się wszyscy wraz i próbujmy szczęścia jeszcze i na drugiem miejscu. Tam nam zapukać, gdzie próbowały szczęścia inne narody, uciskane przez Turka, a znalazły wcale dobre zadośćuczynienie (pragnień swych). Wspomnijmyż Serbów, Czarnogórców, żeby już nie szukać dalej, i patrzmy, kto się nimi zajmuje, kto ich wyswobodzi, jeżeli nie Rosyanie? Oni jedni tylko dopomagają narodowi słowiańskiemu bez jakiejkolwiek różnicy wyznania z całego serca i którzykolwiek do nich się uciekli, nikogo nie odprawili (z niczem). Czyż nie moglibyśmy i my tego jeszcze popróbować? Ja stanowczo sądzę, żeby się uciec do dworu rosyjskiego; nie zaszkodzi nam to; choćbyśmy nic nie zyskali, nic też nie stracimy".

„Ja tutaj (w Wiedniu) mam sposobność obcować z rosyjskimi panami i przedstawiać im nasze żałosne położenie; a oni wszyscy wogóle powiadają: wyście ludzie rozumni, wykształceni, czemuż nie poślecie swoich ludzi do Petersburga? Dlaczego nie zgłosicie się do dworu rosyjskiego? Onby wam dopomógł, ileby mógł. Jeżeli się do niego zwrócicie, on zapłaciłby wam i expensas

[1]) Ogłoszony w majowym zeszycie *Glasnika bosansko-hercegovačkog zemaljskog Muzeja*, przedrukowany w fejletonie zagrzebskiego *Obzora*, Nr. 130, z 15. maja 1913.

itineris i ludzi waszych odprawiłby do domu zadowolonych. Pomyślcież — tak mówią — o bosonogich Serbach, którzy są prostakami, ani nie znają języków, ani czytać, ni pisać nie umieją, a już o naukach jakichkolwiek ani u nich mowy, a oni, zarzuciwszy sakwy na grzbiet, dalejże do Petersburga! A nie myślcież wy sobie, że wy obrządku rzymskiego, że was dwór rosyjski o to odprawi z niczem; o tem niema mowy, wyście nasz naród słowiański, wy nasza krew, my was kochamy, jako braci naszych, nie wątpcież o tem zgoła. Ormijanie (mówią dalej ciągle owi panowie rosyjscy w Wiedniu) w Persyi cierpieli bardziej od was nawet, pożalili się dworowi rosyjskiemu, a oto teraz żyją zupełnie zadowoleni, całkiem wolni od wszelkiego tyraństwa, a co jeszcze więcej: biskupi ich pobierają płacę od dworu rosyjskiego, chociaż nie są obrządku carskiego...“

Widzimy tedy, że zachowanie się Wiednia wobec Franciszkanów bośniackich było wówczas — około r. 1836. — tego rodzaju, że nawet mnichów katolickich zapędzało formalnie do stóp „białego cara“.

T. Sałwa.

Vrchlický jako tłómacz „Dziadów“.

Vrchlický [1]) miał szczęście do Polaków. U nas najpierw poza Czechami doznał uznania, a o ile sława jest różą, miał ją u nas bez kolców. Gdy odbywał pierwszą większą podróż zagraniczną, najgoręcej i najdostojniej powitała go polska kolonia w Paryżu. Najwcześniejsze odznaczenie dostało mu się też od Polaków: mianowanie korespondentem Towarzystwa Historyczno-Literackiego w Paryżu (1882. r.). Był wyjątkowym członkiem honorowym lwowskiej „Czytelni Akademickiej“ (1895.), gdyż jedynym niepolskim, a jedynym słowiańskim wśród członków honorowych Rady Muzeum Narodowego w Rapperswylu. Polska była jedynym poza Czechami

---

[1]) Jestto obszerniejsze opracowanie recenzyi z tłómaczenia „Dziadów“, umieszczonej w *Przeglądzie Polskim* z października 1896. roku. Miałem zamiar stanąć z tem przed publicznością na „akademii“ ku czci Vrchlickiego, urządzonej przez Towarzystwo Słowiańskie w lutym r. b., czemu jednak przeszkodziła choroba; pozwoliłem sobie tedy przenieść tę rzecz do zeszytu wakacyjnego *Świata Słowiańskiego.*

krajem, gdzie każdy, zaliczający się do „czytającej publiczności“ znał jego imię, wymawiał je z czcią i przyjaźnią. Krytyka polska stawiała (i stawia) go wyżej od czeskiej na Parnasie. Gdy z Polakami obcował, bywał rozumiany i tylko z polskimi przyjaciółmi dochodził (poza własną ojczyzną) do poufnej serdeczności. Poza Czechami tylko w Polsce należą wiersze jego do „repertuaru“ wieczorków deklamacyjnych i t. p. Vrchlický w Polsce jest nietylko sławnym i poważanym, lecz popularnym i lubianym.

Wiele możnaby pisać o powodach tego. Zasadniczą przyczynę stanowiła niewątpliwie europejskość mistrza, tego najwybitniejszego Europejczyka wśród Czechów i — skutkiem tego — pierwszego Czecha w Europie. W polskiem uczuciu tkwiła jakaś cząstka sympatyi i za to, że Vrchlický był pierwszym Słowianinem poza Polską, którego wielkość rosła, urosła, dojrzała — bez domieszki oryentalizmu. Tem właśnie stał Vrchlický blizko polskości. Ten, który z Czechów wzniósł się najwyżej, stanął na poziomie, potrzebnym do rozumienia polskości.

Przez duchowe spowinowacenie się z polskością stał się Vrchlický ogromnie słowiańskim. Czerpiąc z całej Europy, przetwarzał te nabytki w umyśle swym na słowiańską modłę. Wszystko, co w twórczości jego było najoryginalniejszego, jest wybitnie słowiańskiem na europejskim podkładzie. Nie ubijaniem europejskości, lecz europejskości doskonaleniem stał jego duch słowiański i dał przykład, że tak powiem, m e t o d y.

„Duch słowiański“? Cóż to jest? O ile poucza doświadczenie wieków, duch ten rodzi i w c i e l a s i ę nie na przestrzeni całej Słowiańszczyzny, lecz wyłącznie pomiędzy Krakowem a Pragą; dotychczas przynajmniej nie widziano go w przestworzu wieków nigdy, a n i r a z u, wcielonego w czyny nigdzie indziej. Duch słowiański, to polszczyzna na pniu czeskim, lub czeszczyzna na polskim. Gdyby Czechom prawda ta stała się zrozumiałą, cała idea słowiańska stałaby się w c i ą g u j e d n e g o p o k o l e n i a dotykalną rzeczywistością. Gdyby Czesi i Polacy postępowali karnie według wspólnie obmyślanego programu, wytworzylibyśmy wspólnie siłę żywiołową, która pociągnęłaby za sobą nietylko wszystkich Słowian, ale i znaczną część tych sił, które obecnie stają przeciwko nam.

Tę potęgę, tę moc realną idei słowiańskiej czuje się tylko i jedynie, roztrząsając sprawy czesko-polskie. Faktem też jest, iż gdziekolwiek pewien zakrój polonistyczny dostrzeżemy w kulturze

czeskiej (lub odwrotnie), zawsze dostrzegamy na tych miejscach więcej siły, a zarazem pogłębienie poczucia słowiańskiego, pojmowanego po prostu, jako ekspanzya patryotyzmu, jako tło do tem mocniejszego jeszcze podkreślenia indywidualizmu narodowego. Coś takiego odczuwa się i w Muzie Vrchlickiego i dlatego zapewne poezya jego tak łatwo chwyta się umysłowości polskiej i wdzięczny znajduje oddźwięk w sercach polskich.

Największy poeta czeski, największy w Czechach Europejczyk, był zarazem największym polonofilem.

Stosunek jego do piśmiennictwa polskiego datuje się od wczesnej młodości; jeszcze za studenckich czasów czytywał po polsku i nigdy czytywać nie przestał. W tem nie byłoby nic szczególnego: Vrchlický znał piśmiennictwa całego świata, jakżeż miałby nie znać polskiego? Jest jednak jeden dowód, że literatura polska miała dla niego prócz wartości rzeczowej nadto jeszcze pretium affectionis — a tym dowodem jest tłómaczenie Dziadów.

Vrchlický tłómaczył bardzo a bardzo dużo. Przekładów jego ze wszystkich piętr wieży Babelu jest takie mnóstwo, że zebrałoby się tego kilkanaście bitych tomów. Miał w tem ogromną łatwość i tłómaczył dobrze, nawet wtenczas, gdy się z tem załatwiał szybko. Przeglądając te przekłady, sypiące się jak z rogu obfitości, podziwiało się ten talent nad talenty. Jakiż powstałby dopiero przekład, gdyby mistrz nie żałował mu czasu na studya?! Ale Vrchlický nie mógł mieć na to czasu; on, który co roku ogłaszał przynajmniej jeden tom twórczości oryginalnej! To było tak zrozumiałem...

Dziwnem tylko było, że ten powszechny tłómacz nie tłómaczy nic z polskiego! Sprawa wyjaśniła się w r. 1895. Vrchlický z polskiego nie dokonywał przekładów pospiesznych, lecz lata całe pracował i studyował, ażeby językowi czeskiemu przyswoić Mickiewiczowskie Dziady. Żaden z jego przekładów (ani Dantego) nie może iść w porównanie z tem tłómaczeniem.

Sprawa niełatwa samą treścią i naturą poematu Mickiewiczowskiego, utrudniona jest podobieństwem języka. Tak jest! utrudniona!

Prozodya języka czeskiego jest całkiem odmienną od polskiej. U nas w XVI. wieku poczęto wprowadzać zasadę: Nos Poloni non curamus quantitatem syllabarum — powiadam „wprowadzać", boć stało się to chyba w sztuczny sposób i narzuconem zostało przez szkołę pokoleniom, które musiały

przechodzić przez jej jarzmo, zanim po drugiej stronie bram szkolnych wolno im było dosiąść Pegaza. Większość narodu, która nie przechodziła przez dresurę szkolną, zatrzymała też do dziś dnia iloczas samogłosek; świadkiem młoda nasza dyalektologia[1]). Odkrycie jednego przemytnictwa wzbudza podejrzenie, czy niema drugiego. Filologowie, badający nieśmiertelne źródło języka: gwary ludowe, nie bardzo zwracają dotychczas uwagę na akcenty analfabetów; a któż wie, czyby się też i na tem polu nie porobiło odkryć, któreby świadczyły, żeśmy się w XVI. wieku zrobili szkolarzami, co się zowie! Bądźcobądź, sam iloczas musi już sprawiać do pewnego stopnia wyłomy w jednostajności naszego szkolnego monopolisty: paroksytonu.

Czeskiemu humanizmowi nie było danem żyć tak długo, ażby się przeżył; zginął on w pełni rozkwitu nagłą a nienaturalną śmiercią na Białej Górze 1620 roku, zanim wszedł w krew i soki „szerszej“ publiczności. Co się potem działo z czeskiem imieniem i czeskim językiem — wiadomo, a tu do rzeczy to nie należy. Pragnąłem tylko zwrócić uwagę, że gdy czeszczyzna zaczęła sobie na nowo składać wierszyki po literacku, nie dbała wcale o zdanie minionych wieków. Już w r. 1791 spostrzegł Hněvkovský, że naśladowanie prozodyi humanistycznej nie odpowiada duchowi języka; widocznie nie umiał czytać inaczej, niż wymawia lud. Józef Dobrovský wytworzył wtenczas nową prozodyę, a raczej opisał tę, którą podsłuchał u mówiących po czesku, oparł ją tedy na iloczasie i akcencie. W szkołach nie uczono wtenczas czeskiego języka wcale.

W Polsce tedy zaginął w humanizmie iloczas, w Czechach miał zaginąć akcent; i to i tamto było zamachem na język. Przebieg historyi politycznej sprawił, że w Czechach eksperymenta językowe nie miały sposobności rozwinąć się w pełni, straciwszy nieodzowny do tego grunt — szkolny, podczas gdy u nas „rozwój“ ten dokonywał się i dziś jeszcze trwa w pewnej części kraju z niepowstrzymaną siłą bezwładności. Ciekawy przykład, jak dzieje polityczne wpłynąć mogą na sprawy językowe, jak prozodya zależną być może od klęski „króla zimowego“. Inaczej być nie może, boć w społecznem życiu wszystkie objawy zależne są wzajemnie od siebie, spojone najściślejszą obręczą. Toteż próżnem treści byłoby

---

[1]) Z własnego doświadczenia niech mi wolno będzie zwrócić uwagę na przepiękną wymowę polską we wsi Lgotce Kameralnej pod Cieszynem.

pytanie: jak lepiej? czy żeby nauczyciel wiejskiej szkółki uczył się wymawiać od dzieci, czy też żeby zmieniał ich przyrodzoną wymowę według sztucznej bądźcobądź maniery szkolnej? Te rzeczy pójdą zawsze tym torem, jakim pójść muszą pod wpływem pogmatwanego związku stosunków i okoliczności. Niewątpliwie byłoby Czechom lepiej skoszlawić sobie do reszty i choćby na zawsze prozodyę, ale na Białej Górze... wygrać walną bitwę; i my dziś rozesłalibyśmy z ochotą het daleko naszych galicyjskich „preparandzistów", chociaż oni ohydnie „rąbią", mówiąc po polsku; pozwolilibyśmy z ochotą, żeby poszli psuć akcent litewski i kaszubskie narzecze. Są sprawy, przy których wystarczy wiedzieć, jak one się dokonywują, a wszelkie kombinacye na temat, jakby to być powinno — nie mają wiele sensu.

Nawet ze stanowiska czysto akademickiego nie bardzo byłbym zachwycony pytaniem, jak lepiej? czy, żeby prozodya była taką, czy owaką? czy może lamentować, że nam ją XVI. wiek tak bardzo obciął? Byle była twórczość, obojętnem jest, jak sobie artyści radzą! Doświadczenie uczy, że niema tak lichej prozodyi, któraby nie mogła mieć swego Mickiewicza.

Przypomniałem też tę sprawę czytelnikowi bynajmniej nie w tym celu, żeby go pobudzać do historyozofii i filozofii prozodyi — o nową naukę za naszych czasów tak łatwo! — lecz tylko, by okazać, że ta rzecz wygląda u Czechów odmienniej, a odmienność polega tam na większej rozmaitości, na większem bogactwie prozodyi. Dla tłómacza jest to oczywiście utrudnieniem. Język czeski posiada wszystkie starogreckie akcenty; sporo więc trzeba mozołu, żeby zachować formę paroksytonów polskiego oryginału.

A podobieństwo języka, czy jest ułatwieniem? Jak czasem, ale ostatecznie uważałbym to też raczej za utrudnienie. Cóż z tego, że „cicho wszędzie" brzmi po czesku podobnie: „ticho všady", skoro końcówka rymowa jest inna? Podobne są bowiem źródłosłowy, ale końcówki niemal zawsze odmienne. Tłómaczowi to już obojętne, czy słowo „wszędzie" ma mu przypomnieć brzmienie „dappertutto", czy „partout", czy „všady"; jest to w najlepszym razie pewne ułatwienie mnemotechniczne i nic więcej. Drobną stosunkowo tę korzyść okupić trzeba ciągłem narażaniem się na bałamuctwa, właśnie z powodu podobieństwa języka. W języku zupełnie odrębnym radzimy się przy najmniejszej wątpliwości słownika; w podobnym łatwo bardzo nie spostrzedz się, że sprawa

staje się wątpliwą. Zdarza się to nawet Jelinkowi, gdy pisze po polsku i zdarzyło się też Vrchlickiemu. Podobieństwo języków, to dar Danaów dla tłómacza; języki podobne trzeba znać przynajmniej o trzecią część dokładniej, niż całkiem obce, żeby módz tłómaczyć z takimsamym skutkiem.

Za podstawę tłómaczenia służyło poecie wydanie Biegeleisena. Przyjęto za zasadę, żeby ono było, o ile możności, dosłowne, do tego stopnia, że tłómacz robił wszystko, co było w jego mocy, żeby nawet szyku wyrazów nie zmieniać. Można powiedzieć, że odstępuje od tego prawidła tam tylko, gdzie sprawy rymu lub rytmu zmuszają go do tego; zdarza się oczywiście, że musi dla tegosamego powodu czasem jakiś wyraz dodać lub ująć. Wielka technika wierszowania, nabyta podczas długich już lat poetyckiego zawodu, sprawiła, że konieczne te w przekładach drobne zmiany tekstu nie szkodzą w tym wypadku nigdy tokowi myśli, nie zmieniają w niczem charakteru oryginału. Wielcy tłómacze pozwalali sobie nieraz oddawania cudzej myśli „własnemi słowami“; posiadamy dokonane tą metodą tłómaczenia, a zgodne najdokładniej z duchem i całym trybem kojarzenia myśli w oryginale; kto wie nawet, czy z przekładów, posiadających większą wartość artystyczną, nie najwięcej oparło się na takiej właśnie metodzie. Tłómaczenie dosłowne rzadziej bywa artystycznem zarazem; dużo tu krępowania, a gdy tłómacz sam jest poetą, doznaje natenczas chyba przy każdym wierszu obcinania skrzydeł. Przekład bowiem składą się z trzech odrębnych rzeczy: przekładu myśli, formy i wyrazów. Ta ostatnia część jest drugorzędną, a bardzo często dobre tłómaczenie myśli i formy udać się może tylko przez to, że tłómacz z góry sobie powie, że co do trzeciego warunku nie będzie się krępować; licencya słownictwa bywa tu niezbędną. Dobry tłómacz rzadko też tłómaczy wiersz po wierszu; zazwyczaj tłómaczy myśl po myśli, bez względu na rozdzielenie jej w wierszach oryginału. W ten sposób powstało największe bodaj arcydzieło tłómaczeń: przekład sonetów Michała Anioła przez Lucyana Siemieńskiego. Podobnież tłómaczył Mickiewicz.

Toteż zwraca to uwagę, że Vrchlický jął się tłómaczyć wiersz po wierszu, starając się oddać każdy wyraz dosłownym wyrazem czeskim; wśród takiego przedsięwzięcia łatwo się narazić na przeróżne szkopuły — a jednak wyszedł on z tych opałów zwycięsko.

Do licencyj już należy u Vrchlickiego takie np. tłómaczenie:

Witajże ma jaskinio! na wieki zamknięci,
Nauczmy się więźniami stać się z własnej chęci.

Buď vítána mi, sluji! Pro vždy hled' mne skrýt,
Mne nauč tvojím vězněm z vlastni vůle být!

Jest tu pewna zmiana rytmu w drugiej połowie wiersza; jest też zmiana tekstu, bo w tłómaczeniu podmiotem jest „jaskinia". To są drobnostki, o których nie wartoby mówić, gdyby nie to, że przekład Vrchlickiego opiera się właśnie na zasadzie dosłowności — i takie drobne odstąpienie od tekstu należy u niego już do zboczeń. Powodem była tutaj trudność może dobrania rymu? tego oczywiście rozstrzygać nie można. W każdym razie tłómacz dbał o to, żeby od tekstu odstąpić jak najmniej i zmienił tylko podmiot i źle na tem wyszedł. Mamy tu przed sobą charakterystyczny właśnie przykład. Tekst czeski znaczy bowiem w dosłownem tłómaczeniu polskiem: „Jaskinio, staraj się skryć mnie na zawsze"... a z tego wynikałoby, że podmiot logiczny („Dziewczyna") pragnie być w zamknięciu, co jest w sprzeczności z drugim wierszem; toteż tekst polski „na wieki zamknięci" ma niewątpliwie domyślne uzupełnienie „wbrew własnej woli", co jest tutaj rzeczą ważną, a zniknęło zupełnie w tekście czeskim. Może byłoby się tego uniknęło, gdyby sobie pozwolić większej licencyi co do dosłowności tekstu.

Przy takiej metodzie tłómaczenia wielką trudnością stać się muszą wszystkie takie ustępy, w których Mickiewicz rzuca swoje złote myśli w owych krótkich, jakby urywanych wierszach; tutaj każde słowo brać trzeba na wagę złota i przeróżnych używać sposobów, żeby myśli nie ująć, a słów nie przydać. Małym przykładem tych trudności jest zaraz na początku wezwanie guślarza do duchów: „Kto błądząc po życia kraju, chciał pilnować prostej drogi". Zaraz w pierwszym wierszu przekładu tryb oznajmujący zamieniony niepotrzebnie na coniunctivus, a vocativus na nominativus; zresztą znać tylko pedantyczną staranność o dosłowność. Ale zasada ta nie dała się tu utrzymać i tłómacz już w drugim okresie musiał z niej zrezygnować; a skoro tylko zrezygnował, zaraz tłómaczy lepiej! Opuszcza w pierwszym wierszu słowo „z ziemi", podobnież w drugim „myślą". W trzecim okresie zamiast „co znikło w przeszłości łonie", mamy to samo wyrażone inaczej: „minulost co v klině hosti" (co przeszłość w swem łonie tuli). Następnie rezygnuje również tłómacz ze słowa „niewcześnie", a zamiast „o gor-

szej myśląc poprawie“, powiada: „horšim kdo chce lékem spravit“ (kto gorszem lekarstwem chce poprawiać), a wreszcie dochodzi do tego, że zamiast: „z tem, czego szukał na jawie“, pisze całkiem odmiennie: „v přeludech chce žiti trávit“ (chce w złudzeniach spędzić życie). A właśnie te okresy są wybornie tłómaczone!

Kryteryum może tu być tylko jedno: jeżeli czytając tłómaczenie, jest się porwanym pewną myślą taksamo, jak ona porywa w oryginale. W tem bowiem tkwi sekret poezyi, że nas jej potok unosi wcześniej, nim sobie z tego zdołamy zdać sprawę; gdzie tego niema, tam też niema prawdziwej poezyi. Tasama myśl, wyrażona prozaicznie, może być i bywa zazwyczaj pukaniem bez otworzenia, podczas gdy odziana w szatę poezyi sprawia, że, jak kogo stać, tak się dostraja do autora i bierze udział w jego myślach, uczuciach i namiętnościach. Otóż dobry tłómacz ma autorowi przysparzać takich wyznawców, oczarowanych arcydziełami; na tem polega tłómaczenie artystyczne, w przeciwieństwie do zwykłego tłómaczenia filologiczno-rymowego.

Rozwiodłem się nad tym ustępem, bo nie wyjątkiem on jest, ale regułą; cały przekład Dziadów jest taki właśnie. Vrchlický postanowił sobie, że tłómaczenie będzie zarazem i artystyczne i filologiczne. Bardzo często dało się to zrobić bez trudności; bardzo też często trudności były, i to znaczne, ale pokonała je szczęśliwie ręka wielkiego artysty. Często jednak zrobić się to nie dało, a natenczas bywały do wyboru dwie drogi; jednej lub drugiej metodzie trzeba było zostawić pole, inną usuwając. W takich wypadkach Vrchlický postępuje nie jednakowo, to na tę, to na ową przechyla się stronę; nie liczyłem i nie numerowałem, ale odnoszę wrażenie, że mniej więcej jednaką byłaby ilość ustępów, w których artystyczny polot myśli i słowa poświęcono wierności tekstu, lub przeciwnie. I to właśnie zdumiewa, że Vrchlický w wątpliwych wypadkach nie zawsze dał pierwszeństwo swemu artyzmowi, swej intuicyi; tłómaczyć to należy nieśmiałością, obawą, żeby używając zanadto „własnych słów“, nie popsuć sprawy; a zatem skrupulatność, delikatność ręki w dotykaniu Mickiewiczowskiego wiersza, sumienność, pełna obawy — wyszła tym razem na złe sprawie.

„Na złe“ — takie wyrażenie trzeba ściślej określić. Złem jest dobro, które mogłoby być lepszem; sztuka nie może przyjąć innego wykładnika na to wyrażenie. Nawzajem (ale tylko w sztuce!)

dobrem jest zło, które według wszelkich danych mogłoby być gorszem. W tem to znaczeniu freski z Campo Santo w Pizie są bardzo dobre, a ś. p. Rękopis Królowodworski był podobno aż arcydziełem i naszego Reja niektóre ustępy (jak twierdzą smakosze literaccy) uchodzą za wcale dobre; podczas gdy tuziny francuskich, niemieckich i nowszych czeskich Makartów są malarzami średniej miary, niepostrzeżenie przeszło nowe epos Deotymy i t. p. Względnem bowiem jest wszystko w sztuce, nie posiadającej i nie mogącej posiadać absolutu [1]).

Gdyby tego samego przekładu Dziadów dokonał był ktoś o nieznanem zgoła imieniu, byłbym obowiązany wołać, że zjawił się chyba nowy wielki talent literacki i mistrz w artystycznem ujęciu czeskiego języka; chcąc to udowodnić, musiałbym się rozwodzić szczegółowo nad wszystkiem, co mu się udało. Ale gdy na tytule podpisany Vrchlický — uwierzy referentowi każdy na słowo, że to bardzo dobre; lecz zażąda dowodu, jeżeli się twierdzi, że są usterki.

Otóż tłómaczenie Vrchlickiego mogłoby być jeszcze lepszem, gdyby tłómacz był zawsze szedł za swym popędem. W całej książce niema ani jednego miejsca, ani jednego wiersza, któryby był tłómaczony źle; ale są miejsca niektóre tłómaczone tylko dobrze, obok wielu innych, które są istnemi arcydziełami sztuki tłómaczenia. A gdy się czytelnik rozkoszuje tą pełną formą, tem zacięciem wiersza, gdy w nowej szacie widzi przed sobą znów na prawdę Mickiewicza, gdy pod wpływem innych słów i innej prozodyi doznaje jednak swojskich sobie wrażeń, w tymże stopniu i kształcie, do jakiego od lat przywykł, słowem, gdy tak często zapomina, że czyta nie po polsku — jakżeż ma nie żałować, że są jednak ustępy, w których jest inaczej, i jak nie zastanowić się nad przyczyną, dlaczego?

Ilość tych miejsc dobrych, lecz słabszych, nie jest zresztą tak wielka; wątpię, czy dochodzi do $^{1}/_{10}$ części ogółu wierszy — a powtarzam, przyczyna tkwi najwidoczniej w tem, że tłómacz zawahał się używać licencyj przekładowych, że przez skromność nie odważył się kroczyć śmielej i rozcinać węzeł, gdzie trudno go było rozwikłać.

Jakże pięknym jest przekład Części drugiej! Doskonałość

---

[1]) Za „herezyę“ tę przepraszam, ale gotów jestem jej bronić (oczywiście nie w *Świecie Słowiańskim*, który nie jest od tego).

formy, mistrzostwo języka, giętkość składu wiersza, dobór wyrażeń zastosowanych do tej olbrzymiej skali uczuć, do tego omne humanum, wywoływanego na „dziadach“ — wszystko to wyszło wybornie w tłómaczeniu Vrchlickiego. Rozbudzone pokrewne natchnienie nie opuściło go tu ani razu i nie dało mu czasu na filologiczne refleksye i słownikarskie skrupuły; a jednak i może właśnie dlatego jak najdokładniejsza tu dosłowność myśli. Cóż szkodzi, że zamiast „a co zrobię — wszystko caca“, powiedziano: „co jsem počal, šlo mi hladce“, skoro wrażenie pieszczotliwości pozostaje takiesamo! Cóż szkodzi, że powiększono w jednem miejscu liczbę głosek (może nawet tłómacz o tem nie wiedział), gdy wiersz: „buchnęło, zawrzało i zgasło“, przetłómaczono: „buchlo to a vzplalo v sile, zhaslo, kleslo“, skoro w czeskiej rytmice to rozszerzenie wiersza w tem miejscu w sam raz jest dobre. Najtrudniejszym bodaj ustępem drugiej części jest zjawienie Zosi, owej cudnej Zosi z krasnym wiankiem, badylkiem i barankiem.

Na hlavě mi vínek leži,
se zelenou stojím sněti,
beránek přede mnou běží,
motýlek nade mnou letí.
Na beránka bez ustání
volám: Sem pojď! kývám dlani;
beránek však pachá dále,
motýlka snět moje chytá,
již již v dlani se mi kmitá,
v tom však prchá nenadále.

Ustępowi temu zarzucićby można wyraz stojím w drugim wierszu, bo z oryginału odnosi się wrażenie, że Zosia biegnie za motylkami i barankiem; tę jednę zrobiwszy poprawkę, mamy zresztą przekład przepyszny, dosłowny, o ile tylko być może, a nie krępujący się niewolniczo słówkiem za słówkiem, jak się to zdarzało w Części pierwszej.

Część, zwana ciągle jeszcze „czwartą“, część Gustawowa, dostarcza nam coraz wspanialszych ustępów, coraz bardziej delektuje się ucho. Porównując obydwa teksty, podziwia się, jak trafnych tłómacz używa środków, żeby jaknajwierniej oddać oryginał. Naprzykład wyrażenie: „Nie wiesz, jaki tu żar płonie mimo deszczu, mimo chłodu“, można było tłómaczyć dosłownie słówko za słówkiem, ściśle filologicznie; ilość zgłosek byłaby tasama. Vrchlický pisze:

Neviš, jaký žár tu plaje,
co tu déšť, co mráz mu v sledu?

Okazał tu dużo taktu, bo tylko taktem nazwać można ten szczęśliwy instynkt artystyczny, który kazał mu zmienić nieco i nawet wydłużyć rytmicznie wiersz długi. Długość bowiem samogłosek w zgłoskach: „víš“, žár“, „mráz“ sprawiłaby, że zatraciłoby się tu to właśnie, co jest cechą oryginału: przyspieszona nerwowo dykcya Gustawa. Otóż rozdzielenie drugiego wiersza na dwie nierówne części sprawia tu podobne wrażenie. Po słowach „co tu dešť“, jest mała rytmiczna pauza — potem następuje część druga, dłuższa, a ta dzieli się znowu rytmicznie na dwie połowy: jamb: „co mráz“ i po tej długiej zgłosce, mającej na sobie wybitny akcent, następują naraz, jakby dla kontrastu, trzy urywane zgłoski krótkie: „mu v sledu“. Skutek z tego taki, że jakkolwiek wiersz ten ma zgłosek 8, taksamo jak polski — jednak faktycznie jest rytmicznie wydłużonym, a słowa „mu v sledu“ wyglądają, jakby dopowiedziane poza wierszem, jakby „odrywane“. Przez to zaś ucho doznaje tegosamego wrażenia, jak z krótkich, raźnie po sobie następujących w tem miejscu polskich trochejów. Wątpię bardzo, czy tłómacz zastanawiał się nad tem; prawdopodobnie nawet nie spostrzegł się, co zrobił — ale na tem właśnie sztuka, że artysta zrobi, choć czasem sam nie widzi, że robi.

Gdyby w ten sposób chcieć przejść wszystkie ważniejsze ustępy, zapełniłoby się cały zeszyt. Wystarczy to może dla przykładu, jak Vrchlický „robi“, jak ta robota wychodzi w doskonałych kształtach; wystarczy na dowód, do jakiego stopnia umiał się wsłuchać w ton oryginału. Ustęp z gałęzią, rzekomo cyprysową, ma znów rytm poważny, andante; wyraz do wyrazu dobrany tak szczęśliwie, że czytając prozodycznie, akcentujemy w sam raz, co trzeba i mimowoli przedłużamy wrażenie chwili, co jest tutaj nowym dowodem mistrzostwa, boć Gustaw tu rozpamiętywa; rytmika, która przy dobrem czytaniu musi w tem miejscu płynąć wolniej, wybornie ten nastrój psychologiczny podnosi. Refleksye Gustawa o różnych rodzajach śmierci składają się, jakby z urywanych łkań, oddane świetnie; tutaj jednak trudność była mniejsza, bo prozodya czeska nadaje się do tego rodzaju rytmiki lepiej od polskiej. Trudno ona za to nagina się do takiego rzewnego, tkliwego spokoju, jaki panuje w owym ustępie o odrysowaniu portretu kochanki, a zwłaszcza w następnej refleksyi o zachowaniu wstydliwości nawet wobec jej podobizny

(wiersze od: „jednego razu, kiedy przez czarodziejski pendzla wynalazek“ do: „nim jej listkiem cyprysu oczu nie zasłonię“). Czeszczyzna jest twarda, a przytem za dużo ma silnych akcentów na takie rzeczy — a przecież Vrchlickiemu rzeczywiście udało się!

I niejeden jest tam taki ustęp, który jest zaiste wzbogaceniem i wzmożeniem czeskiego języka. Dziady były swego czasu niewątpliwie wielkiem wzmożeniem polskiego języka; bo dużo jest w nich rzeczy, których się przedtem po polsku nigdy nie słyszało, dużo zuchwałych pomysłów artystycznych, do których trzeba było ten język dopiero nagiąć; był mistrz i naginał, nie przekręcając wzrostu, a nowy dając kierunek, nie łamał; zeszedł do głębi „arki przymierza“, tam odszukał pierwiastków, które z zarodku odchuchał i wypielęgnował, że ze swojskiego wyrastając gruntu, śmiało się mogły rozrastać i, Bogu dzięki, rozrastają się ciągle w nowe konary ponad jego grobem. Wielkie arcydzieło pobudza czynność, przysparza twórczości każdemu, kto się niem przejmie. I oto przekład czeski Dziadów przysparza twórczości językowi, który go sobie dobrze przyswoił, skoro się tylko znalazł tłómacz, który się zdołał przejąć na wskróś oryginałem. Mickiewicza może tłómaczyć dobrze tylko dobry poeta, bo tłómaczenie takie wymaga — wzmożenia siebie samego. W wysokim stopniu stać na to było Vrchlickiego; toteż jest to faktem do historyi języka czeskiego, że on dokonał tego tłómaczenia. Dla nas zaś niezmącona radość z godnego Mickiewicza przekładu, a wybawienie od strachu, że utwór trudny, a przez swą fragmentaryczność mniej dla czytelnika gościnny, nie będzie już narażony na złe tłómaczenie.

Trudno się w tej części nie przypatrzeć jeszcze ustępowi: „Kobieto, puchu marny“.

Zaraz w pierwszym wierszu dwa szkopuły. Wyraz czeski na „puch“ (kvap) niema bowiem znaczenia przenośnego, a na nasze „wietrzny“ niema u nich całkiem stosownego wyrazu. I tłómaczyć! Wymyśla tedy tłómacz obraz poetyczny:

O ženo, lehké pýří! [1]) větrem v pohru vzato —

pokazuje czeskiemu czytelnikowi obrazowo skutki wietrzności i osięga tensam skutek, a nie dodaje ani jednej zgłoski. W dru-

---

[1]) „Pýří“ może znaczyć nietylko pierze, ale różne drobne ciałka, zwłaszcza roślinne (kwiaty, nasiona i t. p.), unoszące się łatwo w powietrzu; podobnie, jak nasze „puch“. U Mickiewicza: „Jako na trawce wiosenne puchy“.

gim zato i piątym wierszu ujął po dwie zgłoski, podobnież w dwunastym i trzynastym; dodał po jednej w siódmym, ósmym, dziesiątym, a w jedenastym dodał nawet dwie i t. p. Cały ten ustęp tłómaczony jest z wielką w tej mierze licencyą. A czytając kursorycznie nie spostrzega się tego; przeciwnie, odczytawszy, odnosi się wrażenie, że to najzupełniej tosamo, tensam takt, tosamo wrażenie; zdaje się właśnie, że to najzupełniej tasama kolej zgłosek i tasama ilość poruszeń warg. Dopiero ze zdziwienia, jak też można było w odmiennych zupełnie warunkach prozodycznych przejść przez to bardzo trudne miejsce z takim pedantyzmem zgłoskowym, zabieramy się do podpatrywania „roboty“ i spostrzegamy, że on tu ujmuje i dodaje zgłosek, stosownie do swego uznania i przez to właśnie doprowadza rytmikę do taktu oryginału w sposób naprawdę misterny. Do specyalnych prozodycznych studyów byłoby tu sporo materyału. Ilość poruszeń warg nie tasama tedy — to było złudzeniem; ale co za mistrz słowa, który tak złudzić potrafi!

Przystąpmy do Części trzeciej. Sam początek słabszy. Na samym wstępie prologu Anioła Stróża, dla utrzymania rymów zmieniono myśl:

Niedobre, nieczułe dziecię! Ziemskie matki twej zasługi, Prośby jej na tamtym świecie Strzegły długo wiek twój młody Od pokusy i przygody.	Dítě zlé a zatvrzelé! Zásluhy vše matky tvojí, pokud ještě žila v těle, mládí tvoje v nástrah roji střehly v útoku a v boji.

Tutaj wiersz drugi rozwałkowano w przekładzie na dwa wiersze; dodanie wiersza, byle nie często, jest dozwolone, ale błędnem stanowczo jest, że dla utrzymania tejsamej ilości wierszy opuszczono i nie przetłómaczono całkiem oryginału wiersza trzeciego. Ostatni zaś wiersz ma w przekładzie zupełnie inny ton, niż w oryginale: „pokusa i przygoda“ — to są rzeczy wieku młodego, ale „útok i boj“ należą do męskiego wieku, psują zupełnie tę elegijność, ten nastrój ustępu, w którym „Anioł-Stróż“ z czułością patrzy na powierzone jego pieczy „nieczułe dziecię“. W następnym czterowierszu opuszczono zupełnie pojęcia „noc“ i „senne skronie“; a nie są to w tem miejscu obojętne słówka stylistyki poetycznej. Odnoszą się one do całego obrazu Anioła Stróża, czuwającego nad dzieckiem we śnie pogrążonem, i nie bez przyczyny Mickiewicz zaraz w pierwszym okresie te pojęcia wprowadza; bez nich cały zwrot o róży traci na znaczeniu.

Ale takie słabe ustępy należą do wyjątków. Już następne wiersze tłómaczone są dobrze. W trzeciej alinei są dwie parafrazy. Zamiast „marzenie namiętne“ mamy „vír snů, který šíli“, wyrażenie bardzo szczęśliwe i znaczące w tem miejscu zupełnie tosamo. Szkoda, że nie udało się zastosować do wiersza słów: „nieraz dusza twa mi zbrzydła“; parafraza „vzňala děs tvé duše běda“ jest trochę niewyraźną; jest to ofiara, złożona na ołtarzu rymu. Szkoda; można się było od tego raczej rozgrzeszyć, idąc za przykładem Mickiewicza, który zresztą w temsamem miejscu ma rym lichy (zbrzydła — kadzidła); dzisiejsi nasi poeci nie mieliby odwagi pójść w świat z tym rymem. Tłómaczenie staje się jednak coraz lepszem; ustęp: „Ja, syn chwały nieśmiertelnej“ jest już bardzo dobry — a słowa zbudzonego więźnia: „Nocy cicha!“ oddane są wprost przepysznie, majestatycznie. Miałoby się ochotę przepisać tu całą tę stronicę, gdyby nie to, że są ustępy jeszcze ważniejsze, którym szczególna należy się uwaga.

Bardzo dobrze, bez zarzutu, tłómaczona jest scena pierwsza, rozmowa więźniów. Czy to opowiadania kolegów, czy szarpiące serce opisanie wywiezienia Janczewskiego, czy dzika piosnka Jankowskiego, czy mściwo-melancholijna Feliksa, czy szalenie-natchniona pieśń Konrada, wszystko to utrzymane wzorowo w tonie oryginału. Jeden tylko drobny szczegół, jakby na poświadczenie, że koniec końców prawdą jest, że d o b r z e można znać tylko jeden język; nie dopisała Vrchlickiemu c o p i a v e r b o r u m w polszczyźnie; stąd zabawny epizod: Adolf opowiada, że Ksawery się zastrzelił. Na to Frejend: „Łepski! To z nami uczty wesołe on dzielił“... Otóż Vrchlický, nie znając wyrazu „łepski“, bierze to za imię własne i mniema, że Frejend dodaje tu, że ów samobójca Ksawery nazywał się nazwiskiem Łepski. Czeski czytelnik tego nie spostrzeże, a ostatecznie na tej drobnostce nic nie zależy i w czeszczyźnie, jak na złość, niema terminu identycznego.

I m p r o w i z a c y a przetłómaczona jest tak, że choćby tylko tłómaczem był Vrchlický, ten przekład wskazywałby, że on sam rodził się na poetę. Ten czeski tekst żyje, rusza się, grzmi, tętni, błyska, tytanicznym owiewa rozmachem; poznoszono tu na jedno miejsce wszystkie klejnoty czeszczyzny, żeby z nich zrobić wspaniałą oprawę dla tego najwyższego wysiłku i wykwitu nowożytnej myśli ludzkiej, jakim jest I m p r o w i z a c y a Konrada; i osiągnięto w zupełności to, że potęga natchnienia nic na tej przeróbce nie traci — I m p r o w i z a c y a po czesku pozostała sobą, Vrchlický

nie obniżył Mickiewiczowi lotu. A niebezpieczeństw było tu na każdym kroku wiele, choćby przez to, że urok treści wiąże się tu tak ściśle z rytmiką i całą niedościgłą w tem miejscu techniką stylistyki poetycznej. Tutaj też więcej, niż gdziekolwiek, zależy na najściślejszem oddaniu wszelkiego odcienia myśli, tutaj, gdzie co wiersz, to myśl, a zawsze dziwna, uderzająca. Czem styl autora jędrniejszy, tem trudniejszy do tłómaczenia; a cóż może być jędrniejszego od tej Improwizacyi, złożonej jakby z jakichś głazów narzutowych, przytroczonych huraganem uczuć i lawiną wezbranej myśli wielkiego człowieka. Co wyraz, to dziwo — a co myśl, to cudo — a co wiersz, to wstrząśnienie wszystkiego, co tylko żywe w duszy czytelnika. Przestrzeżeni, że nawet w ojczystym języku „myśl się w słowach łamie", czytamy z obawą, jak też będzie wyglądała powtórnie załamana w języku z odrębną zupełnie dykcyą i prozodyą, w tem twardem spółgłoskowem zębatem kole czeszczyzny. Ale te zęby i szczerby mają swoje dobre, bardzo dobre strony, byle wiedzieć, od czego są. Zatoczył niemi Vrchlický tak doskonale, że tylko przyklasnąć i z serca radować się.

Samotność!... Cóż po ludziach, czym śpiewak dla ludzi?

Tak sám!... Co po lidech mi? Čím jest pěvec v davy?

To jest dosłowne tłómaczenie, ale dosłowność jest artystyczną, nie filologiczną. Zamiast „czym śpiewak dla ludzi?" powiedziano po czesku: „czem jest piewca dla tłumów". To generalizowanie myśli oryginału nie szkodzi wobec tego, że z początku zamiast ogólnego „samotność", powiedziano indywidualnie „tak sam!" — jedno drugiem się pokrywa i wyrównuje. Swoją drogą, kto wie, czy w tem miejscu nie zachodzi małe nieporozumienie filologiczne, którego skutki usunęła szczęśliwa intuicya. Można bowiem było bez najmniejszej trudności powiedzieć po czesku dosłownie: czym, t. j. czyż jestem? dając zamiast „čím jest" — „jsem-li?" albo też wykrzyknik „ne jsem!" Ponieważ zaś u Vrchlickiego dosłowność jest zasadą, więc prawdopodobnie nie spostrzegł się na różnicy czym a czem. Ale nic to tu nie szkodzi — myśl oddano i ton zachowano. Zmiana jest nieszkodliwa, ale też niepotrzebna.

Przypatrzmy się kilku wspaniałym ustępom, żeby poznać, jak tłómacz umie dobrać słów, wnikających w ton oryginału. Oto: „Uczucie krąży w duszy"...

Cit krouží v duši, šíří, roznítí se, září,
jak hluboké a tajné krev probíhá cévy,
jen mnoho-li zří krve lidé v mojí tváři,
jen tolik z mojich citů zjeví moje zpěvy.
Ma pisni, ty's jak hvězda za hranici světa!
Zrak pozemský za tebou žene se a chvátá!

Tutaj np. dodano w pierwszym wierszu bardzo szczęśliwie wyrażenie „szerzy się“ (šíří); wiersz drugi: „jak krew po swych głębokich, niewidomych cieśniach“, oddano przez „jak krew przebiega przez głębokie a tajemne żyły“; potem zamiast „dostrzegą (ludzie) w mych pieśniach“, powiedziano: „wydadzą (na zewnątrz) moje śpiewy“; wreszcie zamiast „i wzrok ziemski do ciebie wysłany za gońca“, mamy w tłómaczeniu: „wzrok ziemski za tobą rozpędza się i goni“. Wszystkie te modyfikacye słów nie są wcale modyfikacyą myśli; oddają ją jak najwierniej, a niosą ze sobą rytmiczność oryginału.

W wierszu: „kręcę gwiazdy moim duchem“, powiedziano „řídím“ (nadaję kierunek), z bardzo trafnym taktem, bo dosłowność miałaby w tym wypadku po czesku jakieś uboczne znaczenie nakręcania, przekręcania, tak, jakby po polsku powiedzieć, np. „kręcę gwiazdami“.

Wyrażenie „świata krawędzie“ oddano przepysznie przez „lem všehomíru“, co znów na polskie nie da się dosłownie przetłómaczyć. Szkoda, że w wspaniałym zresztą przekładzie tego miejsca powiedziano zamiast: „słyszę me śpiewy“, „slyším svoje lkání“, co zaliczyłbym do grubszych już błędów, bo to jest zmiana tonu zupełna; jedyny to jednak stanowczy błąd w Improwizacyi. O dwa wiersze niżej: „przewiewają ludzkiego rodu całe tonie“, użyto w tłómaczeniu liczby mnogiej „lidských rodů“; ta liczba mnoga nie wzmacnia, lecz osłabia tu wrażenie; o ile to było koniecznością ze względu na rym, trudno osądzić, nie będąc samemu rymotwórcą. Ale kto zna Vrchlickiego, ten przypuszcza, że dla niego wszystko jest możebne i stąd takie różne pretensye — pomimo to, że ten ustęp i tak wyszedł w tłómaczeniu wybornie.

Arcydziełem języka i formy jest ten np. bardzo trudny ustęp: „Patrz, jak te myśli dobywam“...

Hleď, myšlének svých kterak loupím sebe,
je v slova vtělím, letí,
je rozhazuji v nebe,
se točí, hrají, žhnou v změti,

jsou v dáli, je cítím, ještě
jich vděky v smyslů plání,
jich okrouhlost mám v dlani,
jich ruch v své mysle vlání,
vás rád mám, děti snů svých, věště!
Myšlénky mé, hvězdy moje,
city moje — vichry moje,
ve středu vašem otec v rodině své stoje,
dím: Všecky jste moje!

Nie można sobie wyobrazić lepszego tłómaczenia. A trzebaby się dużo rozpisywać, żeby wykazać wszystkie trudności, z któremi tutaj trzeba się było rozprawić. Interpretacya, t. j. udowodnienie szczegółowe, do jakiego stopnia to tłómaczenie jest doskonałem, mogłoby zająć kilka stronic; zwrócę choćby uwagę na zręczne użycie zwrotu imiesłowowego w ostatniem zdaniu (stoje = stojąc). A z takich ustępów składa się przynajmniej połowa książki — ustępów, którym nawet przy krytyce tak surowej, jak niniejsza, nic a nic zarzucić nie można, lecz przeciwnie, z każdego wiersza brać pochop do podziwu.

Albo ten ustęp: „Dziś jest chwila przeznaczenia"...

v předurčené jsem dnes době,
dnes má duše paže vzepne obě,
Samsone, rovna tobě,
Když, vězeň slepý, stal's u sloupu snivý.
Duch, pouze vezmu křídla, těla svrhnu svoru
dnes potřebí mně letu
ven z planet, z víru hvězd, za meze světu
tam dojdu, poslední kde tvůrce hráz i tvoru.

Ile tu licencyj, ale jakich delikatnych i jak szczęśliwą ręką dobranych! Inne wyrażenia, ale jak przystające do oryginału (?), śmiałość, pewność siebie w doborze słów, a niewolniczy przekład myśli. Co do ostatniego tylko wiersza, trzeba zrobić jedno zastrzeżenie: wyraz „poslední" (t. j. ostatni) trzebaby wykreślić; na czytelniku mógłby on sprawić wrażenie, jakoby Mickiewicz miał na myśli granice Stwórcy i natury, podczas gdy myślał o granicy pomiędzy Stwórcą a naturą. Ten jeden wyraz, dodany dla rytmu, rodzi wątpliwość, podmywa myśl, budzi dwuznaczność, o jakiej zapewne tłómacz nie myślał.

I dalej rozwija się przekład Improwizacyi wspaniałym prądem. W jednem miejscu użyto bardzo szczęśliwie rymu męskiego.

Jen kdo vryl se do sta knih
v kovy, čísla, mrtvol stoh,
pouze ten se vhlubit moh',
moci Tvojí část že stih'.

Ależ trzebaby chyba całą Improwizacyę po czesku przepisać, chcąc oddać hołd wszystkim pięknościom przekładu. Szkoda, że w sam raz tutaj zakradły się dwie fatalne pomyłki drukarskie. Na str. 190. w wierszu 9. od góry zamiast „musím“, powinno oczywiście być „musí“. „Co ja zechcę, niech wnet zgadną“, w tłómaczeniu: „Co ja chci, musí uhádnouti“. Nieszczęśliwym trafem singularis „musim“ daje też sens dobry, a więc czytelnik nie spostrzeże się; ale sens ten jest zupełnie inny. Druga pomyłka na str. 192. w wierszu 3. od góry również niedostrzegalna dla czeskiego czytelnika. „Dałeś mnie najkrótsze życie“ w tłómaczeniu: „Nejkrutší mně dal jsi žití“, a powinno być „nejkrátší“; i znowu nieszczęściem pomyłka nie psuje sensu, tylko go zmienia; a nie psując, nie zwróci uwagi: „nejkrutší“ znaczy zaś: najprzykrzejsze. Sam czytelnik poprawić sobie już może błąd na str. 204., zamiast „alter Fitz“ na „alter Fritz“.

Trudno się natomiast zgodzić na rytmikę przekładu słów archaniołów w scenie po eksorcyzmie. W oryginale niezwykłe te wiersze są piętnastozgłoskowe, a trzy razy mają po jednym wierszu dwudziestozgłoskowym; z tego jeden czterowiersz zaczyna się, a drugi kończy takim dwudziestozgłoskowcem. Nie jest to bez znaczenia dla estetycznego wrażenia tego ustępu. Mickiewicz w tem miejscu nietylko nie lekceważył sobie rytmiki, ale owszem, przykładał do niej wagę; wszystkie te wiersze mają dokładnie obmyślaną budowę, a mianowicie składają się wyłącznie tylko ze samych pięciozgłoskowych taktów. A tymczasem Vrchlický ma tu po zgłosek 13, 14, 15, 16 i 21, które nie łączą się w żadną całość rytmiczną; z każdego niemal wiersza odnosi się inne wrażenie artystyczne. Trzy wiersze, składające się także w tłómaczeniu z trzech taktów po pięć zgłosek, świadczą, że wiersz ten da się użyć z korzyścią w czeszczyźnie.

W dalszym ciągu tesame prawie ciągle zalety, podobne rzadkie usterki. Widzenie Ewy i księdza Piotra, widzenie senatora, salon warszawski, scena z Rollisonową i spotkanie z X. Piotrem, i znowu noc Dziadów, wszystko to przebrane na czeskie niemal bez zarzutu, a po większej części znakomicie. Co do „Ustępu“,

dodać chyba możnaby, że Vrchlický najświetniejszym bywa w dykcyi epickiej.

Jakiż ogólny wniosek? Bez wady niema niczego na świecie; toteż często wielkie zalety łączą się z wielkiemi wadami, i nic fałszywszego, jak osądzać kogoś lub coś według ilości wad. Nie ten najlepszy, kto jest bez wad; złudzenie! Ten najlepszy, kto ma najwięcej zalet! Można nie mieć żadnej wady i być kompletnem zerem. Wybitne zaś zalety bez towarzystwa tych lub owych wad — są psychologicznie absolutnie niemożebne.

Według tej metody osądzając ludzi i sprawy ich, żądamy od tłómacza, żeby miał tę zaletę, iżby pewnego autora umiał żywcem przenieść w obce otoczenie — tak, żeby z przekładu przebijał, że tak powiem, temperament oryginału; powtóre, żeby nie wmówił w oryginał niczego takiego, czego w nim niema; po trzecie, żeby przekład miał artystyczną wartość w prostym stosunku do wartości oryginału. Poza temi zaletami wszelkie możliwe wady są już rzeczą, co najwyżej drugorzędną.

Stanowcze kryteryum dobrego tłómaczenia jest takie: Wyobraźmy sobie, że oryginał zaginął, że jacyś ludzie w którymś wieku poznać mogą utwór czyjś tylko z tłómaczenia. Czy ich sąd o utworze będzie przez to odmienny? i o ile? Otóż gdyby Dziady tylko z przekładu Vrchlickiego poznać można było — pozostałyby one na temsamem zupełnie stanowisku w literaturze, nie tracąc ani na sile, ani na piękności. Wobec tego nieliczne usterki, rari nantes w obszarze piękności, nie mogą zaważyć wiele na szali i nie obniżą ostatecznej oceny: że przekład ten jest nietylko dobry, ale bardzo dobry, a po większej części doskonały.

Dla nas ma on wartość jeszcze nadto inną: jest pomnikiem nadzwyczajnego pietyzmu Vrchlickiego dla arcydzieła języka polskiego. Temu przekładowi poświęcił starań i trudów więcej, niż innym, tę pracę swoją najbardziej umiłował, najbardziej uczuciem własnem uświęcił.

Dr Feliks Koneczny.

W sprawie neoilliryzmu.

Od dłuższego czasu, zeszyt za zeszytem, podajemy w naszych przeglądach prasy i w osobnych ustępach informacye o ruchu wśród Słowieńców, który zrazu nazywał się »jednością słowieńsko-chorwacką«,

a następnie neoilliryzmem. Donosiliśmy, jak przeciw wodzie jął się płynąć docent praski, Dr. Rostohar, i jakie go o to spotykały przykrości, zwłaszcza, gdy w praskiej *Union* wyłożył swe zdanie, a zarazem oparł się urządzanej pod hasłem idei jugosłowiańskiej nagonce na Albańczyków. Opowiedzieliśmy, jak Dr. Ilešič głosił niegdyś neoilliryzm głosem na puszczy, a teraz taki rodzaj głosu przypisuje się Drowi Rostoharowi. Zanotowaliśmy sumiennie tegoż Dra Ilešiča »Do sprawy neoilliryzmu przyczynek filologiczny« — bo to argumentacya rzeczowa — i radzi jesteśmy, że strona przeciwna dostarcza nam sposobności praktykowania zasady: audiatur et altera pars. Już po »zamknięciu« materyału na zeszyt nasz lipcowy okazał się w Nrze 169. *Narodnich Listów* bardzo ciekawy Dra Rostohara list, pełen wiadomości, tyczących się stanu tej kwestyi; przytaczamy go poniżej:

»Neoilliryzm ma dwa kierunki: kulturalny i polityczny. Polityczny neoilliryzm pragnie zjednoczenia wszystkich Słowian południowych, Słowieńców, Serbów i Bułgarów, w nowe państwo słowiańskie. »Ideał jego jest irredentystyczny, a ideologia jego jest rewolucyjna« — jak się w swoim czasie pochlubiono w lublańskiej korespondencyi do praskiego *Času*. Nadmieniam atoli, że ten irredentystyczny neoilliryzm nie jest niebezpiecznym dla państwa, gdyż głoszą go pacholęta, nie mające jeszcze pojęcia o polityce; ale zato szkodliwszym jest dla słowieńskich partyj postępowych, które w ciężkiej walce z »patryotycznym« klerykalizmem podejrzywane bywają stale o machinacye, pachnące zdradą stanu, a to dzięki nierozważnej prasie, takiemu *Danu* i *Preporodu*, które to pisma nie przestają podawać się za organy postępowej słowieńskiej młodzieży i inteligencyi. W rzeczywistości stoi za temi pismami ledwie jaki dziesiątek ludzi, którzy skutkiem wypadków bałkańskich stracili rozum i poczynają sobie, jakby Austryi już nie było.

»Ten polityczny ideał neoilliryzmu jest dzisiaj powszechnie już uznany za — utopię. Stronnictwo postępowe oświadczyło oficyalnie, że nie chce z nim mieć nic wspólnego i że nie może brać odpowiedzialności za to, co głoszą *Preporod* i *Dan*. W ten sposób powiedziano tedy jasno, jak się ogół postępowy słowieński ma do neoilliryzmu, za którego »osamotnionego« przeciwnika podaje się mnie stale w dziennikach czeskich i serbo-chorwackich. Swoją drogą nie bardzo mię to wzrusza.

»Kulturalny neoilliryzm pragnie, żeby Słowieńcy »przygarnęli się kulturalnie« — że użyję tego znamiennego wyrażenia Schauera — do Serbochorwatów i zlali się z nimi stopniowo w jeden »wielki naród jugosłowiański«. Urzeczywistnienie tej idei byłoby zanikiem narodu słowieńskiego, a temu musi się opierać każdy uświadomiony Słowieniec, starający się gorliwie o to, żeby naród słowieński rozwijał się, a nie, żeby zaniknął, choćby w serbochorwackiem morzu.

»Niełatwo zrozumieć, że naród słowieński musiałby zaginąć, zaniknąć poto, żeby Serbochorwaci byli silniejsi. Otóż tu okazuje się nam w sposób jaskrawy antinarodowa tendencya panslawizmu. Tego rodzaju panslawizm musi być odepchnięty przez każdy mały naród słowiański, boć zagraża jego istnieniu. Ten też panslawizm rozdziela

dziś Serbów i Bułgarów, a przezorny Słowianin powinienby zaczerpnąć stąd nauki, że panslawizm jest istotnie wewnętrznym nieprzyjacielem Słowian, których siła i zbawienie spoczywa w realnej wzajemności wszystkich równocennych i równouprawnionych narodów słowiańskich. W tem upatruję prawą Słowiańszczyznę, którą głoszę wśród Słoweńców z otwartością taką samą, z jaką zwalczam panslawizm neoillirski, do którego my, Słoweńcy, doprawdy nie możemy się zapalać. Niesłusznem atoli byłoby wysnuwać z tego, jakoby Słoweńcy nie czuli się Słowianami i niezgodne z prawdą jest twierdzenie, jakoby były wśród nas osoby, chcące być t y l k o Słoweńcami. Żaden naród słowiański nie posiada takiego szczerego poczucia i odczucia słowiańskiego, jak Czesi i Słoweńcy, lecz, niestety, doznaliśmy też wspólnie od idei słowiańskiej największych złudzeń. Dlatego niema to wprost sensu, żeby twierdzić, że uświadomienie słowiańskie wśród Słoweńców obecnie wzmocniło się. Tak było zawsze. Prawdą jest tylko to, że jesteśmy gotowi bronić swej słoweńskiej narodowości także przeciw słowiańskiemu narodowi. Przykrem już jest samo to, że musimy to robić. My, Słoweńcy, jesteśmy małym narodem, zagrożonym przez Niemców i Włochów, ale pomimo to posiadamy dziś kulturę wyższą, niż nasi bracia Serbochorwaci, jakkolwiek oni rozwijają się wśród warunków o wiele dogodniejszych od Słoweńców.

»Zwykliśmy polegać tylko na własnych siłach i na wytrwałej pracy; prócz Czechów nikt nam nie dopomógł w naszym kulturalnym i ekonomicznym rozwoju. Od Serbochorwatów mamy dotychczas tylko illiryzm, toteż nie weźmie nam nikt za złe, jak to czynią dziś Serbochorwaci, naszej świadomości samych siebie. Nie można już dzisiaj twierdzić, jakoby cały ogół słoweński odpychał moje wywody o neoilliryzmie; wiadomo bowiem, że ogromna większość naszych wybitnych pracowników kulturalnych podziela zupełnie moje stanowisko; tak np. literat I v a n C a n k a r, który z pewnością przemawiał w imieniu wielu, w odczycie publicznym w »Domu miejskim« w Lublanie podzielił moje poglądy na dzisiejszy jugosławizm, i to przy ogólnem uznaniu publiczności. Nadmieniam, że przed 14. dniami również stronnictwo narodowe w Styryi publicznie odrzuciło neoilliryzm, e n b l o c. Ów »rozgoryczony« słoweński ogół, który odrzuca moje wywody, stanowi wszystkiego razem pięciu dziennikarzy bez znaczenia, którzy pozwolili sobie przemawiać w imieniu ogółu słoweńskiego, któremu atoli nie śniło się nawet o żadnem rozgoryczeniu. Ta »publiczność« z piątki złożona, jak ją trafnie określił C a n k a r, inscenizowała również osławioną albańską »nagonkę«, której nieracyonalność zaznaczyłem z naciskiem już w odpowiedzi swej Drowi V o š n j a k o v i w praskiej *Union*, zwracając uwagę, że w sprawie albańskiej zajmuję stanowisko takie samo, jak Dr. K r a m á ř. Ivan C a n k a r nazwał postępowanie tych ludzi nader charakterystycznie »delirium«. Muszę przyznać, że doprawdy sprawiają wrażenie ludzi, których nie bierze się na seryo, z którymi dla ich namiętności niemożliwą niemal jest debata rzeczowa. Będzie podobno dobrze, jeżeli także czeska publiczność będzie się zapatrywała krytyczniej na jugosławizm czyli neoilliryzm«. *Dr. M. Rostohar.*

List ten zaopatrzyła redakcya *Narodnich Listów* następującym dopiskiem:

»Z powodu nawału materyału byliśmy zmuszeni odłożyć nieco list ten, który ogłaszamy w interesie wszechstronnej informacyi naszych czytelników, chociażbyśmy nie podzielali stanowiska autora, wręcz negatywnego. Ruch neoillirski, taki, jakim on dziś rozwija się, oznacza zbliżenie Słowian południowych, kulturalne i językowe zjednoczenie Serbów, Chorwatów, a z czasem zapewne i Słowieńców. Illiryzm, obecnie zaś i neoilliryzm, jest jedynym realniejszym prądem pomiędzy narodami słowiańskimi, wiodącym ku narodowej integracyi, a nie ku differencyacyi. Niesposób nazywać tego zbliżania i zjednaczania — wynaradawianiem. Językowe zjednoczenie wszystkich Słowian jest wprawdzie utopią, ale stosunek Słowieńców do Chorwatów nie należy chyba do tej kategoryi«.

Zdanie poprzedniego artykułu, że Słowieńcy są »gotowi bronić swej słowieńskiej narodowości także przeciw drugiemu narodowi słowiańskiemu«, spowodowało Dra I l e š i č a do ogłoszenia w *Slovenskim Narodie* Nr. 148. artykulu p. t.: »S t r a š n i i l i r s k i d n e v i S r b o v i n B o l g a r o v«. Treść jego następująca:

Straszliwej wojny pomiędzy wczorajszymi co dopiero sprzymierzeńcami przyczyną separatyzm narodowy; gdyby się czuli jednym narodem, nie byłoby tego. Madiarzy i Niemcy lubią te wybujałe indywidualizmy, gotowe przeciwstawić się zawsze drugiemu indywidualizmowi słowiańskiemu; przejmują się żalem nad grożącą galicyjskim Ukraińcom rusyfikacyą, radzą Serbom pielęgnować swoistość serbską, a Bułgarów chwalą za ściśle bułgarską politykę. A tymczasem indywidualizmy te, rozwijając się obok siebie, nie oglądając się w niczem na drugiego, muszą wreszcie rzucić się do boju z sobą. Albo tedy Słowieńcy zjednoczą się narodowo z Serbochorwatami, albo izolowani skazani będą na wegetowanie i wkońcu zanik i śmierć, o ile nie rzucą się do walki z pobratymcami, z której wychodzi się — z klęską. Walka bułgarsko-serbska jest ostrzeżeniem dla Słowieńców. Niechże więc Kopar w Istryi uchodzi sobie za chorwacki, niechaj w Portorose powstaje chorwacka szkoła; musi się dojść do przekonania, że to zupełnie wszystko jedno, czy co słowieńskie, czy chorwackie, bo inaczej — walka pomiędzy braćmi i osłabienie obydwóch. Tak głosi prof. I l e š i č.

Jeżeli powyższe zestawienie stosunków słowieńsko-chorwackich a serbsko-bułgarskich szwankuje w niejednem, niema co tego wywodzić, boć żadne porównanie zupełnie ścisłem być nie może. Trzymajmy się myśli autora, a nie wyrazów. Chodzi o to, czy wybitne indywidualizmy narodowe muszą prowadzić do wojny, a słabe do — zjednoczenia pokojowego? Otóż wcale nie! Dr. I l e š i č jest na zupełnie mylnym tropie!

Przyczyna wojny o Macedonię tkwi właśnie w słabym indywidualizmie jej mieszkańców! Gdyby ludność macedońska miała silne poczucie narodowe, nie mogłyby obie strony przywłaszczać jej sobie w imię etnografii! Wojna niniejsza przyspieszy wielce wyrobienie się tej indywidualności. Przez nią wyrobi się w Macedończykach narodowość. Biada państwu, które zagarnie ten kraj wbrew poczuciu narodowemu,

jakie się tam narodzi teraz, w naszych oczach! »Buntami« i »wojnami domowemi«, choćby przez cały wiek XX., gotowa w takim razie Macedonia zadokumentować swoją narodowość. Gdyby ją była zadokumentowała przedtem, nie byłoby niniejszej bratobójczej wojny. Mamy tu niewątpliwie przykład, jak słabe zindywidualizowanie wiedzie do wojny.

Podobnież ma się rzecz z Rusinami we wschodniej Galicyi. Gdybyż oni raz wreszcie sami wiedzieli, jakiej są narodowości! Ale oni nie o wiele bieglejsi w tej rzeczy, niż Macedończycy; jedni przysięgają w Wiedniu, że »Ukraina« czeka tylko na wyzwolenie z pod »Moskala«, podczas gdy drudzy niemniej uroczyste w Petersburgu składają przysięgi na to, że »Rosyanie galicyjscy« nie mogą się doczekać przybycia upragnionych kozaków, którzyby dopomogli im zrzucić jarzmo »niemieckie«; jedni zaś i drudzy jednako drażnią Polaków, którzy mają tu łamigłówkę największą, jaką kiedykolwiek zadała historya. Gdybyż raz wreszcie Rusini sami wiedzieli, czego chcą i gdyby byli naprawdę czemś, choćby »Moskalami« — możnaby obmyśleć jakieś clara pacta, na podstawie których następne pokolenia mogłyby żyć spokojnie! Dla braku atoli wybitnej indywidualności narodowej w tej masie etnograficznej będzie ona stanowiła nadal boisko intryg politycznych pomiędzy Wiedniem a Petersburgiem i topielisko dla polskiej myśli politycznej. Czy zaś kiedykolwiek Ruś południowa przybierze zdecydowaną barwę narodową — to wogóle wątpliwe, gdyż warunków sprzyjających temu jest na Rusi mniej, niż w Macedonii.

Myli się również Dr. Ilešič, mniemając, że Serbia i Bułgarya stanowiłyby zgodliwą jedność, gdyby nie zbyt wybitne zindywidualizowanie narodowe. Jedno nie ma nic a nic do drugiego. Mogłoby nie być narodowości (uświadomionej) ani serbskiej, ani bułgarskiej, a pomimo to kraje te mogłyby być z sobą w stałej wojnie. Różnica polegałaby tylko na tem, że zamiast państw dwóch, byłoby ich na tej samej przestrzeni więcej — wobec braku czynnika sprzęgającego, jakiem jest poczucie wspólności narodowej; czem więcej zaś państw, tem więcej wojen.

Tyle, co do teoretycznej strony wywodów Dra Ilešiča. W praktycznej stronie przedmiotu popełnia zaś błąd, polegający na niedopatrzeniu: zdaje mu się mylnie, jakoby zjednoczenie narodowe było jedyną drogą do zmniejszenia obszarów, na których mogą wybuchać wojny. Zjednoczenie narodowe jest niewątpliwie środkiem walnym do tego celu, bo ułatwiającym zjednoczenie państwowe. Jeżeli jednak jedność państwowa następuje bez jedności narodowej, cel osiągniętym bywa jeszcze szybciej, radykalniej i drogą krótszą.

Tu stajemy jednak przed zagadnieniem, czy usunięcie wojen godzi się uważać za cel celów? W takim razie podbój Europy przez Prusaków byłby najszybszem rozwiązaniem wszelkich kwestyj XX. wieku.

Jak wojna, podobnież i pokój może być tylko środkiem do celu; czasem ten środek lepszy i uczciwszy, a czasem tamten. Dr. Ilešič traktuje tę kwestyę w ograniczeniu do samych tylko Słowian i to nie ze względów ideologii »pacyfistycznej« bynajmniej, lecz ze względu na ideę słowiańską. Otóż to kwestya, czy wojna obecna bułgarsko-serb-

ska będzie stanowić upadek idei słowiańskiej na Bałkanie, czy też... wyrówna jej ścieżki? Kto to może wiedzieć? Jeżeli wojna ta przyspieszy rozwój uświadomienia narodowego w Macedonii, już jeden zysk. Gdyby umniejszyła ilość słowiańskich dynastyj na Bałkanie, byłby zysk olbrzymi; prawdopodobnie zaś będzie wstępem do tego w dalszych swych następstwach — bez czego niemożliwem jest w przyszłości państwowe dalsze zrzeszanie się Słowiańszczyzny bałkańskiej. »Autonomiczna Macedonia« byłaby dla sprawy słowiańskiej klęską bez porównania dotkliwszą, niż wojna serbsko-bułgarska. Niestety, nie jest wykluczonem, że może być jedno i drugie.

Wojnę serbsko-bułgarską wysunął Dr. Iešič jako przykład odstraszający dla pragnących zachować odrębność narodowości słowieńskiej. Widocznem jest, że uważa narodowość za coś zależnego od postanowienia ludzkiego. Szczególna rzecz, że wszyscy »neoillirci« — i »klerikalci« i »naprednjaci« — podzielają to złudzenie; zdaje im się, że ludzie mogą się zejść na zgromadzenie i uchwalić, jakie mają być narodowości: Patrzcie, co się dzieje z Serbami i Bułgarami! Exemplo moniti nie zechcecie zapewne tworzyć, jak oni, dwóch narodowości?

A tymczasem kwestya narodowości bardzo niewiele tylko (a może i nic) zawisłą jest od ludzkiej premedytacyi. Pozwolę sobie dać przykład z własnej Dra Iešiča praktyki: Zbliżanie się języków słowieńskiego a chorwackiego, czego podał niedawno tak znamienne przykłady, czyż było dziełem premedytacyi i systematycznej, wyrachowanej działalności? Spostrzeżenia owe Dra Iešiča stanowią niewątpliwie argument konkretny za jego tezą; to jednak właśnie jest charakterystyczne, że to, co w całej dyskusyi jedynie było konkretnego, jest zarazem tego rodzaju, że usuwa się z pod systematycznego działania woli ludzkiej.

Żadna a żadna teorya nie określi nam dostatecznie warunków powstawania i rozwoju narodowości. Wszelkie a wszelkie badania, przeprowadzone dotychczas nad tem zagadnieniem, tyle tylko dały wyniku, iż można przyjąć za rzecz pewną, że pojęcie narodowości właściwem jest samej tylko kulturze klasyczno-chrześcijańskiej. Poza tem zagadnienie samo zbyt zresztą jest skomplikowane, żeby je ująć w formułę. Ileż już razy zawiódł sprawdzian filologiczny!

To pewna, że narodowość nie jest bynajmniej siłą daną z góry, przyrodniczą czy antropologiczną, wrodzoną pewnemu żywiołowi etnograficznemu. Ona jest siłą aposteryoryczną, nabytą, wytworzoną przez człowieka, a wytwarzalną dopiero na pewnym stopniu kultury. Są ludy, wśród których nie wytworzyła się żadna narodowość. Nie można przewidywać, czy z pewnych ludów wytworzy się narodowość jedna, dwie lub więcej, bo w tej dziedzinie nie rozstrzygają żadne czynniki wrodzone, żadne dane apryoryczne, lecz rozwój historyczny, na który składa się i przyrodzenie rasy i kraju i ta wolna wola ludzka, która — nie da się obliczyć w 999 tysięcznych, której ledwie jednę tysięczną w społeczeństwie uda się w tej sprawie ująć premedytacyjnie. Przyrodzenie — etnografia i antropologia — nie daje związków większych, jak ludy; narodów dostarcza ludzkości historya. I dlatego narodowość jest nam tak drogą, jako wcielenie wszelkich ideałów życia, bo jest

wytworem pracy, nabytkiem rozwoju, świadectwem udoskonalenia, do którego doszło się ciężkim trudem pokoleń, wśród walk, bólów, zawodów, ale też z myślą przewodnią, mającą wieść do coraz większego uduchowienia się przyrodzonego materyału etnograficznego, zebranego w naród przez dostojeństwo pracy kulturalnej.

Kwiatem rozwoju i dumą ludów jest poczucie narodowe dlatego właśnie, że narodowość nie jest w historyi niczem apryorycznem, danem z góry i nieuchronnem.

Wobec tego, że lud zagrzebski mówi po słowieńsku, a Zagrzeb pomimo to jest stolicą Chorwacyi — jak tu kierować tworzeniem się narodów?! Na własnej ziemi ma Dr. Ilešič najjaskrawszy bodaj w całej Europie przykład nieobliczalności tych spraw. Gdyby były obliczalnemi, zadanie »neoillirców« powinnoby być — bardzo łatwe. Ale powstawanie i rozwój narodowości zdają się należeć do tej dziedziny, w której: ignorabimus!

Słowieńcy i Chorwaci mogą się zlać w jednę narodowość o tyle, o ile zlanie to nastąpiłoby i bez »neoilliryzmu«; ani dopomagać, ani przeszkadzać w tej rzeczy nie da się skutecznie. Bądźcobądź, rozwój Słowieńców doszedł już do tego punktu, że narodowość swą czują i że musieliby się jej zrzekać. Eksperyment niezależny od woli demonstratorów! Może nastąpić w danej chwili straszna reakcya.

Bezpieczniej propagować unię narodów, niż zlanie się, które jest po prostu odbieraniem, kasowaniem jednej narodowości na rzecz drugiej. Przeciwko programowi unii Słowieńców i Chorwatów nie byłoby prawdopodobnie żadnego protestu, a korzyść większa i pewniejsza.

F. K.

Ze słowianoznawstwa polskiego XVI. wieku.

(Jan ze Stobnicy, Mateusz Miechowita, Polidamus, Marcin Bielski, Hieronim Spyczyński, Andrzej Węgierski, Jan Krasiński, Aleksander Gwagnin, M. Stryjkowski, Stanisław Sarnicki, Marcin Kromer, Bartłomiej Paprocki, Krzysztof Warszewicki, Wojciech Dębolecki, Łukasz Opaliński).

(Dokończenie).

IX.

M. Stryjkowski studyował gorliwie, oprócz rodzinnej, historyę ruską, czeską, po części i południowo-słowiańską z ówczesnych drukowanych książek, z kronik ruskich rękopiśmiennych i z jakichś dwu kronik, »bułgarskiej« i »słowiańskiej«. Oprócz wielkiego oczytania i zamiłowania do badań, miał także żywą fantazyę i spory zasób wiadomości, zebranych w czasie podróży do Carogrodu i wśród Słowian południowych.

»A iż duch Pański, gdzie, kiedy i kogo raczy, darem swoim świętym natchnie, tedy ja też tegom się naprzód ważył z uprzejmej szczerości ku naszym narodom sławiańskim, iżem prawie od potopu z wielką pracą porządnie opisał wywody sławiańskich ruskich narodów« [1]).

Stryjkowski w swej »Kronice« obszernie rozpisuje się głównie o Litwie i Rusi, ale uwzględnia także historyę czeską i południowo-słowiańską, tak, że jego kronikę można uważać za ogólno-słowiańską historyę. Dzieje bowiem polskie przedstawia na tle ogólno-słowiańskiem, co dziełu jego nadaje niemałą zaletę.

Wstępem niejako do kroniki jest ustęp, zatytułowany: »Maciej Stryjkowski sam o sobie, o przygodach swoich w zwiedzeniu rozmaitych krain świata« — pozwalający nam poznać wiarygodność autora.

(str. XVI.). »A chcąc dalej świat zwiedzić, do Turekem jachał,
Gdziem jednak ojczyźnie swej służyć nie zaniechał.
Przechodząc greckie państwa i insuły ony,
Morejskie i Bułgarskie, Serbskie, Trackie strony«.

W czasie podróży zwracał na wszystko baczną uwagę i robił notatki: »ktemu wszystki zamki, miasta, położenie krain, tak wołoskich, multańskich, bulgarskich, raczkich, tracijskich i tureckich porządniem sobie spisał«. (Tamże, str. XXXVII).

»Sławaków — powiada Stryjkowski (str. 40.) — tam naszych przodków wszędzie pełno w Tracijskich i w Bulgarskich ziemiach szeroko między Bałchanami górami mieszkających«.

Atyla »zburzył Serbów, Sławaków, Bosnę, Bulgarią,
Stirią, Karintią, Istry szablą skrwawił,
Dalmacią z miastami poburzył i z grody«.

W osobnym rozdziale opisuje »pewne a dowodne wywody wszystkich narodów sławieńskich«, w innym zaś pisze, dlaczego zwą się »Sławakami czyli Sławianami« (str. 101.) i kończy temi słowy: »A dlaczego, z której przyczyny i przymiotów Bulgarowie, Rusacy, Karwatowie, Dalmatowie, Serbowie, Bosnowie, Ilirici i inszy z tegoż narodu naszy przodkowie, Sławakami są nazwani, rozmaite są rozmaitych historyków mniemania«.

Podobnie mówi Stryjkowski, także w wierszowanej historyi polskiej, pomieszczonej w książce: »G o n i e c c n o t h y do prawych slachciczów przez M a t y s a S t r y j k o w i u s a«, w Krakowie, 1574., o rozprzestrzenieniu się Słowian między morzami Adryatyckiem a Bałtyckiem, Czarnem a Lodowatem.

»Także od morza począwszy włoskiego,
Aż za Moskwą do morza Lodowatego,
Od Pontu wszytko do Pomorza tacy,
Trwają Słowacy.

---

[1]) Kronika polska, litewska, żmudzka i wszystkiej Rusi. 1582. r. w Królewcu; wyd. 2-gie. Warszawa, 1846. — wyd. 1846., str. 91.

»A gdy się w ziemi zmnożyli Karwackiej,
W Illiriku, w Traciej i w Dalmackiej,
Sami z sobą (nie mając s kim) walczyli,
O grunt się bili«. (Str. 74.).

X.

Stanisław Sarnicki w swych »Annales, sive de origine et rebus gestis Polonorum et Lituanorum«, 1587. r., patrzał na historyę polskiego narodu, jako na część wyjętą z dziejów słowiańskich i przy każdym fakcie polskim zwracał uwagę na stan ludów słowiańskich.

W przedmowie potępia Sarnicki metodę swych poprzedników, mało lub wcale nie uwzględniających historyi Słowian.

»Nostri historici... statim ad Lechum delabantur, atque ibi desiderium suum complentes, mox studium remittunt. Quasi vero gentes linguae slavonicae, quae a Ponto ad Oceanum occidentem versus, ab Adriatico ad Glaciale Septentrionem tendendo, antea in mundo non fuerint, nunc primum ante hos octingentos annos, veluti ab ovo exclusae in lucem prodierint« (Str. 4.).

W księdze pierwszej p. t.: »In quo ea, quae acta sunt cum conditoribus Slavonicorum populorum ab Asarmoth (a quo Sarmatae usque ad Alexandri Magni tempora traduntur)« rozprawia o wyjściu z Chorwacyi i o genezie nazwy »Slavi«.

»Ne vero altera natio prae altera aliquid ea in re privatim aucuparetur, non iam nomen quod partis erat vel unius nationis toti multitudini imponunt; nec iam Polonos, Boemos, Bulgaros, Bosnenses vel Rascios Croatasne aut Roxolanos se vocant omnes. Hoc enim invidiam intestinam concitaret. Sed nomen tale, quod exaequo omnibus quadrat, et de energia initi foederis cunctos semper commonefaciat magno omnium consensu sibi adaptant. Slavos se cognominantes, hoc est, populos multos et varios, sed tamen ex una stirpe originem ducentes« (Str. 184.).

Tak więc wszystkie te ludy słowiańskie ułożyły związek i nazwały się, jako ludzie jednego słowa, Słowianami.

Polacy byli głównymi obrońcami tego związku z własnej chęci. »Nam Polonici principes praecipui tutores confoederationis illius esse volebant, ideo honoris causa illo nomine libenter se insigniebant« (Str. 192.).

Republika ta jednak wskutek niezgód domowych zaczęła się powoli rozpadać. »Pestis fames et istis adhuc deterius interregnum turbulentissimum, quo non modo res Polonorum in deterius verti coeperunt, sed universae rei publicae Slavorum status a summo illo culmine ad imum procumbere et labi coepit«. (Str. 200.).

Na Wschodzie wielkie klęski spotkały Słowiańszczyznę, a jedni tylko Polacy nie popadli w niewolę lub cudze rządy. »Soli Poloni Dei beneficio, qui erant praecipui tutores illius confoederationis slavonicae, intrepido animo usque ad eam diem ac deinceps permanserunt« (Str. 204.).

Raz jeszcze, za czasów panowania Ludwika, króla polsko-węgierskiego, południowi Słowianie, Bułgarzy, Serbowie, Bośniacy, Chorwaci i Sławianie (dalmatyńscy), którzy niegdyś wchodzili do związku słowiańskiego, złączyli się znowu z Polską i utworzyli z nią jedno ciało polityczne. »Bulgaros, Bosnenses, Serbios, Croatas, eos denique, in quibus solis nomen Slavorum haeserat, ad officium ipsi parendi reduxit. Ita dominante eo Polonia, et Poloniae adiacentibus dominiis coniunctis, iterum, quasi post liminio, gentes illae, quae quondam ad Slavonicam confoederationem pertinebant, veluti oves in unum ovile compulsae, et rursum coactae in unum corpus coaluerunt« (str. 334., pod przypiskiem: »Slavonicae gentes sub Ludovico in unum corpus coagmentatae«).

W takich ogólnych zarysach kreśli Sarnicki nietylko historyę wyłącznie polską, lecz ogólno-słowiańską. Rozprawia bowiem także o walkach zachodnich Słowian z Niemcami, południowych i wschodnich z Grekami, mówi o mitologii słowiańskiej (według pojęć ówczesnych), o rozprzestrzenieniu się chrześcijaństwa u wszystkich Słowian, o św. Cyrylu i Metodym i t. d.

XI.

M a r c i n K r o m e r w opisie Polski (Polonia sive de origine et rebus gestis Polonorum, 1589.) mówi o wspólnem pochodzeniu i języku Polaków i innych Słowian, ale równocześnie nadmienia, że narzecza słowiańskie znacznie się różnią między sobą, tak, że słowiańskie ludy rozumieją się nawzajem z wielką trudnością.

»Ciechi... sunt autem eiusdem linguae, et consanguinei hi duo populi (t. j. Polacy i Czesi) et ab una stirpe orti, quem admodum communis omnium fert opinio. A Slavis, seu Slavinis, plerique omnes eam derivant; ipsique eam originem libenter agnoscunt, linguaque profitentur«. (Str. 1.).

Tak samo mówi i na str. 13.: »Convenit inter omnes, quicumque de Polonis et Boëmis aliquid memoriae prodiderunt, eos populos ab una stirpe ortos, Slavorum esse progeniem«.

O Polakach mówi: »Polonos gentem esse Slavicam et Sarmaticam«... (str. 480.). »Genti Polonae sicut originem, ita et linguam communem esse cum Boemis, Russis, Moschis, Croatis, Moravis, Silesiis, Cassubiis, Bulgaris, Rascis, Serbis, Illyris et universo nomine slavico seu venedico alibi exposuimus. Tametsi dialectis ea tam varia est, ut nonnulli ex his populis aegre et vix se invicem intelligant«. (Str. 490.).

XII.

B a r t ł o m i e j P a p r o c k i studyował genealogię i heraldykę rodów polskich, litewskich, zachodnio-ruskich, czeskich, morawskich, śląskich. W swych pracach historyczno-heraldycznych, pisanych po polsku i czesku, opisał Paprocki — jak sam się wyraża — dobre i złe czyny słowiańskich władców, rody i herby słowiańskiego języka i wo-

góle sławę sławnego narodu słowiańskiego. Słowa te wypowiada we wstępie dzieła: »Ogród królewski«, 1599.

»Publikując te cztery części Ogrodu królewskiego nomini Wmći consecravi (Michałowi Sendzywojowi z Korska), w których dobre i złe sprawy książąt i królów sławieńskich W. M. najdźesz, zwłaszcza, którzy królestwo polskie sławne, a między wszytkiemi królestwy cnotami kwitnące szeroko osadźieli, a wolnościami takiemi ozdobieli, jakich żadne ine królestwo pod okręgiem niebieskiem nie ma, ani mieć może, czego acz Wmč s cżytania hystorii raczysz bydź świadom, ale jednak aby i praca moja i staranie od wiela lat dowiadowanie, jako kto z której familiej, w którem królestwie, księstwie, a krainie sławiańskim krainam należącym powstał, za jakiemi zasługami ku herbu i zacności przyszedł«. (Str. CXLI.).

Paprocki zapewnia czytelnika, że będzie się mógł wiele od niego dowiedzieć, »jako od tego, który o tym od trzydziestu lat pracując, a po roznych krainach jezdząc, wiedzieć chciał, zwłaszcza w krainach sławieńskich, kto skąd, a za jakiemi zasługami na świecie powstał«. (Str. CXLVI.).

W księdze I. (od str. XXXVII.), pisząc o wojnie z Turkami, mówi o Słowianach południowych, a w księdze czwartej rozprawia: »O dawności królestwa i królów czeskich«, »o książętach śląskich«, »o dawności książąt ruskich«.

Podobnie mówi i w ostatniej swej pracy: Sztambuch slézský (Bartholoméga Paprockého, Brno, 1609.), że ma już około siedmdziesiąt lat, a od trzydziestu przeszło lat rozpytywał się w czasie podróży o starożytne herby i rody słowiańskie. »Sedmégo křiže wěku měho dochazým, od několik a třiceti leth začawszy wyptawajič se o starožytnosti erbůw a rodůw w slowenskym jazyku, po rozlyčnych krajch o tom běhajic a pracujic« (Str. 531.).

»Słowiański« naród Paprockiego ogranicza się jednak tylko do Polaków, Czechów i południowo-zachodnich Rusinów; o Moskwie zaś i południowej Słowiańszczyźnie mówi mało.

XIII.

Krzysztof Warszewicki (Cristophorus Varsevicius) w dziele: »Paradoxa. Quibus de origine generis et nominis Poloni adiunctus est dialogus« (Romae, 1601.) wprowadza dwie osoby: Jana Tarnowskiego i Jana Teńczyńskiego, którzy rozprawiają o pochodzeniu Polaków.

Szlachetni Polacy zajmują z powodu odwagi i rozległości swego mocarstwa pierwsze miejsce w językach słowiańskich. »Favet pont(ifex) max. Polonis omnibus, sed virtute et genere nobilibus, qui ut in slavonica lingua fortitudine et amplitudine imperii tenent principatum«. (Str. 10.).

Dalej rozwodzi się Warszewicki o pochodzeniu Słowian od Jafeta i o ich nazwie. (Str. 25.—53.). Polacy tak samo, jak i Czesi, Rusini, Moskwicianie, Dalmatyńcy, Macedończycy i inni, pochodzą od Słowian, którzy już za czasów carów macedońskich żyli w krajach południo-

wych, mianowicie w Macedonii. Potem na podstawie aktu darowizny Aleksandra Wielkiego zajęli liczne kraje na Zachodzie, Północy i Wschodzie, Panonię i Sarmacyę. Panonię uważa Warszewicki za »fons et origo omnium slavonicarum nationum, maximeque Polonorum« (Str. 53.).

XIV.

W r. 1633. wyszła w Warszawie książka: Wywód jedynowłasnego państwa świata, w którym pokazuje X. Wojciech Dębolecki, że język słowiański pierwotny jest na świecie.

Autor tej książki prześcignął z niezwykłą śmiałością wszystkie poprzednie fantastyczne wywody o pochodzeniu Polaków [1]).

Zaczyna zaś od tych słów: »Nazacniejszym i nastarodawniejszym narodom korony polskiej i wszem inszym słowieńskiego języka zdrowia, szczęścia i sławy przy łasce Bożej«. Dalej udowadnia, że język »słowieński, jaki był od początku, zawsze i jest po dziś dzień w Tracyej, Bulgaryej, Macedoniej, Ragusach, Dalmaciej, wszystkiem Illyryku, Bosnie i wszędy około tej miłey Grecyej...« »Homer sam też będąc Słowakiem nie nowe słowa i charaktery wynalazł, ale nasze starosłowieńskie wypolerował«. (Str. 16.).

Fantazya pomagała Dęboleckiemu udowodnić, »że pierwotny syryjski język słowieński był« (str. 12.), »że greczyzna, łacina i insze języki z Słowiańszczyzny są wypsowane«. (Str. 15.).

Wkońcu na podstawie filologicznych fantazyj wyciągnął Dębolecki wniosek, że Polacy nie pochodzą z Illiryi.

»Nie pomału potwierdzają i stare słowa szczeropolskie... iż w koronie polskiej nigdy inszy język nie beł, prócz dzisiejszego, nad wszystkie insze słowieńskie od illiryckiego różniejszego. Zkąd oczywista rzecz jest, iż Polacy nie goście są w Polszcze z Illiryku wędrowni« (Str. 89.).

XV.

Niektórzy historycy z powodu błędnych i oszczerczych opinij uczonych zagranicznych, wrogo usposobionych dla Słowiańszczyzny, nieraz z dumą wskazywali na wielki świat słowiański. Tak n. p. Łukasz Opaliński w dziele: »Polonia defensa contra Joannem Barclaium, ubi occasione ista de regno genteque polona multa narrantur, hactenus litteris non tradita«, 1648. r., protestuje przeciw nazwaniu Polaków i wogóle Słowian Scytami, bo ta nazwa oznacza Tatarów: »Sed cur scythico Pole nos vocari dicat Barclaius, cur non potius slavonico?« (Str. 15.).

Imię słowiańskie znakomite i sławne, a Słowianie, to naród wielki, zdawna zamieszkały na Wschodzie Europy, w Polsce, na Rusi, w Moskwie, w ziemiach słowiańskiego języka, skąd rozpostarli się na Południe i Zachód; żaden język świata nie jest rozpowszechniony tak, jak słowiański. Przyzna to każdy, kto zmierzy tę ogromną przestrzeń od

---

[1]) Już współcześni śmiali się z tej książki. Zob. Bibl. warsz., 1854. I. 473.

morza adryatyckiego do Nowej Ziemli... »Slavonicum nomen illustre quamvis ac gloriosum (gloria enim et fama nobis Slawa est)« (Str. 23.).

»...Slavos quingentesimo quinquagesimo fere post Christum anno, Illyricum, Thraciam, Maesiam, Dalmatiamque invasisse, et ibi sedes, posuisse gentis, quae nunc slavonica ibidem est et cognomine et sermone... Huic nomine praecipue accensendi sunt, avitis sedibus manentes Poloni. Tum vero, qui in Romanas Germaniam transgressi, Moravi, Bohemi, Silesii, Pomerani, quos omnes Slavones esse« (Str. 24.).

»Addo vero, nullam linguam latius patere slavonica, quod facile agnoscet, qui ab adriatico mari ad novam Zemblam, qui inquam, tractum hunc maximum mensus fuerit« (Str. 26.).

Edmund Kołodziejczyk.

Przegląd prasy słowiańskiej.

Posłowie **ruscy** do nowego sejmu zjechali się we Lwowie dnia 10. lipca i uchwalili założyć wspólny, ogólny klub »ukraiński«, łączący w jedność taktyczną wszelkie kierunki. Odpowiada tej uchwale wybór prezydyum Klubu: prezesem Dr. Kost Łewyćkyj, wiceprezesami: Dr. Makuch i Dr. Petruszewycz. Klub liczy 30 członków i jednego hospitanta (Dr. Korol).

Pierwszym krokiem, przedsiębranym przez nowo zorganizowany Klub, było uchwalenie (nie bez namiętnych obrad) następującej rezolucyi:

»Klub ukraiński posłów sejmowych stwierdza, że cała ludność ukraińska solidarnem zachowaniem się podczas ostatnich wyborów sejmowych okazała, że oświadcza się stanowczo za natychmiastowem przeprowadzeniem reformy ordynacyi wyborczej sejmowej na podstawie zasad demokratycznych, uważając ją za naglącą konieczność, a to tak ze względów narodowych, politycznych i społecznych, jakoteż ze względu na potrzebę wyrównania ścieżki dla zgodnego pożycia obydwóch narodów, kraj zamieszkujących.

»Klub ukraińskich posłów sejmowych stwierdza następnie, że dzięki powolności, i to sięgającej jak najdalej, ze strony klubu ukraińskich posłów sejmowych w poprzednim sejmie, zawarto pomiędzy polską większością sejmową a klubem ukraińskim kompromis, rozbity następnie przez grupę konserwatywną polskich posłów. Zważywszy, że skutkiem znacznego wzmocnienia obecnej reprezentacyi ukraińskiej, tudzież skutkiem zmian, jakim podległa reprezentacya polska, skład nowego sejmu krajowego zmienił się znacznie, a wobec tego powstaje niepewność, jakie stanowisko wobec zawartego w poprzednim sejmie kompromisu zajmie teraźniejsza polska większość sejmowa — oczekuje Klub ukraiński, że strona polska określi ściśle stanowisko swe w sprawie reformy wyborczej, pozostawia sobie w tej sprawie wolną rękę, a postępowanie swe dalsze w tej kwestyi czyni zawisłem od stanowiska, jakie zajmą obecnie Polacy.

»Klub ukraińskich posłów sejmowych oświadcza wreszcie, że obstaje przy tem niewzruszenie, podobnież jak w poprzednim sejmie, żeby na porządek dzienny przyszłej sesyi sejmowej wstawić przedewszystkiem reformę ordynacyi wyborczej do sejmu«.

O jedynym do nowego sejmu pośle »moskalofilu«, Drze Markowie, donosiło *Diło,* że kandydując w Brodzkiem, zobowiązał się iść razem z nimi w sprawie reformy wyborczej, a także nie występować publicznie z żadnymi protestami z powodu zachowywania się władz wobec prawosławia i języka rosyjskiego w Galicyi wschodniej. Dr. Markow przyznaje się w *Prikarpatskoj Rusi* tylko do pierwszej części przypisywanych sobie obietnic i nie mamy powodu nie wierzyć mu...

Z powodu wyborów we Lwowie pisało *Diło:*

»Zwyciężył kandydat polskiej demokracyi, dr. Tądeusz Rutowski, tylko dzięki temu, że był na liście ukraińskiej i otrzymał 833 ukraińskich głosów, bez których brakłoby mu 697 głosów do absolutnej większości; został wybrany posłem dr. Aleksander Lisiewicz także tylko dzięki gorącemu poparciu z ukraińskiej strony.

„Przy wyborze we Lwowie zmierzyły się dwa obozy. Po jednej stronie stanęły polskie szowinistyczne elementy przy kandydaturze głównego wszechpolskiego przywódcy dr. Stanisława Grabskiego, a po drugiej stronie opozycya demokratyczna: ukraińcy, żydzi, polska demokracya i polska postępowa demokracya. I zwyciężył ten drugi obóz — zjednoczona opozycya. Wybór opozycyjnego posła, dr. Aleksandra Lisiewicza, a obalenie dr. Stanisława Grabskiego, to wspólna zasługa zjednoczonej opozycyi. Ogłoszenie kandydatury dr. Grabskiego ze strony polskiej szowinistycznej koalicyi było prowokacyą przedewszystkiem ukraińców i żydów. Żydzi spieszyli do wyborów przeważnie nie tak za kandydaturą dr. Lisiewicza, jak przeciw kandydaturze dr. Grabskiego. *Słowo Polskie* pisze, że dr. Grabski upadł z powodu zemsty opozycyi. To prawda. I w tem opozycya nie może widzieć dla siebie żadnego zarzutu".

Skoro Rusini weszli do nowego sejmu w tak zwiększonej liczbie, należało przewidywać, że powiększą też swe żądania, a zwłaszcza wymagania od reformy ordynacyi wyborczej, że warunki projektu wniesionego w poprzednim sejmie wydadzą im się „ustępstwami" już niepotrzebnemi.

„Ukraińscy posłowie — pisało *Diło* — zdecydowali się na takie ustępstwa, bo myśleli, że to doprowadzi do załatwienia reformy wyborczej. Skoro jednak konserwatyści złamali kompromis, tem samem przekreślili wszystkie te ustępstwa, jakie on dawał. Punktem wyjścia dla żądań ukraińskich posłów będzie teraz demokratyzacya sejmu, zredukowanie politycznej siły konserwatystów do miary odpowiedniej społecznemu znaczeniu tej grupy".

„Wchodząc z woli mas ludowych do nowego sejmu, wzmocnieni posłowie ukraińscy, zaciągnęli wobec nich obowiązek żeby wszystkiemi siłami starać się o zniesienie politycznych przywilejów grupy właścicieli wielkiej własności ziemskiej i jest nadzieja, że klub to zadanie szczerze spełni.

„Drugą kategoryą spraw — pisało dalej *Diło* — jaką obejmował kompromis, były polsko-ruskie stosunki w zakresie sejmowej ordynacyi i podział mandatów między oba narody kraju, zabezpieczenie przyznanych obu narodom mandatów i t. d. Na podstawie dotychczasowej ordynacyi wyborczej prawnym stanem posiadania ruskiego narodu jest 50 (31%) członków sejmu: 3 wirylistów i 47 mandatów z kuryi gmin wiejskich, gdzie w 47 okręgach Ukraińcy mają większość. Kiedy więc ukraińscy posłowie zgodzili się przy kompromisie na 27·2 proc. członków Sejmu, zrobili to dlatego, bo ich liczebna siła w sejmie była zanadto mała i dlatego też chcieli jak najprędzej zdobyć narodowi poważniejszą reprezentacyę sejmową. To ostatnie zdobyto i bez reformy wyborczej. Polityczna siła ukraińskiego narodu w kraju i państwie uniemożliwiła system wyborczych nadużyć, a następstwa tego były takie, że klub ukraiński zasiądzie w sejmie w poważnej liczbie 31 posłów. I dlatego nie może być mowy, by punktem wyjścia dla nowych rokowań był zawarty poprzedni kompromis. Prawna podstawa żądań pozostała ta sama, ale faktyczna podstawa zmieniła się bardzo na korzyść Ukraińców. Z tego posłowie ukraińscy wysnują konsekwencyę, tem więcej, że kompromis ich nie wiąże, bo zerwała go strona polska".

W drugim artykule *Diło* co do planów nowych pertraktacyi w sprawie reformy wyborczej omawia pewne punkty:

Zdaniem *Diła* zwycięstwo koalicyi wszechpolsko-podolskiej jest bardzo problematyczne. Zwyciężyła ona w kuryi wielkiej własności ziemskiej, za to w kuryach miast i w kuryach wiejskich zwolennicy reformy wyborczej mają większość. Jeżeli domaga się koalicya, by rząd wyciągnął konsekwencyę z jej zwycięstwa, to musi wziąć pod uwagę i ten fakt, że zwyciężyli też ukraińcy nad polskim obozem. Z klubem 31. ukraińskich posłów i rząd i polska część sejmu nietylko powinny, ale muszą się liczyć więcej, aniżeli z klubem 16 posłów w poprzednim sejmie, który liczył z początku tylko 12 posłów. Co do drugiego punktu *Diło* przypomina, że ani w r. 1910. Klub ukraiński nie dał narzucić sobie kompromisu, zawartego między polskiemi partyami i kompromis polsko-ukraiński w poprzednim sejmie musiał być zawarty na nowych podstawach.

„Jeżeli — pisało *Diło* — planowane rokowania mają doprowadzić do pożądanego skutku, muszą być prowadzone od początku ze wszystkimi interesowanymi czynnikami, z jednej strony musi być reprezentacya polskich partyi, z drugiej klubu ukraińskiego, a to w tym celu, by z postępem rokowań zmniejszała się powierzchnia tarcia, aż do osiągnięcia pewnego porozumienia. Inaczej polska strona ryzykuje, że to, co ułoży między sobą, musi się zmienić, jeżeli ma przyjść do porozumienia z ukraińcami".

W końcu *Diło* obstrukcyę ukraińską nazywa zwykłym parlamentarnym środkiem do zdobycia swych słusznych żądań i oświadcza, że tą obstrukcyą musi zdobyć to, co się ukraińcom słusznie należy. „Nas nie przestrasza — kończy — bankructwo autonomii krajowej, bo to jest autonomia polska. Poczekać więc możemy".

W prasie **rosyjskiej**, a mianowicie niemal we wszystkich dziennikach petersburskich, czytaliśmy następującą odezwę „ukraińców", wystosowaną do posłów w Dumie:

„W teraźniejszych warunkach społeczno-politycznych Rosyi społeczeństwo ukraińskie jest pozbawione możności posiadania przedstawicieli swoich w Dumie. Zniewala to nas do określenia przez odezwę niniejszą stosunku naszego do świeżych wystąpień w Dumie w sprawie ukraińskiej.

„Stwierdzamy solidarność swoją z tymi szanownymi posłami, którzy, lubo nie będąc ukraińcami z pochodzenia, lecz prawidłowo pojmując swoje stanowisko przedstawicieli demokracyi, podnieśli głos przeciwko nieznośnemu uciskowi, którego doznaje mowa ukraińska i wszystkie objawy życia ukraińskiego, skutkiem czego inteligencya ukraińska i lud ukraiński są pozbawione możności korzystania ze swego języka i innych czynników kultury narodowej.

„Uznajemy nieodzowną konieczność unarodowienia oświaty gwoli kulturalnego rozwoju narodu ukraińskiego.

„Poczytujemy autonomię Ukrainy, tudzież autonomię innych prowincyi i narodów za ochronę od wdzierania się w dziedzinę życia narodowego i za rękojmię swobodnego rozwoju kulturalnego i społecznego.

„Zarazem protestujemy przeciwko wystąpieniu posła Skoropadskiego, który, nadużywając swojego nazwiska historycznego, pozwolił sobie przemawiać w imieniu narodu ukraińskiego („małorosyjskiego" — według niego). Jako przedstawiciel tej części, ktora oddawna zerwała łączność z życiem narodowem ojczystego narodu, nie miał po temu prawa.

„Głos jego, jakoteż głos wszystkich świadomych i nieświadomych odstępców czy z inteligencyi, czy z ciemnego tłumu, nie może wyrażać poglądów i dążeń inteligencyi ukraińskiej i uświadomionych warstw ludu ukraińskiego".

Odezwę podpisali: prof. Hruszewśkij, Szrag, bar. Steinghel, Tarasenko, literaci Jefremow i Semenowśkij i wielu innych, ogółem 118 osób.

Oczywiście, że opinia rosyjska i prasa różnie przyjęły i komentowały tego rodzaju publiczne wystąpienie ukraińców. Dla charakterystyki kwestyi narodowościowych w Słowiańszczyźnie jest ona ciekawym przyczynkiem i dokumentem. *w.*

Znanego z unionistycznych poprzednich zjazdów welehradzkich O. Malcewa dwutygodnik *Cerkownaja Prawda* pisze oględniej i z większem zrozumieniem o protestanckim Kościele, niż o katolickim. W artykule Russkaja Cerkow i Zapad zarzuca katolicyzmowi, że niema w nim „świętych obcowania"; gorszy się i przedrwiwa, że „zbawienie ludu" może być uskutecznionem (rzekomo według nauki katolickiej) przez samą hierarchię, która „może bez ludu, bez wiernych, uwalniać sama dusze grzesznych z czyśćca". Dalej zaś pisze *Cerkownaja Prawda:* „Aleź i sama ta hierarchia okazała się siłą fikcyjną. Cała pełnia dobrodziejstw objawienia ma być w osobie namiestnika Chrystusowego, papieża rzymskiego. Lud stał się w Kościele „poddanym", a nie jego członkiem; stał

się powszechnością armii, której łącznikiem naczelnik, ale nie powszechnością „żywego ciała“, którego łącznikiem poczucie i wspólne cele. Ogółowi katolickich wiernych odjęto nawet obcowanie z Kościołem w niebiesiech, bo dziedzictwo po świętych pańskich i cała ich siła znajduje się w ręku hierarchii, ta zaś może odsprzedawać pomoc świętych na karteczkach na odpustach“. — Oto opinia rosyjskiego „unionisty“ o katolicyzmie, oto stosunek jego do „idei cyrylometodejskiej“. Z tąkiemi poglądami przyjeżdżało się na „zjazdy unionistyczne“.

W Petersburgu zaczął przed kilku tygodniami wychodzić *Makedonskij Gołos*, „organ zwolenników niezawisłej Macedonii“, t. j., żeby jej nie dzielić, lecz całą ogłosić odrębnem państwem. Za hasło pismu służą słowa Borysa Sarafowa: „My, Macedońcy, nie jesteśmy ani Serbami, ani Bułgarami, lecz po prostu Macedończykami. Naród macedoński istnieje niezależnie od bułgarskiego i serbskiego. My sympatyzujemy i z tymi i z tamtymi, z Bułgarami i Serbami. Kto dopomoże nam do wolności, powiemy mu: dzięki — ale niechaj Bułgarowie ni Serbowie nie zapominają, że Macedonia jest tylko dla Macedończyków“. W numerze 2. znajdujemy odezwę do „narodu macedońskiego“, w której wmawia się w ten „naród“, że on krwią i kulturą swoją uszczęśliwił Mongołów, którzy do nich przybyli, przetwarzając ich na bratni naród bułgarski. Jest tam i artykuł „Unija u bałkanskoj Galicii“, w którym bałkańską Galicyą nazwano Macedonię i wzywa się prawosławnych Macedończyków, żeby przeszli na unię, bo w ten sposób uwolnią się raz na zawsze od liturgii greckiej, a zapewnią sobie słowiańską. Zaręcza przy tem, iż tylko prawosławni Rosyanie mają w Galicyi życie ciężkie, ale Rosyanie uniccy używają zupełnego pokoju.

Już po r. 1880. zaczęły się **Czechy** zadłużać, bo budżet normalny, (pomimo wysokości podatków krajowych) nie starczył na wzrastające szybko potrzeby kulturalne, a rząd centralny nie pozwalał, żeby kraj otwarł sobie nowe źródła dochodów, trudno zaś było podwyższać „dodatki krajowe“ z roku na rok w nieskończoność. Długi wzrosły tedy do 140 milionów koron. Po wielu trudach zezwolił wreszcie rząd na podatek od piwa, po 1 K 70 h od hektolitra, co dostarczało $13^1/_2$ milionów K rocznie. Nie wystarczało to, ale było lepsze, niż nic. W r. 1908. zaczęła się obstrukcya niemiecka, sejm nie mógł uchwalić przedłużenia ustawy podatkowej i skutkiem tego w ciągu czterech lat 1909—1913 finanse krajowe poniosły stratę 56 milionów. Pozostało krajowi tylko około 12 milionów rocznie z drobniejszych rubryk dochodowych, co nie starczyło ani nawet na procenty od długów, które wzrosły tymczasem o dalszych 90 milionów K. Razem tedy niedostaje skarbowi krajowemu 286 milionów K; 130 milionów długów bezpośrednio i 56 milionów strat. W tym roku wzrosną długi znowu o 24 milionów, będzie więc razem ogólnie 310 milionów K! Nieustająca Komisya finansowa sejmu czeskiego naprożno starała się, żeby pewne ciężary z przeciążonego budżetu czeskiego przejęło na siebie państwo, podobnież bezskutecznie o nałożenie całych 4 K od hektolitra piwa i o podwyższenie należytości za certyfikaty na polowania. Gdyby nadto Czechy doczekały się

były na czas $8^1/_2$ miliona rocznie, które mają im przypaść z t. zw. „małego planu finansowego“ (jak wiadomo „wiszącego“ w parlamencie „w powietrzu“, tuż nad krzesłami poselskiemi, ale nie mogącego dotknąć się ziemi i zrealizować się dla stu i jednej przyczyn), byłoby zażegnanem przesilenie najbogatszego z królestw habsburskich, które dostarcza państwu dorocznie przeszło 360 milionów podatków („artykuł wstępny“ *Narodnich Listów* Nr. 197.).

Przesilenie w czeskim Wydziale Krajowym stanowiło istną zmorę nietylko dla Królestwa i całego narodu czeskiego, lecz dla wszystkich autonomistów wszelkich »królestw i krajów reprezentowanych«. Dawno już rząd centralny obmyślił w tajemnicy niekonstytucyjny sposób wybrnięcia z położenia, w jakie popadły Czechy skutkiem niemieckiej obstrukcyi sejmowej; sposób, który w rzeczywistości atoli byłby jeszcze większem zabrnięciem i dobrnięciem do reszty! Owoc centralnego rozumu politycznego ukazano w ostatniej chwili osobno czeskim, osobno niemieckim członkom Wydziału Krajowego. Czeski »najwyższy marszałek krajowy«, ks. Lobkovic, demonstrował go czeskim Wydziałowym na konferencyi 27. czerwca — i pokazało się, że rząd nie uważał nawet za stosowne przedstawić marszałkowi należycie swoich planów, gdyż książę na niektóre żądania wyjaśnień — nie umiał dać odpowiedzi i musiał pojechać po bliższe szczegóły do Wiednia. Wróciwszy, zwołał ponowną konferencyę (2. lipca) i zawiadomił, że rząd oczekuje, iż członkowie Wydziału Krajowego złożą swe mandaty. Ci odwołali się do swych klubów i stronnictw i dnia 5. lipca było już wiadomem, że pragnienie rządu spełnionem nie będzie. W całym kraju powstała — zorganizowana wzorowo — agitacya przeciw oktrojowaniu jakiejkolwiek »komisyi administracyjnej« (choćby złożonej z tych samych osób, co Wydział Krajowy).

Była taka chwila, iż Dr. Kramář zachęcał, żeby pod pewnymi warunkami zgodzić się na »Komisyę administracyjną« na miejsce Wydziału Krajowego.

Projekt się nie przyjął, a Dr. Kramář w artykule p. t.: »In memoriam« w *Narodnich Listach* nazwał ten stan rzeczy tryumfem Niemców. Z tego powodu poświęciła artykułowi temu obszerniejsze uwagi wiedeńska *Reichspost,* a dochodzi na końcu do następującego wniosku: »Komisya administracyjna krajowa, w której stosunek Czechów i Niemców wynosiłby 5:3 i w której przewodniczący miałby przy głosowaniu dwa głosy; komisya taka, która usunęłaby niebezpieczeństwo bankructwa finansowego kraju, a więc uwolniłaby Czechów od obowiązku, żeby udzielili niemieckiej części kraju przynajmniej jakiego cienia autonomii narodowej — komisya taka zapewne ułatwiłaby Czechom odżałować utratę autonomii krajowej; możeby też w ten sposób i to czeskie prowizoryum, jak przedtem tyle już innych prowizoryów w Austryi, potrwało i dłużej, niżby sobie tego życzyli Niemcy«. — Przyznaje tedy *Reichspost,* że upadek propozycyi Dra Kramářa wyszedł na dobre bardziej Niemcom, niż Czechom — i że w tym wypadku Niemcy mają prawo obchodzić zwycięstwo.

Rząd odmówił przedstawić do sankcyi podwyższenie dodatków

krajowych do podatków o 10% i upoważnienie do dalszego poboru podatku od piwa. Wydział Krajowy zawiadomiono o tem przez namiestnictwo za pomocą dwóch not krótkich i węzłowatych. W pierwszej z nich oznajmia się, że uchwała Wydziału Krajowego z dnia 19. lipca 1913. co do dalszego prowizorycznego poboru dodatków krajowych na czas od 1 lipca do 30 września 1913. otrzymała sankcyę z tem ograniczeniem, że dodatki te wolno pobierać tylko w dotychczasowym wymiarze 55%. W drugiej nocie zawiadamia rząd, że nie może przedstawić do sankcyi uchwały Wydziału Krajowego co do ponownego poboru podatku od piwa w kwocie 4 K od hektolitra. Rząd obstaje bowiem przy zapatrywaniu, że podatek od piwa można nałożyć tylko drogą ustawową, uchwałą sejmową, której nie może wyręczyć proste postanowienie Wydziału Krajowego.

Kto tęgi w dyalektyce, niechaj się mozoli nad zagadką, że rząd staje w obronie autonomii w tym celu, żeby autonomia funkcyonować nie mogła... Najbogatszy kraj monarchii postawiony z całą świadomością w obliczu niewypłacalności.

„Obrona autonomii“ okazała się we właściwem świetle, gdy 26. lipca sejm rozwiązano i Komisyę administracyjną mianowano. Tej komisyi przyznano od razu i 65% dodatków krajowych i owe 4 K od hektolitra piwa!!

Po wyborach ściślejszych w kuryi gmin wiejskich do nowego sejmu morawskiego okazało się, że agraryusze zdobyli 20 mandatów, katolicko-narodowi 18, postępowi ludowcy 5, socyaliści 7. Katoliccy stracili aż siedm krzeseł w porównaniu z poprzednim sejmem.

Wybory do sejmu morawskiego w czeskiej kuryi miejskiej (o innych donieśliśmy w poprzednim zeszycie), obejmującej 20 mandatów, dały 13 krzeseł stronnictwu ludowo-postępowemu (w poprzedniej kadencyi 16), 2 staroczechom (przedtem 4), 1 chrześcijańsko-społecznym (nowość w sejmie), 1 nowo założonemu stronnictwu „morawskiemu ludowemu“ (młodoczesi morawscy; wybrany przywódca ich Dr Bulin) — trzy okręgi wymagają jeszcze wyborów ściślejszych. Dr Stransky, „zły duch Moraw“, przeszedł, otrzymawszy 65 głosów ponad połowę głosujących.

Na pierwszem posiedzeniu nowego sejmu morawskiego wniósł klub czeskich posłów agrarnych następującą rezolucyę: „1) Poleca się Wydziałowi Krajowemu upomnieć się u rządu o natychmiastowe (sic!) załatwienie sprawy czeskiego uniwersytetu w Bernie; 2) żeby Wydział Krajowy zaraz zagaił układy z instytucyami krajowemi w Bernie co do tego, w jaki sposób i w jakiej mierze mogłyby być pomocnemi uniwersytetowi; 3) żeby Wydział Krajowy zaraz zajął się zbadaniem stanu majątku byłego uniwersytetu w Ołomuńcu, na jakie cele używa się tego majątku od czasu zniesienia owego uniwersytetu — i żeby dołożył starań, ażeby majątek ten przywrócony był na cele uniwersyteckie Moraw; — 4) o wynikach tej akcyi należy sejmowi zdać sprawę. Wniosek ten należy bez pierwszego czytania przekazać Komisyi Szkolnej z tem poleceniem, żeby sprawozdanie o nim przypadło jeszcze na bieżącą sesyę sejmową.“.

Po wyborach do sejmu galicyjskiego pisały *Narodni Listy* dnia 9. lipca: »Ugoda polsko-ukraińska, przeprowadzona pod wodzą Dra Bobrzyńskiego, jest tedy pogrzebana, a obecny namiestnik, Witold Korytowski[1]), musi szukać nowych podstaw, jeżeli zechce starać się o pokój, którego kraj potrzebuje koniecznie. Zadanie Korytowskiego będzie jednak trudniejsze, niż było zadanie Dra Bobrzyńskiego. Po stronie polskiej ubyło przyjaciół ugody – konserwatystów krakowskich i ludowców z obozu Jana Stapińskiego; polskich demokratów i z postępowcami nie przybyło — przybyło natomiast wśród przeciwników ugody centrowców, do których przyłącza się nowe klerykalne stronnictwo chrześcijańsko-ludowe, wywołane agitacyą hierarchii katolickiej, a rozporządzające zaraz na początek 8 mandatami... Jeżeli zaś w starym sejmie mogło 16 Ukraińców całemi latami tamować prace sejmowe, będzie to tem łatwiejszem teraz stronnictwu, liczącemu 31 głosów. Przesilenie w sejmie galicyjskim zaostrzyło się tedy znacznie przez nowe wybory. Odezwie się ono i w Radzie państwa, do której przedstawiciele zwolenników i przeciwników reformy powrócą rozdrażnieni i poróżnieni bardziej, niż przed wyborami. Do rozdwojonego obozu południowo-słowiańskiego i czeskiego przybędzie rozdwojony obóz polski, a naprzeciw poróżnionych Słowian będzie stał jednolity szyk niemiecki. Smutne perspektywy!«

Sfałszowany podpis Dra Kramářa wywołał... polemikę dziennikarską o programy partyjne, zamiast jednomyślności w wyśledzeniu fałszerza i wyrzuceniu go poza społeczeństwo. Poseł Klofač zrobił, co mógł, żeby sprawę powikłać i zaciemnić; jego zaś przedewszystkiem obowiązkiem było dopomódz z całych sił do wyjaśnienia jej. Znamiennem jest, że czeska Rada Narodowa, która nigdy nie wdawała się w podobne sprawy i nie broniła nigdy niczyjego honoru, tym razem zajęła się »aferą« i wydała w niej orzeczenie, w którem stwierdza się, że »w sprawie dostaw państwowych bułgarskich... nie można posłowi Klofačowi zarzucić nic niehonorowego«. Werdykt dziwny zaprawdę, bo wynika z niego a contrario, że, zdaniem czeskiej Rady Narodowej, poseł postępuje honorowo, jeżeli stanowiska swego użyje do handlowania w zakresie dostaw państwowych i obmyśli lub przeprowadzić dopomoże jaki interesik przy pomocy »wzajemności słowiańskiej«. Rada Narodowa stwierdziła bądźcobądź, że Klofač ze sprawą dostaw bułgarskich miał do czynienia — i to w sferze takich »handlowców«, wśród których może się zdarzyć — sfałszowanie podpisu.

Co do samego falsyfikatu, odnośny ustęp werdyktu Rady Narodowej brzmi, jak następuje: »Przytem oświadczył poseł Klofač na zadane pytanie wyraźnie, że w podpisaniu nazwiska Dra Kramářa na listach do Bułgaryi nie miał i nie ma żadnego udziału«. Co to ma znaczyć? Zapewne chciano przez to powiedzieć, że Klofač ani własną ręką podpisu nie fałszował, ani też do sfałszowania go nie namawiał. Tego jednak

---

[1]) Dosłownie w tekście czeskim, w języku arcydemokratycznego narodu: „rycerz Witołd Korytowski“ (podobnież zawsze: „rycerz Biliński“ i t. p.); dla polskiego czytelnika coś nadzwyczaj komicznego.

nikt Klofačowi nie zarzucał. Ma mu się jednak za złe, że nie chce dopomódz do wyśledzenia fałszerza — a to byłoby na pierwszem miejscu »honorowym« obowiązkiem. Jeżeli poseł Klofač nie ma sposobu wytropić fałszerza, czemuż nie wezwał do pomocy policyi i prokuratoryi państwa? Byłoby bardzo pożądanem, żeby go Dr. Kramář wyręczył co do tego.

Redaktor *Přehledu*, p. J a n G a l l a s, odpowiedział w Nrze 39. na uwagi nasze z zeszytu czerwcowego, co do stosunku Polaków do Austryi i do Czechów (z okazyi rozważania stosunku Czechów do dynastyi i państwa austryackiego). Tym razem trudno nie przyznać mu słuszności, gdy stwierdza, że Czesi z natury rzeczy musieli być wyłączniej austryackimi od Polaków i na ogół bardziej zajmowali się tem państwem, jako takiem — podczas gdy Polakom stosunki w innych państwa prowincyach bywały obojętniejsze. Poco jednak, ażeby to wytłómaczyć, ucieka się poważny publicysta czeski do frazesu polityków kawiarnianych i wyjaśnia ten stan rzeczy »ciasnym egoizmem Polaków«?!! »Ciasną egoistką« była tu może... Historya? Czyż nie tak? Że też ludziom tak ciężko wydobyć się z pod jarzma frazesów! I niech się trafi w dyspucie dwóch niewolników frazesu,.. a narobią rozgardyaszu, wzniecą wojnę dziennikarską i wkońcu sami się dziwią, że osiągnęli cel... wręcz przeciwny zamierzonemu. Upraszając więc uprzejmie, żeby niezmierzony, bezgraniczny czeski altruizm polityczny dał już raz święty spokój naszemu »ciasnemu egoizmowi«, oświadczamy, że w czynieniu wymiarów tej szerokości i ciasności udziału brać nie będziemy, uważając to za czcze wojowanie f r a z e s a m i. Chętnie natomiast bierzemy pod rozwagę uwagę, że niedostateczne zajęcie sprawami wewnętrznemi austryackiemi (b e z w z g l ę d u na możliwy ich związek z interesami polskimi) pozbawiał nas t w ó r c z e g o w p ł y w u na przeobrażenie państwa i że obecnie grozi nam zejście daleko na drugi plan poza Czechów, Niemców i Jugosłowian. *Świat Słowiański* dawał też kilka już razy wyraz swej opinii, że należy wystąpić z nowym polskim programem wobec Austryi, z p r o g r a m e m p o l s k i m d l a A u s t r y i; może za kilka miesięcy będzie chwila sposobna i właściwa przyjrzeć się temu tematowi bliżej.

Pismo nasze jest dłużnikiem wobec swych czeskich przyjaciół, że nie przeprowadziło gruntownej dyskusyi nad stosunkami wzajemnemi Czechów i Polaków, j a k o w s p ó ł o b y w a t e l i A u s t r y i, nad czemś, co nazwaćby można p o l s k o - c z e s k i m p r o g r a m e m w o b e c W i e d n i a. Długu tego jesteśmy świadomi. Geneza jego zgoła nie w żadnym ciaśniejszym lub szerszym egoizmie (ani też nie w altruizmie), lecz w przeświadczeniu, że łatwo wprawdzie dyskusyę taką zagaić, ale... poco? póki się nie ma rękojmi, że przeprowadzoną będzie z obu stron wszechstronnie i aż do końca, że nie zejdzie z porządku dziennego, aż dostarczy praktycznych wyników.

Jeden z najpoważniejszych publicystów czeskich, znany i u nas (jeszcze z czasów Dunajewskiego), J ó z e f P e n i ž e k, ogłaszając w tygodniku *Zlata Praha* swe wrażenia z podróży po słowiańskiem Południu, wyraził w Nrze 39. przekonanie, że cały altruizm Czechów w stosunku

do Słowieńców i Chorwatów nie zda im się na nic. Już teraz bowiem słychać tam głosy przeciwne Czechom, których nazywa się wprost obcymi, cudzoziemcami, którzy przyszli wyzyskiwać słabszych finansowo i nawołuje się, że trzeba się będzie od nich emancypować. Zdaniem p. Penižka nastanie dzień, kiedy przywóz czeskich wyrobów i sprowadzanie czeskiego kapitału natrafi na jak najsilniejszy opór, na bojkot i Czesi będą musieli cofnąć się na północ. »Oto moja dyagnoza i prognoza«. — Spostrzeżenia, udzielone rodakom przez p. Penižka, wiadome są już dawno każdemu nieczeskiemu podróżnikowi. Narzekania na Czechów są tam powszechne, a przyczyna ta sama, co w Galicyi: brak ducha obywatelskiego w czeskich bankach i szczególniejszy sposób zachowywania się bankowców czeskich. Niedostatki te dałoby się usunąć.

Do charakterystyki stosunków wyznaniowych w Czechach:

Czy przypuszczał kto, że w języku czeskim i słowackim wychodzi aż 43 czasopism religijnych akatolickich, reprezentujących 10 rozmaitych kierunków protestanckich i »wolnomyślnych«? Poniższy spis przytaczamy według zeszytu czerwcowego katolickiego miesięcznika *Sv. Vojtěch* (Praga), który zaczerpnął go ze źródła protestanckiego, a mianowicie z Nru 11. zeszłorocznego *Kalicha:*

1. Czasopisma »Kościoła reformowanego« (w Ameryce presbyteryańskie): *Křestanské listy* (Ameryka), *Hlasy ze Siona* (Pardubice), *Hus* (Semtěš), *Český bratr* (Praga), *Českomoravska Jednota* (Morawy), *Věstník spolků a sdružení mládeže* (Morawy), *Evanjelické listy* (Semonice), *Česká rodina* (Praga), *Husův odkaz* (Velím), *Radost* (w Ameryce), *Přítel dítek* (w Borové), *Věstník ev. ref. sboru na Kr. Vinohradech*, *Věstník ev. ref. sboru v Kloboukách* (Morawy). — 2. Wyznanie augsburskie: *Evanj. církevník* (Praga), *Český evanjelík* (Opatowice), *Věstník Opatovický;* na Słowaczyźnie: *Stráž na Sione, Evanj. kazatel, Evanj. Posol zpod Tatier.* — 3. Wolny Kościół reformowany (w Ameryce »kongregacyjny«): *Betanie* (Berno), *Mladý křestan* (Praga), *Našim ženám* (Chvaly). — 4. »Církev bratrská«: *Bratrské listy* (Praga), *Bratrský věstník* (w Ameryce), *Přítel* (w Ameryce). — 5. Baptyści: *Chelčický* (Kr. Vinohr.), *Bratrská Jednota* (Berno), *Pravda* (w Ameryce), *Nedělní besídka* (Kr. Vinohr.). — 6. Metodyści: *Křesť. posel, Život, Buditel* (w Ameryce). — 7. Pismo kierunku »darbystyckiego«: *Ze slov Pravdy a Lásky* (Žižkov). — 8. Organ słowackich pietystów: *Světlo.* — 9. Pisma »interdenominacyjne« (rozmaite): *Kalich* (postępowych ewangelików w Pradze), *Náš život* (w Ameryce), *Besídka* (dla młodzieży, w Ameryce), *Svobodný křesťan* (»wolne chrześcijaństwo«, Boskovice), *Marta* (Berno). — 10. Nadto powołujące się na »czeską reformacyę«: *Pravda* (Morawy), *Život, Zora* (Vršovice).

Z obozu *Slovenskych Ludovych Novin* wyszła inicyatywa do ściślejszej organizacyi katolików **słowackich.** W tym celu zwołano poufny zjazd na 29. lipca do Žiliny z następującym porządkiem obrad: Jakie zająć stanowisko wobec Stowarzyszenia św. Wojciecha? jakie zaś

„Jednoty Katolickiej“, a jakie względem stronnictw politycznych wogóle? „W razie gdyby katolicy madiarscy nie uszanowali naszych słusznych żądań w dziedzinie Kościoła, szkolnictwa i polityki, czy nie byłoby wskazanem nawiązać stosunki z katolikami czeskimi i polskimi?“ Jak organizować katolików słowackich równolegle z organizacyą luteranów słowackich? Jakie zająć stanowisko wobec „narodnego klubu“ (organizacya narodowo-polityczna protestanckich postępowców słowackich)? Jak organizować katolickie przedsięwzięcia rolnicze, kupieckie i zakłady finansowe — i w końcu: jak zorganizować ustrój wewnętrzny komitetu wykonawczego?

Z powodu wojny słowiańskiej na Bałkanie rozeszły się opinie *Slov. Dennika*, a *Slov. Tyždennika*. *Tyždennik* (Milan Hodża) jest za Bułgaryą, podczas gdy *Dennik* (Ant. Štefanek) jest stanowczo za wzmocnieniem królestwa serbskiego i „nie gniewałby się nawet, gdyby Rumunia nabrała sił i o ile możności stała się niezależną od wpływów wiedeńskich“. *Dennik* bowiem „trzyma się przedewszystkiem czysto słowiańskiego stanowiska“, a Bułgarzy są „napół tatarscy“ (sic! Nr 134), a *Tyždennik* „trzyma się bardziej polityki praktycznej i dlatego staje po stronie dyplomatów wiedeńskich“, rozumując, że „jeżeli powstanie na Bałkanie silne państwo słowiańskie, zaprzyjaźnione z naszą monarchią, natenczas będzie się dobrze działo i nam, Słowianom w Austro-Węgrzech... A więc z czysto praktycznego stanowiska, powiedziałbym: ze stanowiska egoizmu słowackiego jest Milan Hodża za Bułgaryą“. I *Tyždennik* jest za tem, żeby na Bałkanie powstało silne państwo słowiańskie, ale woli, żeby niem była Serbia, która i silniejsza jest i (wraz z Rumunią) zainteresowana bezpośrednio w poprawie stosunków wewnętrznych w Austro-Węgrzech.

W Ameryce mają powstać dwa nowe pisma słowackie. W Chicago już od dwóch lat zbiera się udziały na *Slovensky Narodni Dennik*. Wychodzi tam wprawdzie *Ludovy Dennik*, wydawany przez czeskich Benedyktynów, lecz w duchu... madiarońskim, pod redakcyą madiarona, piszącego się Chudatchick, który sam nie zna należycie języka słowackiego. — Podobne przedsiębiorstwo wydawnicze organizuje się w N. Yorku, celem wydawania *Dennika*.

„Slovenska evanjelicka Jednota“ w Stanach Zjednoczonych procesuje się z b. redaktorem swego organu *Slovensky Hlasnik*. — O losach dwóch pism „rovniankowych“ zob. w Kronice.

(*w*) Znamienym dowodem obopólnych dążeń zbliżenia się czesko-słowackiego jest czeski artykuł dra Frinty w słowackim miesięczniku *Prudy* p. t.: „Slovaci a Kašubové“, gdzie autor przeprowadza paralelę pomiędzy Słowakami a Kaszubami i twierdzi, że kwestyę stosunku Słowaków do Czechów należy sprowadzić na podłoże li tylko pewnej odrębności etnicznej, tak, jak to uczynili Polacy w stosunku do Kaszubów i odwrotnie.

W Pradze zaczął wychodzić *Věstnik narodohospodářského odboru Československé Jednoty*, miesięcznik pod redakcyą Bohdana Pavlu, celem wzmożenia czesko-słowackich wzajemnych stosunków handlowych.

Słowieńcy goryccy odprawiali nowe wybory sejmowe. Jak wiadomo, sejm został rozwiązany, gdyż schodził na obstrukcyi, uprawianej tam kolejno przez wszystkich. Liberali słowieńscy, po upadku pozakładanych przez siebie niefortunnie kooperatyw w samem mieście Gorycy, w Solkanie i innych, stracili wiele na popularności, a przywódca ich, księgarz Gabrščék, usuwa się stopniowo do życia prywatnego. Z niedobitków partyi liberalnej zorganizowane stronnictwo, zwące się szumnie »narodowem«, wydaje organ *Soča* i agitowało obecnie za wyborem włościan »niezależnych«, przez »niezależność« rozumiejąc w tym wypadku nieprzyjazne stosunki z proboszczem. W obozie katolickim zapanował rozłam. Idzie o taktykę polityczną. »Starzy« stanowią większość w stronnictwie i należeli do rządzącej w swym »kraju koronnym« większości, zawarłszy przed laty cichy kompromis z włoskimi liberałami. »Młodzi« odrzucają to porozumienie i żądają paktu z partyą katolicką włoską na zasadzie równouprawnienia. »Młodzi« zbliżyli się bardziej do ludu, zakładając stowarzyszenia ekonomiczne i oświatowe, w czem »starzy« zaniedbali się, a to się odbiło na wyborach. Nie można odmówić zasług głowie »starych«, Drowi Gregorčičowi, który zabiegami swymi, polityką i dyplomacyą na małą skalę wytworzył w Gorycy zawiązki słowieńskiego szkolnictwa ludowego, a w ostatnich latach i średniego. Trudno jednak nie uznać, że metoda pracowania dla ludu bez ludu już przestarzała. Organami »starych« są: *Primorski List* i *Gorica.* »Młodzi« rozporządzają jednem tylko pismem, *Novi Čas,* ale jest ono najbardziej rozpowszechnione i liczy do 6.000 prenumeratorów. Na nadchodzące wybory sejmowe zażądali »młodzi«, żeby im dano trzy mandaty, a zmieniono osoby, mające kandydować z pośród »starych«; »starzy« przeszli nad tem do porządku dziennego. Obydwa kierunki wystąpiły tedy z własnemi, osobnemi listami kandydatów.

W wyborach do sejmu goryckiego w kuryi czwartej (powszechnej) wybrani są w okręgach słowieńskich katolicko-ludowi kandydaci Fon i Grgič, w trzecim okręgu przeszedł liberał Kovač przy wyborach ściślejszych. Po stronie włoskiej zwyciężyli wszyscy katoliccy kandydaci.

Slovenski Narod podał następującą wiadomość, pochodzącą, jak zaręcza, ze źródła, na którem można polegać:

»Na bankiecie u angielskiego premiera Edwarda Greya (podczas konferencyj o pokój z Turcyą) powiedział ambasador niemiecki w Londynie do siedzącego obok siebie dyplomaty jednego z państw bałkańskich: »Dla Austro-Węgier jedyna teraz rada w tryaliźmie«. Redakcya wnosi z tego, że sfery najściślej rządowe w Niemczech zgadzają się już na tryalizm, a nawet pragną go same, upatrując w nim jedyny sposób utrzymania potęgi Austryi, jedynego Niemiec sprzymierzeńca.

Slovenec w Nrze 167. zamieścił artykuł wstępny p. t.: »Prazni strahovi«, protestujący przeciw biadaniom o upadek idei słowiańskiej z powodu wojny bałkańskiej. Znajdujemy w nim takie zdanie: »Rumunia wyświadczyła wielką przysługę innym narodom bałkańskim,

uzdrowiwszy Bułgaryę z myśli o hegemonii bałkańskiej, która w swych następstwach byłaby o wiele szkodliwsza i fatalniejsza dla reszty narodów bałkańskich, niż stan rzeczy, jaki chce wytworzyć na Bałkanie Rumunia«, dążąca do równowagi i takiego stosunku sił, jaki »będzie największą rękojmią jakotako trwałego pokoju na Bałkanie«. Przy likwidacyi Turcyi europejskiej nie dało się żadną miarą ignorować Rumunii; to rzecz naturalna i Bułgarya popełniła ciężki błąd, przypuszczając taką możliwość.

Na artykuł p. Peniżka w *Zlaté Praze* (zob. wyżej w przeglądzie prasy czeskiej) zareagował imieniem narodu słowieńskiego p. Anton Trstenjak w Nrze 146. *Slovenskega Naroda.* Szkoda, że zrobił to w sposób wielce niezgrabny. Gołosłowne zaprzeczenia, powtórzone kilkadziesiąt razy rozmaitemi słowami, nie stanowią żadnego argumentu. Artykuł pisany jest metodą kawiarnianych polityków. Uśmieje się p. Peniżek, człowiek poważny, nie dzisiejszy i umiejący myśleć, a nietylko rezonować, gdy nadto »poinformuje się« od p. Trstenjaka, co to za postępy zrobiła idea słowiańska w ostatnim czasie na południu, a jeżeli na północy nie, toć z winy Polaków. »Pozostaliśmy jeszcze biernymi na północy z powodu sprawy polsko-rosyjskiej. Polacy ze swoją separatystyczną polityką polską i jako sprzymierzeńcy Niemców w państwie, to największa pozycya bierna w rachunkach Słowiańszczyzny, największa zapora do jej postępu«. Kawiarniane pozytywki mogłyby sobie sprawić już jaką nową »nutę«, bo ta, którą wyśpiewuje p. Trstenjak, pochodzi podobno jeszcze z czasów pierwszej jego młodości i ośmiesza tylko... frazesowiczów. Tacy, jak on, całe życie są wszędzie i zawsze bierni, bo prócz niemądrego frazesu nie mają nic do ofiarowania. — Frazesowiczostwo na potęgę! I tym razem, zamiast zastanowić się nad przyczynami poruszonego przez p. Peniżka zjawiska (ażeby je usunąć), poprzestano na deklamacyach i frazesach.

Rozłam w **chorwackiej** »unii prawaszów« ostatecznie dokonany. Zagrzebscy frankowcy nie poddali się bowiem uchwałom zjazdu tryesteńskiego i nie przywrócili pierwotnej redakcyi organu stronnictwa *Hrvatske.* Starczewicianie odbyli wobec tego osobno zgromadzenie, na którem uchwalili zerwać wszelkie stosunki z frankowcami i założyć własny organ p. t.: *Hrvat.* Pierwszy jego numer 28. VI. uległ konfiskacie w 68 (sześćdziesięciu ośmiu) miejscach. Nowe pismo podpisuje, jako wydawca, Dr. Mile Starčević, a jako główny redaktor Dragutin Hrvoj. Komisaryat królewski uwziął się, żeby *Hrvat* przestał jak najprędzej wychodzić.

Rozeszła się wieść o zamierzonem mianowaniu b. prokuratora zagrzebskiego, Milana Accurti'ego, wicebanem. Byłaby to ze strony rządu formalna prowokacya Serbów i pośrednio całej koalicyi serbochorwackiej, Accurti bowiem był inicyatorem osławionego zagrzebskiego procesu o zdradę stanu. Potwierdzenia wieści dotychczas brak; tyle tylko wiadomo, że obecny wiceban, Unkelhäusser, zamierza podać się do dymisyi.

Sfery bliższe rządu twierdzą, że kombinacye z osławionym

Accurtim były już blizkie uskutecznienia, lecz Tisza dowiedział się w ostatniej chwili, że Accurti ogłaszał podczas procesu zagrzebskiego o zdradę stanu (w którym sam był prokuratorem!) liczne artykuły o tymże procesie, rojące się formalnie od najgrubszych prowokacyj przeciw Serbom. Artykuły te drukowały: prawno-państwowy organ Franka, *Hrvatsko Pravo*, nie uznający zasadniczo »ugody« węgiersko-chorwackiej z roku 1868. i chrześcijańsko-społeczna wówczas *Hrvatska!* Szczególna ta czynność dziennikarska Accurtiego trwała i po skończeniu procesu, za barona Raucha i jeszcze potem, za banowania Tomašića. Tego mu oczywiście Chorwaci zapomnieć nie mogą, zwłaszcza ci, którzy mają obecnie większość, a uznają Chorwatów i Serbów za jeden naród. Hr. Tisza dowiódł, że nie cofa się przed żadnym gwałtem, a jednak spostrzegł się, że niesposób installować Accurtiego w Zagrzebiu na wicebana.

Chorwacya zawierała ugodę finansową z Węgrami ostatnim razem w r. 1906. na okres od początku 1907. roku do końca 1913. Odbyło się to wówczas legalnie, w myśl ustawy, wymagającej uchwał obydwóch sejmów, budzyńskiego i chorwackiego, na wniosek obydwóch komisyj regnikolarnych, węgierskiej i chorwackiej. Ponieważ obecnie w Chorwacyi konstytucya zawieszona, a nowa ugoda nie da się w tych warunkach przeprowadzić drogą ustawową, noszono się w Budzyniu z ciekawym pomysłem, żeby obecną ugodę przedłużyć o rok za pomocą rozporządzenia ministeryalnego. Wygadał się z tem *Budapester Tagblatt*, utrzymujący styczność ze sferami najwyższej biurokracyi ministeryalnej. W prasie chorwackiej powstał alarm na samą myśl o takiem zlekceważeniu ugody prawnopaństwowej z r. 1868. Tym razem nawet »madiaronom« chorwackim było tego za wiele! Urzędowy dziennik zagrzebski napisał wyraźnie, że ugoda finansowa nie da się przeprowadzić prostem rozporządzeniem ministeryalnem, bo to byłoby bezprawnym aktem.

Postanowiono tedy starać się jeszcze raz o przygotowanie większości rządowej w sejmie.

Niedawno obwiniał Fr. Kossuth hrabiego Stefana Tiszę, że się przymila Chorwatom i gotów cofnąć madiaryzacyjną pragmatykę służbową (dzieło Kossutha!) Oburzony Tisza wyjaśnia metodę swej polityki w swym organie *Magyar Nemzet*. Oświadcza, że utworzy w Chorwacyi stronnictwo rządowe, unionistyczne, choćby wypadło największe ofiary ponieść dla tego celu, lecz nie myśli bynajmniej dbać zbytnio o jakiekolwiek »konwenansy konstytucyjne« i jeżeli Chorwaci nie będą powolni, niechaj się przygotują choćby na szereg komisarzy królewskich. O cofaniu pragmatyki kolejowej niema mowy. Poza tem gotów jest Tisza udzielać Chorwatom wszelkiego poparcia — przeciwko Serbom w Chorwacyi osiadłym.

Aż nazbyt szczery hr. Tisza nie robi sobie tedy »ceremonii« z Chorwatami (sama ta szczerość dowodem), ale bądźcobądź, jeżeli się kogoś chce wywieść w pole, trzeba się do niego zabierać przynajmniej in modo mniej fortiter. A więc postanowiono obsadzić wakans ministra dla Chorwacyi.

W sobotę 19. b. m. po południu obyła się w Budzyniu rada ministeryalna, która trwała przeszło pięć godzin. Obecni byli wszyscy ministrowie prócz bawiącego na urlopie barona Hazaja. Hr. Pejačević podał warunek, że nie przyjmie stanowiska ministra chorwackiego, jeżeli równocześnie Cuvaj nie otrzyma dymisyi. Była więc kwestya, czy uczynić zadość warunkowi Pejačevića, a następnie czy znieść komisaryat i rozpisać wybory, czy też zmienić tylko osobę komisarza. Zgodzono się na ten drugi sposób, a więc na półśrodek. W niedzielę 20 b. m. pojechał Tisza do Ischlu i otrzymał upoważnienie do zarządzenia, czego potrzeba, celem nominacyi barona Ivana Skerleca nowym komisarzem. Bliski rządu *Budapesti Hirlap* wyjaśnił to »nieuregulowanemi« jeszcze stosunkami stronnictw chorwackich, czyli poprostu niemożnością utworzenia większości rządowej do sejmu zagrzebskiego. Liczy się więc na to, że Skerlec będzie pod tym względem szczęśliwszy od Cuvaja. Półurzędowy *Pester Lloyd* uważa nominacyę Pejačevića za dowód dobrej woli ze strony rządu centralnego i zapowiedział, że nastąpią niebawem jeszcze dalsze kroki, stwierdzające najlepsze chęci rządu. Zdaniem tego pisma, komisaryat od mianowania zastępcą komisarza Dra Unkelhäusera istnieje i tak już tylko formalnie (twierdzenie śmiałe, skoro tuzin ustaw wyjątkowych tłumi wciąż wszelkie życie publiczne w Chorwacyi!) Cuvaj spełnił już misyę swoją, którą było odegnać niebezpieczeństwo zerwania unii chorwacko-węgierskiej; ale »rozwój spraw chorwackich nie nastąpił jeszcze na tyle«, żeby można było mianować już bana i powrócić do stosunków normalnych. Do tego daleka jeszcze droga, na której »możnaby nawet zgubić to, co się dotychczas zyskało« (widocznie Cuvaj »misyę« swoją spełnił powierzchownie i owoce jej nie dadzą się utrzymać bez przymusu!)

Te głosy dwóch najbliższych rządowi dzienników illustrują położeniedostatecznie: Jeżeli Skerlecowi będzie się zdawało, że rząd może się już odważyć na wybory i, że uzyska się (oczywiście przy zastosowaniu wszelkich sztuczek i gwałtów!) rządową większość, w takim razie rozpisze się jesienią wybory i jeżeli wypadną po myśli rządu, zwoła się sejm i tegoż Skerleca zamianuje się banem. Przywróci się więc konstytucyę w Chorwacyi, jeżeli Chorwacya spełni wprzód pragnienia madiarskie! A zatem zmiany personalne, dokonane obecnie nie oznaczają wcale a wcale zmiany systemu rządów.

Jeżeli Skerlecowi nie uda się przygotować odpowiednio wyborów sejmowych, jeżeli Tisza, »nie szczędząc żadnych ofiar« t. j. gwałtów, bezprawia i przekupstw, nie doczeka się większości unionistycznej i to w niniejszym jeszcze roku 1913. — sytuacya będzie dla rządu węgierskiego arcykłopotliwa, bez wyjścia. Przypomnijmy, że »ugoda« finansowa chorwacko-węgierska obowiązuje tylko do końca roku 1913., a jeżeli nie złoży się na czas sejmu z większością unionistyczną, nie będzie nawet wybrana komisya regnikolarna celem omówienia nowej »ugody« finansowej! Uciec się do rozporządzenia? Puszczona na próbę wieść o tem okazała, że nawet »madiaroni« burzą się na samą myśl o tem!

Mamy tu do czynienia z jednym z wielu objawów, świadczących, że obecny ustrój monarchii nie da się utrzymać.

Hrvatska z 14. lipca zamieściła znamienny artykuł wstępny p. t.: »Srbija još nije Piemont za Hrvate«, w którym czytamy między innemi:

»Pomiędzy Piemontem a innemi ziemiami włoskiemi (które należały wówczas do monarchii habsburskiej) nie było żadnych przeciwieństw kulturalnych, lecz przeciwnie: kultura zjednoczyła już była w duchu wszystkie te ziemie. Kultura je zbliżyła, podczas gdy w naszym wypadku ona je jaskrawo rozdziela. Ale nie zapominajmy o jednem: tak mają się rzeczy jeszcze dziś, ale kto wie, czy tak będzie jeszcze jutro. To pewna, że dziś nie jest jeszcze Serbia dla Chorwatów Piemontem, a od kół rozstrzygających w monarchii zależy, żeby nie była Piemontem ani jutro. A jeżeli starczy rozsądku i zdolności, monarchia posiada dosyć środków, żeby z Chorwacyi wytworzyć Piemont słowiański. I to i tamto jednako jest możliwe. Połowiczne postępowanie sprowadzi zwłokę, lecz z korzyścią przeciwników monarchii«.

Wychodząca w Splicie w Dalmacyi *Sloboda* podaje w Nrze 137. następujące zestawienie charakterystyk Chorwatów a Serbów:

Serbowie są bardziej nacyonalistyczni, narodowo ekskluzywni. Świadomość narodowa utwierdzona jest wśród Serbów, jak rzadko gdzie na świecie. Każdy chłop wie, że jest Serbem i każdy z nich uświadomiony jest co do programu narodowego, którego połowę teraz właśnie spełniono: odwet na Turku za Kosowe Pole, wskrzeszenie carstwa Duszanowego. Serbowie odznaczają się fanatyczną wiarą w swoją przyszłość, jakiemś nadzwyczajnem poczuciem swej odrębności i cenieniem jej ponad wszystko. Bo też utrzymali w czystości swą krew, w której brak zgoła domieszek cudzoziemskich: znać to i w pieśniach ludowych, całkowicie oryginalnych dotychczas. Przez wieki całe, chociaż politycznie podbici, bronili Serbowie swej odrębności, obyczaju, języka, kultury, cerkwi, tradycyi. Czem silniej atoli akcentowali to wszystko, co ich różniło od obcych, tembardziej utrudniali asymilacyę obcych żywiołów, jakie znalazły się pomiędzy nimi. Oni sami uchodzili wreszcie w oczach cudzoziemca za coś tak odrębnego, że nawet wyobrazić sobie nie było można i nie można jeszcze dzisiaj, żeby się mógł zeserbszczyć Grek, Albańczyk, »Madiar«, »Szwab« lub Bulgar. Zupełny brak siły asymilacyjnej! Co gorsza, brak oporności wobec ekspanzyi żywiołów ościennych. Oto dawne grody serbskie: Skodar, Prizren, Debar, Prilep, Skoplje, Zombor, Nowy Sad — obecnie po większej części albańskie, bułgarskie, madiarskie. W Skodarze (Skutari), dawnej stolicy serbskiej, znajdzie się dziś ledwie tysiąc Serbów, ale i to przygodni, przybysze, żywioł ruchomy; autochtonów serbskich są w Skodarze wszystkiego razem... dwie rodziny.

Chorwaci nie są tak nacyonalistyczni. Kościół zachodni powiązał ich rozmaitymi łącznikami z międzynarodowem życiem katolickiego świata. Nie wzmacniali w toku wieków swej odrębności. Szlachta mówiła po łacinie, potem zmadiaryzowała się. Mieszczaństwo niemieckie z pochodzenia, języka, obyczaju i ubioru. Lud wiejski trochę pozapo-

minał starodawnych baśni i pieśni, trochę je poprzekręcal; zarzucił też w znacznej części własny ubiór ludowy, a przebrał się z włoska. Teraz chłopi na wybrzeżach Dalmacyi tańczą walca, a narodowe »kolo« utrzymało się tylko w dalmatyńskiem »Zagorju«, w formie rudymentalnej. Gdy inteligencya chorwacka tańczy kolo, robi z niego cudactwo, bo nie umie. A język? Dzienników chorwackich Serb nie mógłby czytywać bez słownika wyrazów obcego pochodzenia! Słowem, chorwatczyzna jest przesiąknięta na wskróś wpływami cudzoziemskimi i wciąż im podlega. Mniej wyodrębnioną ona jest wobec cudzoziemszczyzny. Ale też żywioły obce łatwo się w Chorwacyi asymilują. Czyż Niemiec Strossmajer, gdyby był za zarobkiem przybył do Serbii, byłby się zeserbszczył — jak schorwacił się ojciec największego nowoczesnego patryoty chorwackiego? Schwarzów, Mayerów, Bauerów i t. p. jest w szeregach dobrych Chorwatów na tysiące. Pomimo »niemieckiej infiltracyi« Agramów, Esseggów, Karlstadtów, Chorwaci utrzymali jednak te miasta i czyż dziś Zagrzeb nie jest bardziej chorwackim, niż Nowy Sad serbskim?

•Redakcyę buniewaczkiego *Nevena* objął po ustępującym, a tak zasłużonym p. Rajčiću (dyrektorze banku w Suboticy) Dr. Mirko Ivandekić. Poprzedni redaktor przejął pismo przed półczwarta rokiem, jako miesięcznik; z początkiem 1912. r. zamienił je na tygodnik i zebrał kaucyę, wymaganą w czasach »cuvajady«, żeby wolno było roztrząsać sprawy polityczne; wkońcu sam postarał się o redaktora, mającego więcej czasu i swobody do przeprowadzenia organizacyi politycznej Buniewców.

Z początkiem lipca począł wychodzić w Osieku tygodnik *Osječke Novosti.*

W Sarajewie poczęto wydawać dwa razy na tydzień *Novi Vakat* dla interesów muzułmańskich, jako organ »ujedinjene muslimanske stranke u Bosni«.

Również z początkiem lipca i także w Sarajewie pojawił się tygodnik *Balkanska Berza* (= giełda), pismo dla spraw handlowych i przemysłowych, drukowane obydwoma abecadłami.

W Ameryce mnożą się pisma chorwackie. Wychodzą tam *Hrvatska Zastava, Hrvatski Glasnik, Zajedničar, Jadran, Radnička Straža* — te trzymają się organizacyi »Hrvatski Savez« i popierają ją; w opozycyi stoi *Narodni List.*

Prasa **serbska i bułgarska** przestała nawet istnieć; ledwie rządowa gazeta w Belgradzie wychodziła dosyć regularnie.

Wojny serbsko-bułgarskiej nie nazywamy »bratobójczą«, nie widząc powodu, żeby współplemienność sama miała nakładać Słowianom specyalne obowiązki, nie istniejące dla innych plemion. A czy nazywano kiedykolwiek bratobójczemi wojny austryacko-pruskie, duńsko niemieckie, francusko-hiszpańskie i t. p.?

Wojnę słowiańską na Bałkanie przewidywaliśmy już w październiku 1912.; zobacz o tem zeszyt z listopada 1912.,

str. 743[1]) i wogóle niech nam będzie wolno przypomnieć artykuły nasze »W y w ł a s z c z e n i e a w o j n a b a ł k a ń s k a« i »D z w o n y z B a ł k a n u« w zeszytach z listopada i z grudnia 1912.

KRONIKA.

(mg) **Szkolnictwo średnie na Śląsku.** Bardzo zajmujący artykuł znajdujemy w kwietniowym *Věstniku českých professorů* na miejscu naczelnem. Są to uwagi i dane statystyczne, tyczące się szkolnictwa średniego w tym kraju, o który walczą trzy narodowości. Zestawił je na podstawie danych urzędowych znawca Śląska doskonały, J ó z e f K u d e l a.

W roku szkolnym 1911/12. posiadał Śląsk 17 szkół średnich (7 gimnazyów, 4 realne gimnazya, 4 realne, 2 licea żeńskie). Oba licea (czeskie i niemieckie) i 3 gimnazya realne (polskie, czeskie i niemieckie) są prywatne. Z tych 17 szkół jest 12 niemieckich, a z nich znowu 10 p a ń s t w o w y c h, czeskich 3, z tego 1 państwowa, polskie 2, jedna ledwie państwowa. Dla Niemców, tworzących 43·9% ludności śląskiej, istnieje rządowych 5 gimnazyów, 4 realne, 1 realne gimnazyum; dla większości słowiańskiej daje państwo tylko d w i e szkoły. Wydatki państwa na gimnazya w roku 1911 wyniosły 624.571·81 koron, z tego dla Słowian przypadło zaledwie 159.207·88 K (Polacy 77.567·15 K, Czesi 81.640·63 K).

Uczniów w gimnazyach humanistycznych i realnych było 2.333 (+65 prywatystów), z tego procentowo było Niemców 56·42%, Polaków 25·52%, Czechów 17·89%. W szkołach niemieckich kształciło się Polaków 131 (+1), Czechów 74. Z polskich gimnazyalistów c z w a r t a część uczy się w zakładach niemieckich, w samym Cieszynie 64, choć mają tam polskie gimnazyum, a w Bielsku 52 (+2). Co do wyznania, to z 354 (+13) ewangelików był tylko 1 Czech, a 152 (+5) w polskich szkołach, z tego w Cieszynie 88 (+1), w Orłowej 64 (+4). Z Żydów 268 (+13) jest 1 w czeskiej szkole, 6 (+1) w polskich, reszta w niemieckich. »Ewangelicy na pograniczu czesko-polskiem są twierdzą polskości, ale dalej na Wschód są niemal wszyscy »deutschfreundlich« i tworzą jądro kożdoniowców« — powiada czeski statystyk.

Realne szkoły są wszystkie 4 państwowe i wszystkie niemieckie. Uczniów miały 1.429 (+22), narodowościowo 90·63% Niemców (1.294), 7·65% Polaków (111), 1·24% Czechów (18). Ciekawe, że polszczyzny nadobowiązkowej uczyło się 120 w Bielsku, 94 w Cieszynie, razem 214, a czeszczyzny 96 w Opawie, 67 w Karwinie, 55 w Cieszynie, razem 218. Wydatki na szkoły realne państwowe wyniosły 402.237·24 K.

W liceach było 112 (+5) uczenic, w niemieckiem w Opawie 63 (+4), w czeskiem w Polskiej Ostrawie 49 (+1), Polki były tylko 2, obie w szkole niemieckiej.

Ogólnie było młodzieży w omawianych szkołach klasycznych i realnych 3.762 bez prywatystów, z tego 2.607 Niemców — 69%, 705 Polaków — 18%, 541 Czechów — 13%, gdy odpowiedni stosunek ludnościowy jest 43·9 : 31·7 : 24·3. W niemieckich zakładach ogółem było 334 Słowian (242 P o l a k ó w, 92 Czechów), szczególnie ich procent jest wielki w niższych klasach, bo w wyższych się niemczą lub przed ukończeniem występują ze studyum.

Statystyka s t a n u r o d z i c ó w i uwolnienia od opłaty c z e s n e g o jest niepomiernie ciekawa. Średnio na zakład przypada 63·08% nie

---

[1]) „Unia bałkańska? Z pewnością jeszcze nie... Łączność dzisiejsza, to tylko epizod... Powaśnić ich i wzniecić między nimi wojnę nie będzie nigdy trudno".

płacących czesnego. Polskie gimnazyum w Cieszynie ma ich przecie 84·52%, polskie realne w Orłowej 70·92%, czeskie w Opawie 71·36%, z niemieckich tylko frydeckie 65·48%, zatem Polacy ponad średnią miarę ubóstwem się wznoszą. Statystyka zajęcia rodziców wykazuje: 33·65% przemysłowców, 28·65% urzędników, 16·26% robotników, 15·81% rolników, co nie jest zupełnie wiernym obrazem rzeczywistości, skoro górnicy polscy w Orłowej (163) zaliczeni zostali do przemysłowców.

Stypendyów było w gimnazyach 176, z sumą 22.933·46 koron i 400 marek. Z tego na polskie zakłady przypada 10 z sumą 1.760 K, na czeskie 13 z kwotą 743·30 kor. Najwięcej i najlepszych stypendyów posiada Widnawa. Gimnazyum niemieckie państwowe w Widnawie miało 136 (!) uczniów, z nich 30 otrzymywało stypendya (21·89%) średnio po 205 K, a 51 zapomogi, razem 81 wspieranych!

Z liczby uczniów, zapisanych do klasy pierwszej, było co do miejsca pochodzenia z miejscowości, gdzie zakład jest, trzecia część Niemców, szósta Polaków, ósma Czechów, z reszty Śląska: niem. $^1/_3$, pol. $^2/_3$, czes. $^2/_3$; dość sporo jest uczniów z innych ziem koronnych, Niemców $^1/_3$, Polaków 13, Czechów 20. W gimnazyum niemieckiem w Boguminie było 5 z zagranicy (z Prus).

Jakkolwiek Niemcy sztucznie podtrzymują suchotnicze swe gimnazyum w Widnawie (136 uczniów w 8 klasach! średnio po 17 w klasie!), jakkolwiek są pod tym względem przesyceni, mimo to z początkiem roku szkolnego 1913/14 otwiera rząd nową szkołę średnią we Frywałdzie (Freiwaldau), a deputacyi frysztackiej ministerstwo w maju b. r. przyrzekło w najbliższym budżecie zaspokoić życzenie Frysztatu co do szkoły średniej niemieckiej. A Frysztat oddalony jest o 3 godziny drogi od Bogumina.

W *Věstniku* czeskim czytamy: »Gdybyśmy Czesi chcieli sobie hiperidealnie zakreślić uzasadnione cele swej polityki szkolnej na Śląsku, musiałoby być między innemi także zdobycie Frydku i zczechizowanie tamtejszego niemieckiego gimnazyum«. Czesi dzisiaj żałują, że zgodzili się ongiś na rozdział uniwersytetu w Pradze na czeski i niemiecki; widzą, że byliby zczechizowali niemiecki i dzisiaj nie byłoby niemieckiej wszechnicy w czeskiej Pradze. Ten »hiperidealny plan« ich może stać się rzeczywistym. Czyżby tego nie potrafili, oni?

Sprawy frywałdzkiej Polacy powinni użyć do zdobycia upaństwowienia szkoły polskiej w Orłowej.

Ruska kronika.

Historya pomnika Chmielnickiego. W miesięczniku *Ukrainskaja Žižń* ukazało się ciekawe opowiadanie (streszczenie referatu) p. Lewickiego o tem, jak powstał pomnik Bohdana Chmielnickiego na placu Sofijowskim w Kijowie.

Myśl postawienia pomnika Chmielnickiemu powstała w 1859. roku. Osławiony M. Józefowicz, preses kijowskiej komisyi archeograficznej, który w przyszłości miał wystąpić jako prześladowca »ukrainizmu«, ale podczas liberalnej epoki Aleksandra II. podawał się za Ukraińca, zaprosił do Kijowa rzeźbiarza Mikieszina, twórcę pomników tysiącolecia Rosyi, Katarzyny i innych. Mikieszin zrobił projekt i w pracowni tego rzeźbiarza zobaczył go cesarz Aleksander II., zainteresował się nim i poparł myśl postawienia pomnika. W r. 1870. zorganizowany został komitet budowy pomnika i zaczęło się zbieranie ofiar.

Po długich pertraktacyach zdecydowano postawić pomnik na placu Sofijowskim, na którym odbywało się uroczyste powitanie Chmielnickiego w r. 1647. i gdzie pomnik mogli widzieć włościanie pątnicy. Według modelu Mikieszina pomnik miał przedstawić figurę Chmielnickiego na koniu, pod kopytami konia leżał trup księdza, przykryty poszarpanym sztandarem polskim, tamże poniewierał się rozerwany łańcuch, ze skały zaś opadał głową na dół pan polski, a poniżej widniał żyd z zagrabionymi przedmiotami cerkiewnymi. Figury te miały stać na czworo-

kątnym piedestale z labradoru, na trzech bokach którego miały być trzy bronzowe wypukłe rzeźby: bitwa zbaraska, rada perejasławska i uroczyste powitanie Chmielnickiego w Kijowie. Poniżej statuy Chmielnickiego na koniu zamierzano postawić grupę, składającą się z wielkorosyanina, białorusina, małorusina i »czerwono-rusina«, którzy zebrali się dokoła kobzarza, śpiewającego i grającego na bandurze. Modelem dla kobzarza miał być Szewczenko. Nad tą grupą miał się rozpościerać napis: »Jedinaja niedielimaja Rossija getmanu Bogdanu Chmielnickomu«, a pod figurą kobzarza słowa z dumy o Chmielnickim: »Ta nie budie łuszcze, ta nie budie kraszcze, Jak u nas na Wkraini, Szczo niemaje żida, szczo niemaje lacha, Nie budie i unii«; lub też inny waryant: »Zginie Polszcza, zginie, a Ruś bude panuwati«.

Model ten przechowywany jest teraz w czernihowskiem muzeum Tarnowskiego.

I społeczeństwo i nawet niektórzy członkowie komitetu zaprotestowali przeciwko takiemu projektowi. Projekt był już jednakże Najwyżej zatwierdzony i sam Mikieszin nie chciał słyszeć o tem, żeby wyrzucić z pod nóg konia figury.

Według preliminarza Mikieszina koszt budowy pomnika miał wynosić 145–200 tys. rubli, nie licząc metalu i kamienia; komitet jednak nie miał nadziei zebrania takiej sumy i zredukował preliminarz o 49.500 rb. Jako kompensatę natomiast Mikieszin otrzymał tysiąc dziesięcin ziemi rządowej w gub. jekaterynosławskiej. Dopiero w r. 1878. Mikieszin ukończył wszystkie prace przygotowawcze i Najjaśniejszy Pan kazał wyrzucić figury z pod nóg konia po obejrzeniu oryginału. Należało przystąpić do odlewania modelu i tutaj wypłynęła skandaliczna historya na jaw: oto Mikieszin zdefraudował miedź, wydaną mu na pomnik. Dowiedziawszy się o tej operacyi, komitet zażądał zwrotu miedzi i chciał pociągnąć Mikieszina do odpowiedzialności. Sprawa jednak została zatuszowana. Odlewanie figury komitet powierzył niejakiemu Berdoux. Okazało się jednak, że pieniędzy wystarczyło tylko na figurę hetmana. Wobec tego po odlaniu tej figury w oczekiwaniu napływu ofiar na piedestał, odesłano ją... do cyrkułu starokijowskiego na przechowanie.

Komitet zdecydował wreszcie ustawić figurę na tymczasowym piedestale. Powstała jednak nowa przeszkoda. Oto duchowieństwo zaprotestowało przeciwko obranemu miejscu.

Dopiero w 1881. r. po wielu perypetyach pomnik ustawiono na tem miejscu, gdzie stoi dotychczas. W r. 1888. zaś odbyło się poświęcenie pomnika.

Prawosławny egzarcha galicyjski. *Nowoje Wremia* doniosło, co następuje:

»Galicya austryacka podlega władzy kanonicznej patryarchy konstantynopolitańskiego, który jednakże pozbawiony jest faktycznej możności zwracania uwagi na życie cerkwi prawosławnej w Galicyi i wyzyskania tam swych prerogatyw. Wobec tego patryarcha konstantynopolitański przelał władzę swą i obowiązki na archiepiskopa wołyńskiego Antoniusza, jako na episkopa najbliższej Galicyi eparchii prawosławnej. Antoniusz korzystać będzie z praw egzarchy i zamierza wyświęcać duchownych dla parafii galicyjskich. Niestety — dodaje *Nowoje Wremia* — i arcykapłan rosyjski pozbawiony jest możności politycznej popierania interesów owczarni zakordonowej i pozostaje mu tylko pocieszanie podlegających jego władzy cierpiących pasterzy i owczarni«.

Mianowanie archiepiskopa Antoniusza egzarchą Galicyi — wydać się może nieco dziwne wobec faktu, że daleko łatwiej byłoby powierzyć obowiązki egzarchy któremukolwiek z episkopów prawosławnych monarchii Habsburskiej, chociażby poprostu najbliższemu sąsiadowi owczarni galicyjskiej, metropolicie Bukowiny. Lecz fakt na pozór dziwny stanie się łatwy do zrozumienia, jeżeli uprzytomnimy sobie, iż »owczarnię prawosławną« w Galicyi potrzeba jeszcze stworzyć i że żaden z episkopów austryackich takiej roboty podjąć się

nie może i żaden nie będzie miał tyle bezczelności, aby za organem Suworina powtarzać stare kłamstwa Bobrinskiego o »cierpieniach owczarni prawosławnej«, o cierpieniach tak niedawno napiętnowanych przez starowierców moskiewskich. którym wydają się one prawdziwą tolerancyą na tle własnej doli.

Czeska kronika.

(w) † **J. R. Rozkošný** był jednym z najstarszych patryarchów muzyki czeskiej, popularnym kompozytorem i twórcą kilku oper w stylu gounodowskim. Wpływ narodowej i ludowej muzyki Smetany uwydatnił się w jego operze »Kopciuszku« (1884.); była to jednak tylko próba, Rozkošný bowiem został nadal typowym epigonem muzyki francuskiej i romantyzmu mendelsohnowskiego. Rozkošný nie był talentem oryginalnym, przerzucał się do różnych kierunków, w jednoaktowej operze »Stoja« idzie śladami weryzmu włoskiego. Ostatnią jego operę »Czarne jezioro« wystawiono w r. 1905.; napisał oprócz oper wiele utworów drobnych, pieśni solowych i na chóry. Kompozytor był długoletnim prezesem sekcyi muzycznej »Umělecké Besedy«, a tu w rozwoju wogóle muzyki w Czechach położył znaczne zasługi.

† **Mikołaj Aleš**, malarz, o którym można powiedzieć, że był dwom pokoleniom narodowym czeskim malarzem, zmarł dnia 10. lipca na praskiem przedmieściu Vinohradach. Urodzony 1852. r. w Miroticach, w okręgu piseckim, uczęszczał do niższego gimnazyum, a następnie do szkoły realnej w Pisku. Pod wpływem poezyi Adolfa Heyduka rozwinęło się w nim wielkie poczucie patryotyczne, a wrodzone usposobienie artystyczne zamieniło się w wybitne powołanie. W r. 1869. udał się do Pragi na Akademię malarską, gdzie przebywał aż do r. 1875. Pierwszą samodzielną pracą jego był »karton«: Čechie ve slavě, poczem nastąpiły dwa obrazy historyczne: Jerzy Podiebradzki i w r. 1876. (znacznych rozmiarów) Niewola Wacława IV. Ukończywszy Akademię, przebywał na wsi, w Sukdolu, w dobrach rodziny Brandeisów, gdzie też pozostało po nim sporo prac drobniejszych. Podejmował liczne podróże po Czechach (Włochy zwiedził dopiero później), zbierając typy i stroje ludowe, zatrzymując się w miejscach historycznych. W tych latach powstał pomysł cyklu Vlast (ojczyzna). Sławy zakosztował po raz pierwszy w r. 1879., otrzymawszy na konkursie pierwszą nagrodę za szkice do obrazów ściennych w foyer Narodniho Divadla, projektowane (a następnie i wykonane) wspólnie z Franciszkiem Ženiškiem; tam też wszedł cykl Vlast do »lunet«. W r. 1882. malował Zmysły, następnie Pochód Rakoczego. Wiele illustracyj robił do rozmaitych pism. Pierwszą systematyczną pracą w tej dziedzinie są rozpoczęte w r. 1883. illustracye do Čelakowskiego »Ohlasu písni ruských«, poczem nastąpiły illustracye do Rękopisu Królowodworskiego. Z jego pendzla wyszły »sgrafitta« na dworcu wodociągowym Starego Miasta praskiego. Stowarzyszenie »Manes« wydało trzy teki prac Aleša; nadto wyszedł zbiór jego illustracyj do pieśni ludowych p. n.: »Špalíček«.

Bodaj czy nie do najlepszych (choć mało znanych) prac jego należą malowidła dekoracyjne na tematy »zbójnickie« w sali jadalnej »Turistické Jednoty« na górze Pustevně (obok Radhoszcza) pod Frensztatem na Morawach.

Było to jedno z najpopularniejszych nazwisk czeskich. Wszak dzieci czeskie uczą się czytać na elementarzach z obrazkami Aleša! Illustracye »mistra Aleše« towarzyszą Czechowi przez całe życie (jak u nas niegdyś Andriolli'ego), a jednak »mistrz« kończył szósty krzyżyk i nie miał zabezpieczonego bytu materyalnego. Tytułowano go »mistrzem« (w mowie i na piśmie), sławiono jako »najpatryotyczniejszego« malarza, 60-tą rocznicę urodzin obchodzono zeszłego roku w listopadzie uroczyście — i przy tej sposobności przypatrzono się jego życiu, którego

strona materyalna zapowiadała się na stare lata groźnie. Rada miejska praska mianowała go inspektorem rysunków w szkołach miejskich, Klub Czeski (młodoczeski) wystarał się o pensyę z funduszów rządowych w kwocie 1.200 K rocznie.

† **Wacław Jansa,** malarz, zmarł dnia 29. czerwca w Černošicach pod Pragą. Urodzony 1859. roku w Rownej, uczeń Akademii praskiej i wiedeńskiej, gdzie otrzymał nagrodę za kompozycyę: »Mojżesz na górze Synaj«, osiadł następnie w Pradze, podejmując stąd podróże po Czechach i na południe, zwłaszcza do Dalmacyi. Wystawiwszy jeszcze Kaina i Abla, zwrócił się do krajobrazu i znalazł w tej dziedzinie malarstwa świetne pole dla rozwoju swych zdolności. Z czasem ulubioną jego specyalnością stały się widoki »Starej Pragi« (był tedy praskim Tondosem); akwarel tych wymienia Slovnik Naučný już w 1898. r. 37; ilość ich doszła zapewne następnie do setki. Był malarzem pracowitym i płodnym; ogólna ilość jego płócien i akwarel dochodzi do czterech setek, nie licząc illustracyj, których zebrałoby się drugie tyle (Čechy wydawnictwa Otty, czasopisma *Zlata Praha*, *Světozor* i i.). Na wystawach w »Rudolfinum« stanowił przez szereg lat główną attrakcyę publiczności praskiej. Obok artystycznej wartości swych prac ma tę zasługę, że nauczył publiczność czeską szanować »starzyznę« i odczuwać piękno zabytków, choćby pokiereszowanych czasami. Można o nim powiedzieć, że stał się ojcem kultu starej Pragi i miłośnictwa zabytków, sam też osobiście zdziałał w tym kierunku za całe Towarzystwo.

Z okoliczności urodzenia i pierwszej młodości żadna nie sprzyjała śp. Wacławowi; nie rodził się do stanowiska w społeczeństwie. Wszak na Akademię malarską zapisał się jako b. »piccolo« z jakiejś kawiarni praskiej, kandydat na kelnera. Wybił się od samego początku siłą własną; doszedł też do średniego dobrobytu, do niezależności pewnej, posiadając w Černošicach własną willę z ogrodem.

Uroczystości welehradzkie odbywały się w tym roku w dniach 11—13 lipca ze szczególną uroczystością, mile całej Słowiańszczyźnie, (bo już bez wojowniczości »idei cyrylo metodejskiej«, zagniewanej na Polaków o to, że Rosya nie jest katolicką!!). O ile chodzi o kult świętych apostołów Słowiańszczyzny, o wyznanie katolicyzmu, o łączność bliższą katolickich Słowian — zawsze całem sercem łączyć się będziemy z welehradzkimi obchodami. O tem, co jest poza tem i ponad to, pisaliśmy nieraz, a ostatnim razem w poprzednim zeszycie w artykule »Problem kultur bałkańskich«. Co zastrzegłszy (clara pacta claros faciunt amicos), z wielką radością zapisujemy pomyślny i podniosły przebieg tegorocznych pielgrzymek.

Rocznica 1050-lecia pracy apostolskiej św. Cyryla i Metodego, stała się, wbrew nadziejom Czechów i pomimo krótkiego przygotowania — wielką manifestacyą ogólno-słowiańską uczuć katolickich. Niema ziemi słowiańskiej, którejby reprezentant tu się nie zjawił.

Całą przestrzeń wśród zabudowań klasztoru OO. Jezuitów zapełniły zupełnie tłumy przybyłych dla złożenia hołdu św. Apostołom słowiańskim.

Pierwszymi gośćmi z obczyzny byli Łużyczanie, którzy przybyli w liczbie 23 w strojach narodowych i delegaci Rusinów. Ledwie starczyło dość czasu, aby przywitać miłych gości, co uczynił w serdecznych słowach proboszcz tutejszy i poseł do Rady państwa, X. Dr Stojan, gdy już okrzyki i muzyka przywitalna oznajmiały przybycie nowych gości: sufragana sarajewskiego Šarića i arcybiskupa sofijskiego hr. Menini'ego. Lud zebrany tu na równoczesny, doroczny odpust, tłumy przyjezdnych z daleka i z okolicy wśród entuzyastycznych okrzyków wprowadziły biskupów do gościnnych pokoi w klasztorze.

Wieczorem wszyscy obecni udali się w uroczystej procesyi, prowadzonej przez ks. sufragana z Sarajewa, Šarića, przy wielkiej asyście wyższego duchowieństwa i poprze-

dzeni przez cztery wieśniacze orkiestry, do kościoła parafialnego, wspaniałej, starożytnej świątyni, by zagaić jubileuszową uroczystość.

X. Stojan przywitał gości wedle narodowości; witał ks. biskupa z Sarajewa, Šarića, przedstawiciela Czechów i wogóle Słowian w Ameryce radcę konsystorza Bobala z Chica-go, posłów ruskich ks. Onyszkiewicza i Sołtysa, reprezentacyę Łużyczan, zastępców uczącej się młodzieży polskiej, słowieńskiej, chorwackiej, JE. arcybiskupa hr. Meniniego z Sofii i wszystkich pobożnych uczestników z Moraw, Czech, Śląska, Dol. Austryi, a zwłaszcza Czechów z Wiednia i z Węgier Słowaków. Potem wysłano telegramy do Ojca św. i do cesarza.

Po wieczerzy zgromadzeni urządzili serdeczną owacyę gościom słowiańskim, a zwłaszcza biskupom i odśpiewawszy hymny narodowe słowiańskie, przy dźwiękach muzyk włościańskich udali się na wspólną modlitwę.

Tłum, liczący już 4 do 5 tysięcy ludzi, nazajutrz wzrósł na 10 tysięcy. Przybyli Słowacy czescy i Wałachowie w liczbie kilkotysięcznej i to wszyscy w kolorowych, tradycyą ojców uświęconych strojach ludowych. Ze wszystkich stron zdążał lud w procesyach, wśród nabożnego śpiewu, przy dźwiękach swych orkiestr, by wziąć udział w pontyfikalnej Mszy św. rannej, którą odprawił ks. biskup Šarić. Po przystąpieniu tysięcy do Komunii św., procesyą eucharystyczną udano się na przeddworze klasztorne, gdzie nastąpiło zagajenie uroczystego aktu hołdowania św. Cyrylowi i Metodemu. Przewodniczącym honorowym uroczystości tego dnia wybrano wśród hucznych oklasków namiestnika Moraw, hr. Szerényiego.

O godzinie 10. przemawiały delegacye. W każdej prawie przemowie poruszono, iż to święto nie jest tylko świętem Moraw, lecz ogólno-słowiańskiem i życzono, by idea cyrylo-metodejska ogarniała coraz szersze koła i masy. Za ziemie morawskie mówili między innymi: poseł do Rady państwa i sejmu morawskiego Navrátil imieniem klubu katolickich narodowych posłów, za czeski Wiedeń p. Kostka, za lud i młodzież czesko-morawską p. Rosolova i p. Fr. Stanislav. Z gości słowiańskich zabrali głos: ks. sufragan Šarić ze Sarajewa na temat: „Wasz Velehrad, nasz Velehrad; wasza boleść, jest nasza boleść“. Przerywano tę mowę co chwila oklaskami i okrzykami „živio!“

Nie mniejsze wrażenie pozostawiła przemowa J. Ekscelencyi arcybiskupa bułgarskiego, hr. Meniniego ze Sofii. Książę-biskup krakowski, Sapieha, przywitany oklaskami i okrzykami „slava!“ wita tę chwilę radosną, ten uroczysty dzień dzisiejszy, w którym należycie się ocenia wielkość i znaczenie pracy apostolskiej św. Metodego i Cyryla wśród Słowian i kończy życzeniem rozszerzenia tego kultu i tej czci na wszystkie te ziemie, które korzystają z owoców działania słowiańskich Apostołów. Następnie przemawiali przedstawiciele młodzieży akademickiej polskiej, słowieńskiej i chorwackiej. Rusini złożyli hołd św. Metodemu i Cyrylowi przez prof. ks. Onyszkiewicza, a za Łużyczan przemówił red. ks. Deleńk. Wreszcie w podniosłych słowach przyniósł pozdrowienie i złożył hołd od Słowian, a w szczególności Czechów z Ameryki, ks. Bobal z Chicago.

O godzinie 11. odprawiono dwie dziękczynne Msze św. Jednę w kościele pontyfikalną celebrował ks. biskup krakowski Sapieha przy asyście biskupów: Šarića i hr. Meniniego, kazanie okolicznościowe wygłosił ks. Dr Kolisko z Hodonina. Drugą pod gołem niebem była Msza św. uroczysta grecko-katolicka, odprawiona przez ks. Onyszkiewicza.

Wśród wielkiego żalu dowiedzieli się uczestnicy uroczystości po południu z ust gospodarza uroczystości tutejszych, ks. prałata Dra Stojana, że niektórzy z szanownych, a miłych gości ze względu na swe obowiązki są zmuszeni przed wieczorem powrócić do swych ziem. Aby wyrazić swą wdzięczność za wzięcie udziału przez nich w hołdzie św. patronom Moraw urządzo-

no na ich cześć, a zwłaszcza na cześć ks. biskupa Sapiehy na podwórzu klasztornem „akademię“.

Po obiedzie około godziny 4-ej goście urządzili wspólną wycieczkę na niedaleki Buchlow, miejsce rodowe hr. Berchtoldów, gdzie zwiedzili stare zamczysko z wieku XV-tego.

Gimnazyum Jezuickie powstaje... w Czechach! Rzecz dzieje się w Dejwicach, półwsiu pod Pragą. Pierwszą klasę otworzą już teraz w połowie września. Utrzymanie ucznia w internacie zaledwie 50 K. miesięcznie.

Ustřední Matice školska wydała sprawozdanie szczegółowe za rok 1912. Dochody były mniejsze, niż w roku 1911. Wydatki wynosiły w 1912. roku 1,339.213 K, dochody 1,134.841 K (opuszczając halerze); deficyt: 204.371 K.

Zarząd żali się, że ugrzęzło zupełnie zamienianie szkół Macierzy na gminne, tak, że na naród czeski nałożono niejako kontrybucyę za to, że zapragnął pożądanego pokoju w zakresie szkolnictwa wśród mniejszości narodowych. Równocześnie zaś zmniejszyły się składki skutkiem przesilenia ekonomicznego i częściowego skierowania ofiarności publicznej na Bałkan. Szczęściem legaty testamentowe były w r. 1912. obfitsze, niż kiedykolwiek. Najwięcej składek, bo 36.585 K, dostarczyło Koło Pań w samej Pradze. Z Ameryki otrzymano 11.569 K. Subwencye sejmów czeskiego, morawskiego i śląskiego wynosiły razem 100.041 K, z rozsprzedaży »stempla narodowego« wypadło na »Macierz Główną« 7.800 K, z własnego znaczka 35.432 K.

Największą pozycyę wydatków stanowią szkoły całkowicie przez Macierz utrzymywane, 831.649 K, (o 100.000 K więcej, niż w r. 1911), subwencye wynosiły 124.699 K, na książki i przybory szkolne wydano 51.022 K. Wydano ogółem na szkoły w Koronie 517.470 K, na Morawach 203.049 K, a na Śląsku 176.986 K; stowarzyszenie im. Komenskiego w Wiedniu otrzymało 14.028 K.

Morawy i Śląsk więcej biorą, niż dają; dochodów bowiem dostarczyły Morawy 80.820 K, a Śląsk 2.789 K.

W roku 1912 utrzymywała Ustřední Matice 160 szkół o 331 klasach.

Na Śląsku udzielono zasiłku Macierzy Osvěty Lidové 3.000 K, Opavské Matici 1.000 K. ochronce w Klimkowicach 1.200 K i szkole w Nowym Dworze pod Opawą 400 K.

(*w*) **Czeskie Towarzystwo etnograficzne** (Národopisná společnost česko-slovanská) obchodzi obecnie 20-lecie swej działalności. Towarzystwo to wytknęło sobie za cel zbieranie materyału folklorystycznego i naukowe opracowanie takowego. Przedewszystkiem starano się o zachowanie cennych zabytków i pamiątek czeskiej sztuki ludowej i dokumentów, mogących zobrazować życie wsi i prowincyi czeskiej. Zebrane materyały gromadzono w Muzeum etnograficznem, które w r. 1896. zostało otwarte dla publiczności. Główne zasługi położył tu prof. L. Niederle, wybitny znawca etnografii słowiańskiej wogóle, i F. A. Šubrt.

O intensywnej pracy Towarzystwa świadczą następujące liczby: w roku 1897. Muzeum posiadało w swych zbiorach $3^1/_2$ tysiąca przedmiotów; w roku 1905. już 12.451 przedmiotów, a w r. 1911. liczba ta podnosi się aż do 21.349. Obecnie Towarzystwo, rozporządzając już tak obfitym materyałem, stara się przedewszystkiem skompletować różne działy i dać wyczerpujący, metodycznie ugrupowany obraz tej lub innej dziedziny zbiorów. W ten sposób zobrazowany materyał będzie z czasem cennem źródłem dla studyów nad etnografią czeską.

Obok ogólnego Muzeum urządzono również specyalne retrospektywne Muzeum rolnicze według wzoru, nakreślonego przez prof. Jakubca.

Do oryginalnych i ciekawych pomysłów Towarzystwa należy zamiar urządzenia muzeum pod gołem niebem, a więc zainstalowania w parku Muzeum szeregu wzorów budownictwa ludowego. Obecnie zobaczyć tu możemy dzwonnicę, Mękę Pańską, studnię, ogródki wiejskie etc.

Oczywiście nie zapomniano tu również o etnografii wogóle słowiańskiej. Dotychczas Muzeum ma

zbiory serbo-łużyckie, w przyszłości ma zamiar kompletować materyały innych narodów słowiańskich.

Do ożywionej działalności Muzeum etnograficznego należy założenie od kilkunastu już lat wychodzącego specyalnego wydawnictwa p. t.: *Narodopisný Sbornik českoslovanský*, redagowanego uprzednio przez prof. Pastrnka, obecnie zaś przez prof. Polivkę, oraz od r. 1906 *Národopisného Věstnika Českoslovanského*.

(w) **Wystawa „obrony narodowej" w Pradze**, urządzona w celu zobrazowania stanu czeskich »mniejszości« i ich obrony, daje ciekawy materyał dla poznania techniki pracy narodowej w celu odparcia ekspanzyi i zachłanności niemieckiej i madiarskiej. Wzięły tu udział niemal że wszystkie organizacye obronne: »Ustřední Matice školská«, »Národní Jednota Severočeská«, »Národní Jednota pošumavská«, »Národní Jednota« południowo zachodnich Moraw, »Národni Jednota« śląska, Macierz Oświaty ludowej w Polskiej Ostrawie, Czesko-słowacka »Jednota« w Pradze, Czeska »gmina Sokolska« i Rada Narodowa.

»Jednoty« narodowe, owe najgłówniejsze szańce czeskie w walce z germanizacyą, wykazują w diagramach stosunki narodowe w mieszanych okręgach »mniejszościowych«, a w dokładnie sporządzonych tablicach statystycznych podają rozwój swych organizacyi pod względem kulturalnym i finansowym.

Centralna Macierz Szkolna podaje tu wyniki swej działalności za przeciąg 31 lat, a więc od czasu trwania tej instytucyi. Na szkoły w okręgach mieszanych „mniejszościowych" Macierz wydała dotychczas z górą 14 milionów koron.

Wystawa działu Towarzystwa im. Komenskiego zobrazowała stosunki szkolnictwa czeskiego w Wiedniu, gdzie na urzędowo stwierdzoną liczbę 14.546 dzieci niema ani jednej publicznej szkoły czeskiej, a tylko 4 prywatne.

Rzemiosła i Czesi w Wiedniu. Prasa niemiecka z taką pewnością stwierdzająca dzień w dzień »czysto niemieckie« zaludnienie Wiednia, czasem się jednak nie utrzyma w roli i »złapie się«. Teraz n. p. w prasie narodowo-liberalnej niemieckiej, jak na komendę pojawiają się artykuły, biadające nad tem, że młodzież niemiecka coraz wyłączniej garnie się na studya w szkołach wyższych, pomnażając t. zw. proletaryat inteligencyi, podczas gdy Czesi dochodzą do majątków, bo młodzież czeska nie gardzi rzemiosłem. W t. zw. uzupełniających szkołach (Ergänzungsschulen) w Wiedniu zapisanych było w r. 1911 w rzemiośle krawieckiem 2.500 czeskich terminatorów, a tylko 900 niemieckich; szewskich chłopaków 1.100 czeskich, a również 900 niemieckich; stolarskich terminatorów 1.300 czeskich a 1.100 niemieckich. Tylko przy przedsiębiorstwach budowlanych przeważa jeszcze narybek niemiecki: 900 Niemców a 500 Czechów. Tak się mają rzeczy z etniczną szatą »czysto niemieckiego« Wiednia.

O przemyślności germanizatorów świadczy jeden z ostatnich zeszytów czasopisma *Der getreue Eckhart*, organu Schulvereinu. W rubryce: »Kinderkolonien des deutschen Schulvereines« dowiadujemy się tam, że z początkiem roku szkolnego 1910/11 zarząd centralny Schulvereinu dostał zawiadomienie od kierownika szkoły, założonej przez to stowarzyszenie w Pawłowie pod Mohelnicą na Morawach, że w miejscowości tej Niemców stale ubywa i że ilość dziatwy szkolnej niemieckiej opadła już poniżej minimum, wymaganego dla szkoły przez ustawę — co grozi zamknięciem szkoły. Urządza tedy Schulverein już w miesiąc po rozpoczęciu roku szkolnego, dnia 14. października 1910. w Pawłowie »kolonię dzieci«, liczącą 10 głów, oddaje ją pod nadzór kierownictwu owej szkoły i osięga w ten sposób ilość dziatwy w wieku szkolnym, dostateczną do korzystania przez szkołę z funduszów publicznych.

Wypadek ten skłonił Schulverein do systematycznej akcyi w tym kierunku. Wszedłszy w porozumienie z gminą wiedeńską, z Wydziałem Krajowym Austryi

Dolnej i z innymi czynnikami, zapewnił sobie formalną dostawę kolonij tego rodzaju i dziś jest ich już w Czechach 22, na Morawach 10, na Śląsku są 3, w Styryi południowej 17 i t. d. W myśl rozstrzygnięcia Trybunału administracyjnego z dnia 2. grudnia 1912. roku wychowankowie tego rodzaju muszą być przyjęci do szkoły w tej gminie, w której ich na stały pobyt osiedlono. Celowem rozmieszczaniem takich »kolonij« mogą Niemcy utrzymać każdą swą szkołę, choćby na miejscu dzieci niemieckich brakowało, a nadto zapewnić subwencyę z funduszów krajowych, która np. na Morawach wynosi 1.000 K rocznie, jeżeli znajdzie się 30 dzieci. Ewentualnie można nawet założyć nową szkołę w ten sposób.

Dwuklasowa szkoła — na 5 dzieci. W Chlumie pod Trzebonią założono niegdyś dwuklasową szkołę ludową niemiecką dla dzieci robotników z hut szklanych firmy Stölzl, tudzież dla funkcyonaryuszów dóbr okolicznych arcyksięcia Franciszka Ferdynanda. Huty zamknięto i dziatwy niemieckiej znalazło się wszystkiego razem 5, z czego dwoje dzieci samegoż nauczyciela Niemca. Gmina wszczęła starania o zamknięcie niepotrzebnej szkoły, ale w Radzie szkolnej okręgowej sprzeciwił się temu zarząd dóbr arcyksiążęcych — i szkoła istnieje nadal. Nauczyciel tamtejszy ma tedy posadę dla — trojga dzieci.

Ciekawa pożyczka. Najmniejsze miasto niemieckie na Szumawie — Volary, znane z tego, że jest ogniskiem przemytnictwa, a zwłaszcza zakazanej w Austryi sacharyny — pożyczyło największemu niemieckiemu miastu w Czechach, Usti n/L, kwoty pół miliona koron.

„Americká kolonie pro mládež v Rožmitále“ — jestto pierwsza »kolonia skautów« w Czechach, istniejąca od wiosny 1911. Twórcą i dyrektorem jest inż. Franciszek Hofmeister, który postanowił sobie propagować »zdrowy amerykanizm«. W lutym 1911. ogłosił na ten temat artykuł w *Národnim Obzoru.* »Wyraz »skaut« był wówczas nieznany jeszcze szerszej publiczności i dlatego nie użyłem go odrazu, ze względów taktycznych, lecz oznaczyłem kolonię tylko wyrazem »amerykańska«, gdyż o amerykańskiem wychowaniu pisano u nas częściej i więcej i wyrażenie to ogółowi jest znajomsze«. Początki, opowiada dalej sam p. Hofmeister w organie kolonii, jakim jest *Věstnik americké kolonie pro mládež v Rožmitale* (w Nrze z listopada 1912):

»Jako najstosowniejszą okolicę dla tej kolonii wybrałem cichy Rožmital, nadający się najbardziej dla przedsięwzięcia tego rodzaju swemi głębokimi a rozległymi jarami, licznymi stawami zarybionymi, nader zdrowem powietrzem górskiem (wzniesienie 500—900 m. ponad poziom morza), prześlicznymi widokami, a zwłaszcza pamiątkowym Třemšinem, z którego jest najpiękniejszy widok w Czechach. Zrzekłszy się stanowiska publicznego, poświęciłem się zupełnie tej myśli. Nająwszy stosowny na ten cel dom, oczekiwałem pierwszych kolonistów. W maju 1911. przybyli dwaj, z początkiem czerwca trzeci, a na wakacye 12, tak, że razem było kolonistów 15 (13 chłopców i dwie dziewczęta), ilość — jak na początek — wcale dobra. Do nich przyłączyło się nieco miejscowych chłopców i dziewcząt. Wiek ich: jeden 6-letni, trzech 9-letnich, dwóch 10-letnich, czterech 11-letnich, trzech 13-letnich i dwóch 14-letnich. Pochodziło 13 z Czech, 1 z Moraw, 1 z Węgier, narodowości wszyscy czeskiej, jeden ewangelik, reszta katolików.

»Zupełnie zdrowych przybyło do kolonii pięciu. Reszta miała dolegliwości: jeden chorobę żołądkową, jeden newrozę, ośmiu niedokrewność, jeden ogólne osłabienie fizyczne, dwóch polipy w nosie, trzech było duchowo apatycznych — a wszyscy razem zgrymaszeni. Materyał nie bardzo do skautyzmu sposobny!«

Ale zabrawszy się z takim materyałem do roboty, miało się na nim tem dosadniejszy probierz metody »kolonii«. Żyło się niemal wyłącznie sub Jove, lecz nie próżnując. Koloniści musieli sami urządzić mieszkanie, sami prowadzić gospodarstwo (załatwiać kupna,

nawet kuchenne) i rachunki, załatwiać roboty administracyjne (pocztę, przekazy, czeki, pakunki) itp. Podczas pochodów i wycieczek uczą się nauk przyrodniczych, fizyki, chemii, geografii. Z rana po śniadaniu wykład lub lektura, najczęściej z żywotów sławnych mężów. Nieco grosza (»kieszonkowego«) musi każdy zarobić sobie, np. sprzedawaniem widokówek, owoców itp. Wybierają z pośród siebie naczelnika i sekretarzy, którzy mają swe teki: sprawy wewnętrzne, zewnętrzne, finanse, sprawiedliwość, oświata i roboty publiczne. W miarę rozrostu kolonii powstała Rada administracyjna, trybunał i wreszcie sejm walny. Mają biblioteczkę, czytelnię, kapelę (naukę muzyki i śpiewu).

Wyniki co do stanu zdrowotnego i usposobienia duchowego młodzieży były zaraz pierwszego lata tak znakomite, że rodzice sami prosili, żeby kolonię urządzić na całoroczną — pozostawili dziatwę młodszą na zimę. Brak szkół średnich w Rożmitalu kładł kolonii poza wakacyami granicę wieku młodzieży.

Miłem było zaufanie rodziców, lecz niemiłem mylne zapatrywanie się ogółu na istotę »kolonii«. Na pierwszą zimę otrzymał inż. Hofmeister »materyał« tego rodzaju, iż widocznem było, że rodzice uważają »kolonię« za nowy, udoskonalony rodzaj domu poprawczego dla młodzieży zepsutej, a przynajmniej grubo narowistej. Charaktery poprawia kolonia, jestto nawet jej zadaniem pierwszorzędnem, ale nie w tem znaczeniu, żeby miała zaczynać od rzeczy elementarnych! Toteż pomimo największego zapału i najświętszej cierpliwości trzeba było trzech wypędzić jeszcze przed Bożem Narodzeniem, bo trzebaby zmienić zupełnie cały ustrój kolonii, chcąc robić to, co przy nich byłoby właściwem.

W lutym 1912. trzeba było donająć z powodu napływu kolonistów drugi dom z wielkiem obejściem i ogrodami; młodzież i ten dom sama urządziła i naprawiła, ogrody uprawiła. Niebawem urządzono przy kolonii stacyę meteorologiczną hydrograficznego biura krajowego w Pradze.

Zaprowadzono już i w zimie »obozowanie« sub Jove. Koloniści ćwiczyli się przytem poznawać ślady rozmaitych zwierząt i ptaków na śniegu, zgadywać od oka odległości i t. p. Przez całą zimę nikt nietylko nie chorował, ale ani nawet nie słabował. Do ślizgawki mają cztery stawy w Rożmitalu, z których jeden ma obszaru 30 morgów.

Z wiosną 1912. okazała się potrzeba wynajęcia trzeciego domu, żeby dziewczęta, napływające już w większej liczbie, miały osobny.

W r. 1912. było na lato 82 kolonistów, z czego 66 chłopców, a 16 dziewcząt, w wieku najrozmaitszym, od piątego roku życia do dwudziestego. Wśród kolonistów było 6 Niemców, a 1 żyd. Przeszło 40 zgłoszeń nie można było przyjąć dla braku pomieszczenia.

Na rok 1913. wydano udziały po 20 K, procentujące się w stosunku 4%; zachodzi bowiem potrzeba wystawienia całego szeregu własnych budynków. Inż. Hofmeister, zasłużony założyciel i niestrudzony kierownik kolonii, ma już dziś koło siebie grono instruktorów do pomocy; dąży zaś do tego, żeby w zakładzie swym posiadać gimnazyum.

Inż. Hofmeister pragnąłby mieć u siebie młodzież rozmaitych narodowości słowiańskich, ażeby zakład jego był również krzewicielem wzajemnego poznania się i opartych na tem wzajemnych sympatyj słowiańskich. Szczególniej — jak sam powiada — pragnąłby powitać u siebie polskich skautów.

Na razie lepiej jednak, że to będzie jeszcze odłożone, a mianowicie do czasu, kiedy p. Hofmeister przestanie wychowanków swych nazywać pieszczotliwie »skautami-kozaczkami« i urządzać im »kozackie obozy«. Byłaby bardzo przykrą scena, gdy polski skaut obraziłby się i dałby wyraz swemu oburzeniu, że go ktoś śmie porównywać z... kozactwem!! Inż. Hofmeister nie ma widocznie pojęcia o tem, czem są kozacy w wojsku rosyjskiem, bo inaczej uważałby za wielkie ubliżenie sobie i swej młodzieży wszelką alluzyę do »kozactwa«, które jest biegunem wprost przeciwnym jego haseł:

»k r á s a, p r a v d a, d o b r o«. Te trzy ideały nie u kozactwa chyba mają swe trony?!

Szczególna sprzedaż dóbr uniwersytetu. Na posiedzeniu Rady miejskiej praskiej z początkiem lipca opowiedział rajca Š t ĕ p a n e k co następuje:

»W r. 1438. ofiarował mieszczanin praski, R e č e k z L e d e c, dobra ziemskie w Michli na wieczne czasy na fundacyę specyalnego collegium w uniwersytecie praskim. Nie należy tu na razie do rzeczy, co się działo z dobrami fundacyjnemi w ciągu stuleci. W ostatnich latach dzierżawcą fundacyjnego majątku (browar z obszarem ziemskim i z budynkami) był p. P i c k za rocznym czynszem 18.000 K. Sprawdzono, że c. k. fundusz uniwersytecki umieścił w samych przebudowach budynków majątku fundacyjnego kwotę 100.000 K. Również nie da się zaprzeczyć, że sam browar tylko, jak jest obecnie urządzony kosztem funduszu uniwersyteckiego za dzierżawy p. Picka, przedstawia wartość według samej tylko ilości wywarzonego piwa przynajmniej ćwierć miliona K. Ale do browaru tego należą jeszcze dwa budynki, a mianowicie tak zwana Kovarna i dom, zwany »W ohradě«. Prócz tych budynków obejmuje majątek jeszcze 14.000 sążni kwadratowych parcel w najpiękniejszem położeniu Michli. Grunta te były regulowane i tworzą w parcelacyi trzy bloki budowlane. — Cały ten majątek kupił w tym roku w marcu od c. k. funduszu uniwersyteckiego dotychczasowy dzierżawca p. Pick za cenę — 188.000 K! Zważywszy, że sam browar przewyższa wartością cenę tę w dwójnasób, okazuje się, że p. Pick dostał 14.000 sążni kw. parcel i dwa domy zupełnie za darmo. Sprawa jest tak krzycząca, iż bez przesady powiedzieć można, że albo ma się tu do czynienia z publiczną korrupcyą, albo z grzesznem niedbalstwem zarządu funduszu uniwersyteckiego. Nikt nie uważał za wskazane, żeby przed sprzedażą choćby zajrzeć do gminy michelskiej, co to za grunty i t. d. Faktem jest, że gmina praska kilka razy wnosiła podanie do c. k. namiestnictwa, ubiegając się o ten majątek fundacyjny, mając zamiar użyć go do celów gminnych humanitarnych. Ciekawa też to rzecz, że w październiku 1912. r., kiedy z ministerstwa nadeszło zezwolenie na sprzedaż z Pragi proponowaną, bezpośrednio przed tem zezwoleniem odpowiedziano gminie praskiej, że »na razie nic z majątku michelskiego nie będzie się odsprzedawać«. Gmina praska odpowiedziała na to załatwienie, że pomimo to pozostaje przy swej propozycyi i uprasza, żeby w razie, gdyby jednak decydowano się na sprzedaż, wejść ponownie w układy z gminą praską i żeby dać jej pierwszeństwo przed ofertą prywatną. Bez względu na oferty i podania gminy praskiej sprzedano wydzierżawiany majątek w marcu za cenę 188.000 K p. Pickowi, a więc osobie prywatnej. Ponieważ marnotrawi się tu grzesznie grosz funduszu uniwersyteckiego, nie może to być obojętnem miastu Pradze. Należy więc koniecznie zebrać wszystkie dane, tyczące się tej kwestyi i przedstawić wprost namiestnikowi królestwa czeskiego, ks. T h u n o w i, co do którego osoby ma się pewność, że nie ścierpiałby, żeby za jego rządów rzucano lekkomyślnie setkami tysięcy z fundacyj praskiego uniwersytetu«.

Komentarz zbyteczny. Dla wyjaśnienia co do specyalnego collegium fundacyi R e č k a z L e d e c dodajemy, że fundacya tyczyła się uczniów »języka czeskiego«, a komunikujących sub utraque.

Czesi w Rosyi. Ilu ich jest, niewiadomo napewno; nawet na Wołyniu, gdzie najgęściej siedzą, ilość ich z pomocą statystycznych metod i środków państwa rosyjskiego — niedocieczona, podawana w cyfrach wahających się znacznie, bo pomiędzy 50. a 70.000. Po odebraniu im autonomii gminnej i kościelnej przepadli Czesi wołyńscy, chociaż zwartą osiedli masą i zamożni, dla ogólnego życia czeskiego. W stowarzyszeniach organizować się nie mogli, bo nie wolno było.

Dopiero po ogłoszeniu konstytucyi popróbowano wydawać wła-

sny organ. Pierwszą próbę zrobił Dr V o n d r á k, wydając w Kijowie *Ruskeho Čecha,* który nie zaciekawił wcale jego rodaków i musiał przestać wychodzić. Starsze pokolenie osadników wołyńskich, które jeszcze w Czechach uczęszczało do szkół, odzwyczajało się w państwie rosyjskiem stopniowo od czytania, młodsze zaś pokolenie, wychowane w szkole rosyjskiej, bardzo często nie umiało wogóle czytać abecadłem łacińskiem. Zdarza się często, że czeski parobczak, służący w wojsku rosyjskiem (zwykle w kapeli wojskowej) pisze do domu listy po czesku wprawdzie, lecz abecadłem rosyjskiem.

Przed trzema laty druga próba. Dr Š v i h o v s k ý zakłada w Kijowie tygodnik: p. n. *Čechoslovan*. Przez pierwsze dwa lata przepchano go, dzięki ofiarności grona osób, które zawiązały w tym celu spółkę. Po dwóch latach spółka rozwiązała się i pismu groził upadek, gdy wtem wojna bałkańska wzbudziła czytelnictwo wśród kolonistów czeskich; chcieli wiedzieć, co się na wojnie dzieje, chcieli illustracyj i tak się zapisywali na prenumeratorów, że można wydawać *Čechoslovana* dwa razy na tydzień.

O udziale Czechów wołyńskich w wyborach 1911 r. i jak rozgniewali na się »istinnych«, donosiliśmy w swoim czasie.

Związek z macierzą słabieje, podróż do Czech należy do rzadkości, bo trudno o paszport; trzeba stracić kilka tygodni czasu na jazdy po rozmaitych »naczalstwach«, a płacić i płacić przy tem bez ustanku, tak, że paszport kosztuje faktycznie więcej, niż cała podróż do Pragi.

Na ognisko czeskiego ruchu zamienia się powoli K i j ó w. Jest tam czeska szkoła prywatna, gazeta czeska, hotel, kawiarnia, piwiarnie czeskie, urządza się zaś czeską księgarnię i drukarnię.

Słowacka kronika.

Morawska Słowaczyzna. Jak wiadomo, znaczna część Moraw wschodnich i wschodnio-południowych jest etnograficznie słowacką — chociaż narodowo, dzięki tradycyom, stosunkom i szkole — czeską. Słowacy morawscy dzielą się na trzy gałęzie: Słowaków właściwych, którzy sami zowią się »Slováci«, na przechodnich Dolaków i Walachów. Między całą tą morawską Słowaczyzną a sąsiednią węgierską różnice są tak małe, że nawet mniejsze, niż pomiędzy rozmaitemi częściami węgierskiej, np. między okolicą Preszburka a Liptowem, a tem bardziej pomiędzy Turczaninem a Saryszaninem.

Liczbę morawskich Słowaków obliczano na 80 — 100.000. Były to obliczenia na chybił-trafił. Obecnie można oznaczyć tę ilość dokładniej:

Słynny dyalektolog morawski Fr. B a r t o š zajmował się od lat bliżej tą ludnością Słowaków i Dolaków. Siedziby ich w czterech starostwach, czyli powiatach »politycznych«: H o d o n i n (powiaty sądowe: Břeclava, Hodonin, Strażnica), U h e r s k é H r a d i š t ě (sądowe powiaty: Napajedl, Uh. Ostroh i Uh. Hradiště), U h e r s k ý B r o d (sąd. p.: Bojkovice, Uh. Brod i Valašské Klobouky), K y j o v (p. sąd: Kyjov i Zdánice). Walachowie zaś zamieszkują starostwa V a l a š k é M e z í ř i č i (powiaty sądowe Rožnov i Val. Meziříčí), V s e t i n (w powiecie sądowym tylko Vsetinskim) i H o l e š o v (pow. sądowe Vizovice i Bystrica).

Wałasi, to góralę, genezy, w znacznym przynajmniej stopniu, rumuńskiej. Świadczy o tem rumuńskie pochodzenie terminologii góralsko-pasterskiej:

b a č a, v a l a c h, k o l i b a, s t r u n g a, v a t r a, g r u ň, u r d a i t. d. Sporo pracy naukowej czeka tu na polskiego f i l o l o g a, któryby zestawił to narzecze z podhalańskiem.

Dalej na południe krainy równe i urodzajne, zdatne nietylko pod lepsze ziarno, ale też pod winną latorośl, podobnie jak sąsiednie Preszburskie. Od Strażnicy aż po Stary Hrozenkov jest 18 »horniackich« wsi z wielką ilością »kopanic«, zamieszkałych przez wychodźców ze Słowaczyzny węgierskiej. Nazywają ich »k e d i a k a m i«, bo zamiast »k d y ž« (gdy, kiedy), mówią: »k e d«.

Wymienionych powyżej 11 powiatów sądowych stanowią tery-

toryum czysto słowackie. Tylko w samych miastach Hodonin, Břeclava, Kyjov są znaczniejsze mniejszości niemieckie (właściwie żydowsko-niemieckie); największa w Hodoninie, 12%. W obwodzie miejskim Uh.-Hradišta jest 400 Niemców. Nieliczni są też Czesi właściwi; trochę tylko urzędników, pochodzących z krain etnograficznie czeskich.

Według statystyki z r. 1910 było ludności w wymienionych powiatach sądowych — starostw:

Hodonin	93.634
Uh. Hradiště . .	112.189
Uh. Brod	77.189
Kyjov	54.650
Valaš. Meziříčí . .	50.070
Vsetin	37.741
Holešov	45.413

razem 470.886, z czego w powiatach wałaskich 133.224, we właściwych zaś słowackich i dolańskich — 337.662. Od tego należy odjąć około 14.000 Niemców. Pozostanie na Słowaków, Dolaków i Wałachów przynajmniej 456.000, a zatem czwarta część całej słowiańskiej ludności Moraw. Jest więc na Morawach Słowaków niemal tyleż, ile w komitatach Słowaczyzny środkowej węgierskiej (komitaty Liptów, Orawa, Turiec, Hont, Zwoleń, Gemer, Nowohrad).

W niektórych okolicach sięgnęła ludność słowacka jeszcze głębiej na Morawy, pomiędzy czeskie ludy Hanaków i Horaków; na południu sięga żywioł słowacki do Dołnych Rakuz (np. głośna gmina Poštorna właściwie nie jest czeską, lecz słowacką).

»Ciekawy fakt: 80 czy sto tysięcy Polaków w Trenczyńskiem Górnem na Orawie i t. d. uważa się według powszechnych wyobrażeń bardziej za Słowaków, niż rzeczywistych Słowaków, sąsiadów naszych na Morawach«.

»I w kulturalnym zakresie zwęża się pojęcie Słowaczyzny. Z pośród 6—7.000 pieśni morawskich, ogłoszonych dotychczas drukiem, jest na pewno połowa słowackich; ze słynnych ballad, których (według Bartoša) jest spisanych około 380, jest 240 słowackich, a niektóre tak znakomite, że można je równać ze szkockiemi... Dowód, że pojmowanie problemu narodowościowego u nas ma wprawdzie etykietę językową i plemienną, lecz w rzeczywistości kryją się pod nim ciasne aspiracye terrytoryalne, odziedziczone z tradycyj szlachecko-ziemiańskich i konstruowane z dążeń partykularystycznych«.

Slovenský Denník N. 66.

Z czasów czeskich gimnazyum w Lewoczy. W praskim miesięczniku *Osvěta* wychodzą niesłychanie zajmujące pamiętniki profesora katolickiego gimnazyum w Lewoczy (za ery Bacha, 1849—1859) Jana Javurka: »Paměti ze života mého, sepsané v 82. roce věku mého«.

Młodzież w szkołach Lewoczy była silnie madiarońską. Myliłby się, ktoby sądził, że wprowadzenie języka »literackiego« słowackiego, zwanego oficyalnie »česko-slovenčiną«, a będącego poprostu czeszczyzną, odpowiadało pragnieniom tych sfer ludności, które posyłały synów do gimnazyów. Bynajmniej! Z pamiętników Javurka widzimy, że nietylko nikt nie okazywał zapału do »posłowieńczenia« gimnazyum, ale przeciwnie: inteligencya okoliczna, drobna szlachta (zemane), a nawet mieszczaństwo wołało madiarszczyznę. Język czeski (względnie słowacki) został gimnazyom na Słowaczyźnie narzucony przez rząd Bacha, bo Wiedeń pragnął wzmocnić narodowość słowacką przeciw Madiarom, których powstanie dopiero-co zgnieciono z pomocą Rosyi. Bez przesady można powiedzieć, że chciano Słowakom narzucić patryotyzm słowacki. Oto czytamy w pamiętnikach Javurka, jak mieszczaństwo niechętnie przyjmuje nasłanych z Czech profesorów, a uczniowie witają profesora, mającego ich uczyć języka ojczystego, świstaniem, tupaniem, okrzykami: »nem tudom« i »eljen Kossuth!«

Prócz madiarońswa był jednak i inny powód opozycyi. Gimnazyum należało do zakonu Praemonstrantów; zesłowiańszczenie go było zarazem zeświecczeniem — inde irae. Nowi profesorowie wprowadzali nowy system pedagogiczny i inny obyczaj szkolny. Kiedy Javurek dał »dwójkę« na końcu

roku synowi wiejskiego szlachcica, ojciec wpadł do szkoły i z zaciśniętemi pięściami wołał, że go spotkała zuchwała obraza: »Czy Pan wiesz, że przodkowie moi przyszli na Węgry razem z Arpadem? Od tego czasu nie doznał ród mój takiej urazy, jak teraz! Taka hańba — mój syn wśród ostatnich uczniów!« Wszelkie wyjaśnienia nie zdały się na nic; w Lewoczy było widocznie dawne prawo zwyczajowe, mocą którego synowie okolicznej szlachty nie mogli dostawać »dwójek«. Niezadowolenie naczelnej warstwy społeczeństwa łączyło się z niezadowoleniem czterech profesorów zakonników, a rezultat wspólnych nad innowacyami rządu rozmyślań był taki, że nowi profesorowie są widocznie... demokratami, skoro tacy zawzięci na szlacheckich synów, a zarazem husytami, bo podobno klękają w kościele tylko na jedno kolano, a wchodząc nie żegnają się w babińcu święconą wodą. Obrona tedy zagrożonego porządku społecznego łączyła się z obroną religii — przeciw świeckim przybyszom. Jakżeż można było ścierpieć, że w gimnazyum katolickiem został »premiantem« pewnego razu protestant, a stypendyum dostał — syn szewca!

Nowa pedagogia zyskiwała atoli uznanie mieszczaństwa i samychże uczniów, t. j. tych, którzy pragnęli się czegoś nauczyć. Po krótkim czasie młodzież uczyła się czeszczyzny z nadzwyczajną pilnością (nauka madiarskiego była tylko nadobowiązkową), a nie brakło też profesorom czeskim uznania objektywnego ze strony władzy. Ówczesny gubernator koszycki (następnie namiestnik w Czechach) hr. Forgach, oświadczył po kilkudniowej inspekcyi gimnazyum:

»Nie mogłem się pogodzić z tem, że przysłano tu z Czech profesorów, żeby uczyli naszą młodzież. Ale to, o czem tu przekonałem się, było dla mnie wielką niespodzianką; to bowiem, co uczniowie wykazywali w odpowiedziach swych nawet w najniższych klasach, tego ja nie umiałem ani w najwyższych. Pragnę, żeby Panowie nadal tak postępowali«.

Ta pochwała mogła cieszyć i być zachętą. Nie bardzo rzeczową natomiast pochwałę i aż nazbyt szczere odkrycie istotnego celu zmian w szkolnictwie na Słowaczyźnie, włożono niezręcznie w usta królewskie. Kiedy młody król zwiedzał po raz pierwszy Węgry, zabawił też w Lewoczy, gdzie odezwał się do profesorów w te słowa:

»Wiadomo mi dobrze, że wśród młodzieży madiarskiej panuje zły duch; usiłujcież go wykorzenić i polegajcie przy tem na jak najskuteczniejszem poparciu z mej strony«.

Ale niedługo był Javurek profesorem w Lewoczy. Skoro tylko zanosiło się na »ustawy Deáka«, odwołano z Węgier wszystkich obcych urzędników i dziwem tylko jakimś pozostawiono profesorów z Czech jeszcze całe dwa lata. Ale »czasy« zmieniły się nagle. Żupan komitatu spiskiego, Csaky (późniejszy prezydent ministrów, a miał syna w gimnazyum w Lewoczy) wydał rozporządzenie, że »język słowiański ma zaraz zniknąć«, a profesorowie czescy uczyli pomimo to po dawnemu. Po kilku miesiącach odwołano dwóch, ale Javurka zostawiono, udzielając mu z Wiednia wskazówki (»wink«), żeby przeczekał kilka miesięcy. Ostatecznie odwołano i jego.

Warto przytoczyć, co Javurek opowiada o okolicznościach towarzyszących jego wyjazdowi, bo ilustrują one wyraziście stosunki ówczesnej administracyi.

Miał więc »przeczekać« jeszcze w Lewoczy kilka miesięcy. Właścicielka domu, w którym mieszkał, chciała jednak, żeby się zobowiązał do wynajmu na cały rok. Kiedy tego odmówił, pozwała go przed sąd miejscowy. Urzędnicy podlegali atoli sądowi wojennemu, toteż profesor, chociaż skazany na grzywnę 10 złr., nie płacił, a o całej sprawie doniósł komendzie wojskowej. Przyszedł hajduk (pachołek komitatowy) — Javurek wyrzucił go za drzwi. Przyszła potem cała komisya i zaczęła sekwestrować, gdy w tem na doniesienie Javurka nadeszła patrol wojskowa i całą komisyę przyaresztowała... Tak plątały się jeszcze porządki stanu wyjątkowego z porządkami autonomii komitatowej.

Kiedy wreszcie Javurek odwołany gotował się w drogę, zabrakło pieniędzy w urzędzie podatkowym, Szczęściem żydek trafikant pożyczył c. k. władzy, ile było trzeba. Javurek wziąwszy pensyę przez łaskawe pośrednictwo odwiecznych faktorów państw i królów, wybrał się w drogę do Pragi, gdzie został profesorem na słynnem gimnazyum akademickiem.

Na krótki więc czas weszła czeszczyzna na Słowaczyźnie pomiędzy młot a kowadło, pomiędzy zgnębiony chwilowo ruch konstytucyjny a »stan wyjątkowy«, który chciał jej użyć za narzędzie — w tym wypadku zawodne jednak.

Fundacya Repcsika Janosa. Inspektor szkolny, Jan Repčik, renegat słowacki, który zmadiaryzował się na Repcsika Janosa, poświęcił madiaryzacyi pracę i oszczędności całego życia, zapisując 200.000 K na fundusz, z którego procentów ma się udzielać nagród nauczycielom, najgorliwszym do madiaryzowania gmin w komitatach nitrańskim, tekowskim, hontańskim i nowohradzkim — a więc wzdłuż pogranicza językowego. Fundusz oddał do zawiadywania osławionemu stowarzyszeniu madiaryzacyjnemu t. zw. »Femce«, poruczając mu też ułożenie aktu fundacyjnego, który ogłoszony został po jego śmierci w *Néptanitok Lape,* Nr 42 z r. 1912. Zaleca się w tym akcie zwracać uwagę na pograniczu językowem na takie gminy, w których da się użyć ksiądz, na którego należy wpływać przez biskupa, żupana, podżupana. Należy uprosić biskupa, prałata, opata, kanonika, magnata, szlachcica, administratora dóbr, czy kogokolwiek wybitniejszego, siedzącego na wsi lub w sąsiedztwie, duchowną czy świecką osobę, żeby się zajęli jakąś szkołą w swych dobrach lub w zakresie swego wpływu i żeby tę szkołę odwiedzali, bawiąc się niejako w inspektorów z patryotyzmu. Upatrzony nauczyciel ma się oświadczyć, czy się podejmuje odznaczyć się gorliwością w madiaryzowaniu gminy (biada mu, jeżeli się nie podejmie!) Ma nauczać języka madiarskiego poza godzinami szkolnemi, godzinę tylko dziennie, ale przez dziewięć lat, za co otrzymywać będzie po 200 K rocznie, z prawem do trienniów po 20 K i do premii na końcu dziewięciolecia w kwocie 200 K. — Właśnie niedawno wypłacono po raz pierwszy »pensyę« szesnastu nauczycielom.

»Omne« t. j. O(rszágos) M(agyar) N(épmüvelördési) E(gyesület), co znaczy: »Krajowe, madiarskie stowarzyszenie oświaty ludowej« powstało celem zaprawienia młodzieży szkolnej do walki z narodowościami niemadiarskiemi. Składa się ono z profesorów i uczniów, do zarządu należą jedni i drudzy — a więc jest organizacyą uczniów szkół średnich, dokonaną przez profesorów i przez nich kierowaną, a to na zlecenie rządu. Honorowym prezesem jest minister oświaty, Dr Bela Jankovich (jak świadczy nazwisko, pochodzenia chorwackiego), urzędującym prezesem Eugen Rakosi (izraelita), redaktor osławionego *Budapesti Hirlapu.* Celem stowarzyszenia zapobiedz, »żeby zaraza panslawistyczna nie mogła się szerzyć i żeby nie można było uprawiać żadnych agitacyj przeciw państwu«... w szkołach średnich! Pomiędzy środkami był i taki:

»Jeżeli który z członków, przebywający na prowincyi wśród narodowości (niemadiarskich) dostrzeże jakikolwiek ruch podejrzany, ma o tem niezwłocznie zawiadomić zarząd stowarzyszenia, żeby poczynić odpowiednie kroki«.

Brzmienie tego paragrafu wywołało na walnem zebraniu obrzydzenie nawet wśród szowinistów i odrzucono go na wniosek profesora z Debreczyna, Bibó-Bige; bronił zaś tej obrzydliwości redaktor Rakosi. Faktycznie i tak będzie szpiegostwo w szkołach, bo młodzi szowiniści, powołani przez ministerstwo oświaty do zwalczania »panslawizmu«, będą chcieli na wyścigi zdobyć sobie »zasługi« (przychlebić się profesorom) i będą ścigać każdą książkę słowacką, śledzić każdy krok słowackiego kolegi.

Nazywa się ta ministeryalna organizacya donosicielstwa wśród szkolnych żaków stowarzyszeniem »o-

światy ludowej«, bo każdy członek ma mieć przynajmniej raz do roku odczyt dla »szerzenia oświaty wśród ludu«. Wśród ludu niemadiarskiego ma być tematem odczytu »kultura madiarska«, a wśród madiarskiego »niebezpieczeństwo agitacyi antypaństwowej i antynarodowej«.

Warunek przyjęcia do szkoły. Do jednej z górnowęgierskich »preparandyj« nauczycielskich zgłosił się kandydat, wnoszący na piśmie podanie o przyjęcie. *Slovenský Dennik* przytacza w Nrze 137. następujący wyjątek z odpowiedzi Dyrekcyi:

»Sądząc z nazwiska i miejsca urodzenia, widzę, że kandydat Słowak. Dlatego upraszam o przysłanie mi rewersu, podpisanego przez kandydata i jego rodziców, w którym kandydat oświadczy, że czuje się być dobrym Madiarem z całego serca i całej duszy«.

Co prawda, to prawda, na pomysł rewersów tego rodzaju nie wpadli jeszcze ani Prusacy, ani Moskale.

Madiarski spis ludności. Miesięcznik *Prudy*, »przegląd młodej Słowaczyzny« podał w artykule Jana Pariški p. t. »Uryvky ze štatistiky« ciekawy a ważny przyczynek do madiarskiej statystyki ludności. W roku 1900. naliczono w Budapeszcie 25.168 Słowaków, a w r. 1910 już tylko 20.359, w ciągu dziesięciu lat wynosiłby tedy ubytek 4809 dusz, t. j. niemal 20%. Nie można wprawdzie zaprzeczyć, że Słowacy stosunkowo szybko madiaryzują się w stolicy. Węgier, i to szybciej tacy, którzy przechodzili przez szkołę średnią, od prostych robotników. Co jednak tracą Słowacy przez wynarodowienie, nadrabia z przyczynkiem ciągła, a coraz liczniejsza immigracya. O tem świadczy dokładnie statystyka pochodzenia ludności budapeszteńskiej. Oto doliczono się aż 100.721 osób, pochodzących z 18 komitatów górnowęgierskich, z takich, w których Słowacy stanowią większość, lub gdzie tworzą przynajmniej znaczne a zwartą masą osiadłe mniejszości. Uwzględniwszy dokładnie stosunek ludności Słowaków do ogółu zaludnienia owych 18 komitatów, otrzymamy, że należy liczyć w Budapeszcie przynajmniej 58.048 Słowaków. Ilość osób, których językiem ojczystym był słowacki, jest stanowczo niemal trzy razy większa, niż urzędowa statystyka Słowaków; zdradza to i wykazuje dowodnie statystyka według miejsc urodzenia prowadzona. Gdyby zaś doliczyć jeszcze tych Słowaków, którzy rodzili się w Budapeszcie z rodziców słowackich — przynajmniej 10—12000, otrzymalibyśmy imponującą cyfrę 70 tysięcy żyjących w węgierskiej stolicy Słowaków. A jest to cyfra w odniesieniu tylko do ludności stałej; spis ludności bowiem odbywa się w środku zimy, kiedy immigracya słowacka sezonowa (murarze, ogrodnicy itd.) dawno już powróciła do swych domów na Słowaczyźnie.

Ruinę materyalną sprowadził na Słowaków upadek banku P. Rovnianka w Pittsburgu w Stanach Zjednoczonych. Był to Słowak, eksskleryk, który w Ameryce dorobił się na pośrednictwie pieniężnem, następnie na bankierstwie, ogromnej fortuny. Będąc już panem milionowym, dał się opanować żądzy złota i zaczął miliony swe mnożyć nieuczciwemi sposobami. Już przed dwoma laty firma jego stała się niewypłacalną, przyczem przepadły drobne a krwawe oszczędności tysięcy i tysięcy słowackiego ludu roboczego, składane u »króla słowackiego«, jak zwano Rovnianka; dalsze, a dla sprawy publicznej niezmiernie dotkliwe następstwa tego bankructwa okazały się dopiero teraz. W Ameryce zamknięto dwa pisma słowackie: *Amerikansko-Slovenske Noviny i Slovensky Dennik.* A co najgorsza, Rovnianek pociągnął za sobą kryzys najstarszego i największego do niedawna banku na Słowaczyźnie p. f. »Tatra«, który udzielał Rovniankovi kredytu. Dług ten wynosi 1,300.000 K — i przenosi siły »Tatry«, w której gospodarka bywała i tak dyletancka.

Słowieńska kronika.

Teatr w Lublanie zagrożony. Słowieńską scenę w Lublanie utrzymuje się na wzór czeski za pomocą osobnego w tym celi stowarzyszenia: Slovensko drama-

tično društvo, którego prezesem prof. Reisner. Interesy Towarzystwa poszły tak źle, że z dniem 1. czerwca wstrzymano wypłatę gaż aktorom i zwolniono ich od kontraktu na rok przyszły. Subwencya stosunkowo znaczna, 32.000 K, okazała się niedostateczną, a do starych długów przybywały nowe, i — jak to mówią — łatało się łaty łatami. Postanowiono poszukać łaty nowej w przedstawieniach kinematograficznych — ale władza zakazała ich po krótkim czasie ze względu na moralność publiczną. Trochę filmy były może zbyt »pociągające«, a trochę może oddziałała ta okoliczność, że teatr w ręku innego stronnictwa, niż władza? W zasadzie jednak nie powinno być w teatrze żadnych a żadnych »kino«; co do tego, nie może nawet być dwóch zdań. Miejmy otuchę, że zakazano tego środka sanacyjnego nie dla dobicia sceny, lecz dla wydobycia jej ze złych stosunków i że ci, którzy mają władzę, sami zajmą się sanacyą nie na jeden tylko sezon, lecz gruntowną.

Chorwacka kronika.

Nowe szkoły madiarskie. Korzystając z dobrej sposobności »cuvajady«, założono w Chorwacyi kilka madiarskich szkół ludowych, na które królewski komisarz chętnie dał zezwolenie. W czerwcu zarząd kolei żelaznych przedstawił wicekomisarzowi Unkelhäusserowi wniosek o założenie dwóch madiarskich szkół wydziałowych, w Zagrzebiu i w Osieku. Zagrzebska Rada miejska wniosła protest, który nie zda się oczywiście na nic.

Przynależność Dalmacyi stała się znowu aktualnością prawniczą z powodu rozwiązania rad miejskich w Splicie i Šibeniku. Losy Dalmacyi — to wielki płat historyi powszechnej, bo tu zawsze schodził się Wschód z Zachodem. Kolonizacya grecka, rzymskie panowanie, najazdy awarskie, ponowne wreszcie w VII. wieku po Chrystusie osadnictwo słowiańskie, przynależność do król. chorwackiego i wraz z niem unia personalna z Węgrami od r. 1102. — oto główne wytyczne starych dziejów Dalmacyi. Faktycznie nigdy tu królowie węgierscy nie władali; natomiast popadał kraj w coraz większą zależność od Wenecyi, aż i formalnie przeszedł pod jej panowanie, co trwało do r. 1797., kiedy to Napoleon strącił ostatniego dożę weneckiego. W czerwcu tegoż roku obsadzili Habsburgowie Dalmacyę, a Napoleon przyjął to do wiadomości w pokoju w Campo Formio tegoż roku zawartym. Po bitwie pod Sławkowem (Austerlitz) przeszła jednak Dalmacya pod rządy francuskie. Od r. 1814. należy kraj stale do Austryi, Dubrownik od r. 1815., a Spič (Špizza) dopiero od kongresu berlińskiego w r. 1878., zajęty faktycznie w kwietniu 1879.

Aż do r. 1861. rządzona była Dalmacya po wojskowemu. Patent z 26. lutego 1861. nadał jej autonomię.

W r. 1867. nastała kwestya, czy Dalmacya jest »przed« czy »za Litawą«. Artykuł XXX. ugody łączy Dalmacyę wyraźnie z Węgrami, Chorwacyą i Slawonią; przysięgę koronacyjną składał też wówczas król »węgierski, chorwacki, slawoński, dalmacki«, a obejmuje ona również zobowiązanie utrzymania w nierozdzielności Węgier i wszystkich ziem okolicznych. Wypisano też w dalszych artykułach »ugody«, co Dalmacya ma prawnie i administracyjnie wspólnego z Węgrami. Podobnież chorwacki Zbiór ustaw; w artykule II. z r. 1869. mowa jest wyraźnie o »rządzie krajowym chorwacko - slawońsko - dalmatyńskim«. Niemniej przeto Dalmacya nie należała ani na chwilę do Korony śgo. Szczepana. Madiarzy nie upominają się o to, bo byłoby to wzmożeniem królestwa chorwackiego.

Nigdzie nie ma tryalizm zwolenników gorliwszych, jak w Dalmacyi.

Język madiarski w sądach Rjeki. Jak wiadomo z dzienników, Madiarzy zaczynają zabierać się do Włochów rjeckich, jakkolwiek tych trudno podejrzywać o »panslawizm«. Zaprowadzenie w Rjece madiarskiej policyi, t. zw. »straży granicznej«, jest tylko początkiem sprawy. Doszło do wiadomości publicznej w Rjece, że w tece rządowej spo-

czywa i czeka tylko sposobnej chwili, żeby wyjść na światło dzienne, kompletny zbiór przepisów o wprowadzeniu języka madiarskiego, jako urzędowego, w król. trybunale i król. preturze w Rjece. Dziennik włoski rjecki podał nawet numer urzędowy aktu i nazwisko referenta.

Chorwackie pisma zwracają uwagę, że żadna zmiana istniejących przepisów nie może być w Rjece dokonaną prawnie bez współdziałania instancyj chorwackich. Rzecz ma się, jak następuje:

Trybunał królewski w Rjece istnieje na mocy uchwały sejmu węgierskiego z 15. marca 1870 i chorwackiego sejmu z 20. lipca 1870 r., a urządzony jest według rozporządzeń węgierskiego ministerstwa sprawiedliwości i bana chorwackiego z 14. września 1871. na czas, »dopóki ustawowe i administracyjne stosunki kr. wolnego miasta Rjeki z okręgiem nie będą urządzone definitywnie«. Mocą owych rozporządzeń trybunał ten jest zarazem (§ 3) sądem żeglarskim dla Pomorza chorwackiego i poza okręgiem rjeckim. W razie sporu o kompetencyę pomiędzy władzą sądową w Rjece a władzami sądowemi i administracyjnemi w Chorwacyi, rozstrzygają we wspólnem porozumieniu ban chorwacki i węgierski minister sprawiedliwości; tak postanawia § 10 rozporządzenia. Co do języka urzędowego w sądach, tyczący się tego § 27. przytaczamy w całości:

»Językiem urzędowym król. sądów w Rjece jest włoski. W sprawach prawa żeglarskiego mogą strony tak w podaniach, jakoteż w rozprawach ustnych przed sądem używać języka chorwackiego. W takich wypadkach należy do wszystkich uchwał sądowych dołączać uwierzytelniony przekład chorwacki«.

§ 11. postanawia wyraźnie, że wszelkie »prawa, zwyczaje prawne i przepisy«, obowiązujące wówczas (1871. r.) w Rjece, zatrzymują nadal moc obowiązującą.

A zatem nie wolno wprowadzać do sądownictwa rjeckiego madiarszczyzny bez wiedzy i zezwolenia bana. Kiedy w r. 1906. minister sprawiedliwości próbował wprowadzić język madiarski w trybunale rjeckim, jako język »fakultatywny«, spełzła ta próba na niczem dzięki interwencyi bana Pejačevića.

Prawniczą stronę kwestyi opracował Dr Mogan. Nie ulega wątpliwości, że rządowi węgierskiemu nie wolno zmieniać rozporządzenia z r. 1871. samowolnie, jednostronnie; ale dziś niema bana, a komisarz w opozycyi przeciw Madiarom?!

Wykłady prawa bośniackiego. Od najbliższego semestru zimowego będą się odbywały — na polecenie rządu — w uniwersytecie wiedeńskim i praskim wykłady prawa bośniackiego. W Pradze będą one powierzone prawdopodobnie historykowi prawodawstw słowiańskich, profesorowi Kadlecowi.

W wiedeńskim uniwersytecie obejmie wykłady prawa od października długoletni prezydent wydziału sprawiedliwości w rządzie krajowym w Sarajewie, tajny radca Šek Vugrovečki.

I w Budzyniu myślą o katedrze prawa bośniackiego.

Dziwna rzecz, że w Zagrzebiu o tem cicho!

Czasopismo literackie Franciszkanów bośniackich uchwalono wydawać, ażeby wywierać wpływ na rozwój piśmiennictwa w duchu chrześcijańskim. Uchwała zapadła na zjeździe Franciszkanów, czynnych w zakresie piśmiennictwa i na polu naukowem, odbytym w klasztorze sarajewskim dnia 14 lipca.

Projekt uniwersytetu w Sarajewie, pomysł dzisiejszego wielkorządcy Bośny i Hercegowiny Dra Bilińskiego, nie znalazł wcale a wcale zwolenników wśród Słowian południowych, raczej nawet sprowokował opinię publiczną chorwacką, o ile ona może się przejawić zarządów komisaryatu pod prewencyjną cenzurą prasy. Jasnem jest dla każdego, że projekt ten powstał ze względów politycznych, a więc niemiecko-madiarskich, a nie z troski o rozwój kultury jugosłowiańskiej. Bośna i Hercegowina posiadają 90% analfabetów, a jedna szkoła ludowa wypada na 150 klm.^{2} i to urządzona nędznie i bez obowiązkowego do niej uczęszczania. Lud-

ność takiego kraju otrzymać ma nagle uniwersytet! Chorwaci powiadają słusznie: jeżeli rząd chce postępować uczciwie, niechże się postara o uzupełnienie istniejącego już uniwersytetu chorwackiego w Zagrzebiu, który wydziału medycznego nie posiada wcale, a na innych wydziałach szwankuje. Od kilkudziesięciu lat wszelkie wołania chorwackie o pieczę nad uniwersytetem zagrzebskim nie zdały się na nic — a teraz ten »kusy uniwersytet« ma jeszcze otrzymać współzawodnika (a oczywiście również kusego!) w Sarajewie. Takie uniwersytety, nie uposażone należycie, nie rozwinięte, nie dorastające do poziomu swych zadań, bo nie rozporządzające odpowiednimi do tego środkami, mają służyć chyba do tego, żeby wzruszać nad niemi ramionami z pogardliwym uśmiechem: »oto niższość słowiańska!« Ani Czesi nie zajęli też wobec projektu życzliwego stanowiska. Praski *Přehléd* przypomina, że »przez lat 20 woła czeski naród o założenie drugiego uniwersytetu dla 6-milionowej kulturalnej ludności, ale napróżno« — a istniejący uniwersytet praski ma ze strony rządu aż nazbyt dowodów zaniedbania. W wiedeńskim uniwersytecie jest Słowian więcej, niż Niemców na wszystkich trzech (poza Wiedniem) niemieckich uniwersytetach Austryi, ale uniwersytet wiedeński pozostaje ściśle niemieckim, a żadnego nowego słowiańskiego się nie zakłada. Hojność względem Sarajewa wygląda więc na tem tle bardzo podejrzanie.

Serbska kronika.

Komisya do konkordatu pomiędzy Serbią a Watykanem ukończyła prace nad swym projektem i wyprawia do Rzymu dwóch delegatów. Zasady konkordatu podobne są do czarnogórskiego, lecz pomyślniejsze w praktyce dla Kościoła. Katolicy (których ilość powiększa się skutkiem rozszerzenia granic do 28.000) będą mieć katechetów płatnych przez rząd w ludowych szkołach i średnich. Kosztem państwa założone będzie seminaryum dla kleryków katolickich, jako zawiązek osobnego katolickiego Wydziału teolog. przyszłego uniwersytetu we Skoplju. Ale w tym katolickim serbskim Kościele ma się zaprowadzić... język »starosłowiański«. A więc obrządek nie rzymski, lecz grecko-katolicki, unijacki!

O metropolii karłowickiej wypisuje wydawana przez O. Malcewa *Cerkownaja Pravda* niepochlebne wiadomości. Od r. 1888., od śmierci metropolity Germana Anglića, a nastania madiarona Gjuro Brankovića (1890—1907) począł się szerzyć między duchowieństwem prawosławnem na Węgrzech modernizm, głoszony podobno nawet przez czasopismo wydawane przy karłowickiem seminaryum teologicznem. Serbscy »moderniści« odmawiają powszechno-kościelnego znaczenia symbolicznym księgom prawosławnym, a coś podobnego uważa się w innych prawosławnych społecznościach za herezyę.

(*mj*) **Nowa literatura bułgarska** poczęła się wyłaniać w czasach bardzo poważnych krwawych walk o wolność, kiedy kraj cały był w niewoli tureckiej i zależał od greckiej hierarchii kościelnej. Same początki tworzenia się niezawisłego państwa nie bardzo były pomyślne dla rozwoju literatury; walki polityczne niszczyły najlepsze nieraz siły, odwracając je od pracy na polu kultury i sztuki, a zaprzęgając w jarzmo służby rządowej. Dopiero po uporządkowaniu stosunków krajowych i po uciszeniu zawieruchy politycznej zaczęła się rozwijać literatura, korzystając z owoców z trudem zdobytej wolności. W krótkim też stosunkowo czasie wzbiła się do znacznej wysokości.

Pierwszym poetą, którym się mogą Bułgarzy przed światem pochwalić, był Jan Wazow, który zaczął pisać poezye jeszcze za czasów niewoli. Przez jego usta przemówił cały naród bułgarski o swojej niedoli, nadziejach i żądzy zrzucenia wiekowego jarzma. Walkom o wolność towarzyszyły natchnione liryki Wazowa; powieść jego p. t. «Pod igoto» rozsławiła szeroko imię autora i zjednała sympatye dla przygotowujących się do zrzucenia jarzma tureckiego. Również

z historyi własnego narodu zaczerpnął treść do powieści «Kazalarska caryca» i do wielu artystycznych nowel swoich. Później napisał też kilka historycznych dramatów.

Podczas gdy Wazow czerpał materyał do swych utworów z przeszłości, towarzysz jego młodszy, Stojan Mihajlovski obierał najchętniej tematy współczesne. Biorąc udział w wypadkach politycznych lat 1884—1887, przeplata gęsto swe wiersze wspomnieniami polityczno-społecznemi. Celował przedewszystkiem w nieubłaganej satyrze. W bogactwie form i sile poetyckiego języka nie miał sobie równego. Ale przemawiając raczej do rozumu, niż do serc, nie jest tak wziętym, jak n. p. Aleko Konstantinow. Ten wesoły humorysta i autor klasycznej satyry, pracę literacką rozpoczął od tłumaczeń rosyjskich poetów i od opisu swej podróży po Ameryce; ogólną zaś uwagę zwrócił na się powieścią p. t. «Baj ganje». Bohaterem tej powieści jest niedowarzony Bulgar-polityk, łowiący ryby w mętnej wodzie politycznych niesnasek pierwszej doby wolności, co opisane jest z nadzwyczajnym humorem. W innych też utworach zajmował się autor życiem powszedniem, któremu umiał nadać ogólno ludzkie znaczenie.

Życie ludu wprowadził do literatury pierwszy T. Wlajkow-Weselin. Przechodząc z opisu typów do rozwiązywania problemów, starał się przedstawić jasno konflikty, zachodzące pomiędzy wiejskim ludem a nowoczesnem społeczeństwem i jego wymogami. Śladem jego poszedł Anton Strašimirow, który daleko silniej przemówił do serc, niż poprzednik, o stosunkach na wsi, która się musiała chcąc nie chcąc naginać do nowo zaprowadzanych porządków. Cechą jego pism dobitna charakterystyka, bogaty i jędrny język. Nie miał zaś wiele powodzenia w powieściach pisanych na tle życia warstw wykształconych. Wkońcu przeszedł i on do dramatu, w czem nie trafił jednak na właściwą dla siebie drogę.

Przejście od Wazowa do nowoczesnych stanowią pisma Kirila Hristowa. Ten celuje liryką ponętną, przetkaną uczuciami erotyzmu i anakreontyzmu. W dramatach jego, nieprzekraczających granicy średniej twórczości, najlepsze są sceny liryczne.

Na nowe tory wszedł Penczo Sławejkow, zmarły niedawno, o którym patrz osobny artykuł w zeszycie z sierpnia 1912 r.

Śladami jego podąża Petko Teodorow, który dał się poznać swojemi «Idyllami», pisanemi prozą i symbolicznemi dramatami. Motywy narodowe są dla niego niejako ramami, zamykającemi nowożytne poglądy lub czysto ludzkie konflikty dramatyczne. Nie wszystkie z tych dramatów nadają się na scenę, i nie zawsze też są zrozumiałe dla widzów.

Koryfeuszem wygładzonej formy jest liryk Peja Jaworow. Pierwszy jego zbiorek pieśni zadziwia nietylko plastycznością i bogactwem form, ale też co do treści niezwykłymi poglądami społecznymi rewolucyonistycznymi. W następnym zbiorku zagłębił się we własnej duszy, opisuje najskrytsze swe tajemnice, a śpiewa o zawodach życiowych i strachu przed życiem. Na każdym kroku pozostaje zawsze artystą w języku. Próby jego dramatyczne (na wzór Maeterlincka) nie dały trwałego wyniku.

Pomiędzy młodszymi godni są wzmianki Iwan Andrejczin, szerzyciel modernizmu; T. Kunew, autor miłych piosnek patryotycznych; T. W. Trajanow, liryk, przedstawiciel dekadentyzmu; N. W. Rakitin, opiewający przyrodę.

W zakresie powieści, a zwłaszcza na tle ludowem, odznacza się Elin-Pelin. Wesołym dowcipem i oględną satyrą odznaczają się powieści i nowele G. P. Stamatowa. Tu należą też organizatorka ruchu niewieściego, Ana Karina, nadto Nemirow Dobri, Kremen, Wencanin i inni.

Druk ukończono 31-go lipca 1913.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: Dr. Feliks Koneczny.
Czcionkami drukarni Literackiej w Krakowie
pod zarządem L. K. Górskiego.